

**JOANNA CHMIELEWSKA**

**STARE PRÓCHNO**

**AUTOBIOGRAFIA TOM 6**

**JOANNA CHMIELEWSKA**

**STARE PRÓCHNO**

**AUTOBIOGRAFIA TOM 6**

Nosem już mi powychodziły te wszystkie młodości i postanowiłam się zestarzeć. Niestety, siła wyższa, czyli tak zwane życie, nie uwzględniło mojej decyzji i uparcie dostarcza mi wrażeń, właściwych dla osoby młodej i pełnej wigoru. Część z tego próbuję wykorzystywać w książkach, ale całości nie daję rady, niechże się zatem ta orgia głupich przypadłości nie zmarnuje i znajdzie miejsce w upiornej autobiografii, która wcale nie spełniła swojego zadania.

Jak napomknęłam na samym wstępie do pierwszego tomu, zaczęłam ją pisać po to, żeby uniknąć pytań, powtarzanych po tysiąc razy, i hurtem udzielić odpowiedzi na wszystko. No i rezultat jest... proszę bardzo, ktoś zgadnie, jaki...?

We wrześniu Anno Domini 2002 w kolejnym wywiadzie zapytano mnie żywiutko i z zachłannym wręcz zainteresowaniem:

Skąd biorę pomysły do książek?

Czy bohaterowie moich utworów są prawdziwi i żyją?

Czy mieli do mnie pretensję za zrobienie z nich bohaterów?

Czy Lesio istnieje?

Ile z tego wszystkiego przeżyłam osobiście?

Czy bohaterka to całkiem ja, a jeśli nie całkiem, to w jakim zakresie?

Jak to się stało, że zaczęłam pisać i dlaczego?

I wszystkie inne tym podobne.

Na szczęście najpotężniejsze oberwanie chmury nastąpiło w Rosji, gdzie, zamiast mnie, odpowiadał tłumacz, niech mu Pan Bóg da zdrowie, który odpowiedzi znał na pamięć, ja zaś mogłam sobie pomilczeć, siląc się tylko na uśmiech, mam nadzieję, że miły. Za ruskich dziennikarzy do polskich nie mogę mieć pretensji, ale i naszym nic nie brakuje, z czego wynika, że autobiografię, jako pomoc życiową, mogę spokojnie pod tramwaj podłożyć.

Ukoronowaniem tych wysoce pożądanых skutków jest straszliwe dzieło pana Tadeusza Lewandowskiego, z którego to dzieła nareszcie dowiaduję się co myślę, co robię, jakie miewam poglądy i co też wyczynia moja, łagodnie mówiąc, mocno zwichrowana osobowość. Zdaje się, że miał to być wywiad. Komentrzem do wywiadu zajmę się na końcu, uparcie bowiem usiłuję zachować coś zbliżonego do chronologii.

Ale przysięgam! Po napisaniu niniejszego tomu, o ile później będę jeszcze żywa, nikomu na żadne pytanie nie odpowiem! Niech sobie przeczyta wszystko i rychło mu się odechce, a głupią ciekawość diabli wezmą...

Ostatnimi czasy coraz bardziej jęła mi słodzić życie elektronika.

Rzecz jasna, pazurami i zębami broniłam się i bronię przed bezpośrednim kontaktem z tą dziedziną wiedzy ścisłej, a już z pewnością odmawiam zgody na pozostawanie z nią sam na sam. Z krzykiem żądam pomocy, którą w największym zakresie służył mi początkowo Tadzio, syn mojego kumpla z młodych lat, Maćka, a oprócz niego parę innych osób.

Zdaje się, że na samym wstępie do owych przerażających kontaktów wyszło na jaw, iż muszę posiadać dwa telefony komórkowe, a nie jeden, a w ogóle nie mogę kupić żadnego, ponieważ nie dysponuję stałym miejscem pracy. Słowo daję, tak było jeszcze parę lat temu, a chodziło, rzecz jasna,

o wypłacalność. Okazało się, że mnóstwo osób, zazwyczaj młodych i przedsiębiorczych, korzystało z komórek, nie płacąc rachunków.

Wobec tego Tadzio kupił na siebie i przystąpiliśmy do sprawdzania urządzenia przy moim kuchennym stole, obficie oprzyrządowanym.

Siedziałam cicho i grzecznie, Tadzio zaś wziął słuchawkę i zaczął dzwonić. W momencie, kiedy się łączył, natychmiast zaczynał dzwonić jego telefon komórkowy. Nikt się w nim nie odzywał. Za trzecim razem Tadzio się zdenerwował.

- Co za kretyn dzwoni i rozłącza się od razu...?!

- Tadzio, może ty dzwonisz ode mnie do siebie? - wysunęłam żartobliwą supozycję.

Tadzio spojrział na przyrząd, spojrział na mnie i łupnął się w czoło.

- No pewnie! Przecież ja dzwonię do ojca, rany boskie, do nas zawsze była czwarta pozycja, a teraz pani zapisała tu mój komórkowy! Ten kretyn, znaczy, to ja...

W słuchawce miałam zapisane: dzieci, to jeden, Teresa, to dwa, Tadzio cztery, mój plenipotent pięć, Julita sześć, Maria siedem... Dzięki czemu kompletnie nie pamiętałam już i zresztą nadal nie pamiętam żadnych numerów telefonów, ponadto cyfra na słuchawce odpadła, bo zrobiło się tego za dużo. Jedyny numer, jaki nie wiadomo dlaczego utkwił na zawsze w którymś zakamarku mojego umysłu, to właśnie numer Maćka, ojca Tadzia. We wszelkich okolicznościach telefonicznych, jakiejś naprawy, zmiany, czegokolwiek, zawsze dzwoniłam do Maćka dla sprawdzenia, czy dobrze działa.

Urządzenie często pokazywało dziwne sztuki i kiedyś, wróciwszy z wizyty u niego, stwierdziłam istnienie osobliwej blokady, którą na szczęście już znałam i wiedziałam, że ktoś powinien do mnie zadzwonić, żeby się odblokowało, a możliwe, że mi to odblokowano zdalnie i chciałam się w tej kwestii upewnić. Szczegółów technicznych nie pamiętam i proszę mnie nimi nie dręczyć. Zadzwoniłam do Maćka.

- Maciek - powiedziałam tajemniczym głosem. - Jak do mnie zaraz zadzwonisz, to ci powiem, co widziałam w twoim domu, jak wychodziłam.

Odłożyłam słuchawkę i Maciek, rzecz jasna, natychmiast do mnie zadzwonił.

- Co widziałaś?!

- Takiego wielkiego szczura, słowo daję, jak prosiak. Na parterze, włąził do góry po rurze kanalizacyjnej.

- Nie żartuj...!

- Jak Boga kocham. Święta prawda. Powinniście chyba coś zrobić?

- O rany boskie...! - jęknął Maciek i rozłączył się. Innym razem, znajdując się poza granicami kraju, zadzwoniłam do niego i poprosiłam:

- Maciek, zadzwoń do Tadzia, niech on zadzwoni do Marii, ona mu da telefon do Julity, niech zadzwoni do Julity, żeby przyszła do mnie do domu, ma moje klucze, niech znajdzie taki duży, zielony notes i niech do mnie zadzwoni. Zapomniałam zabrać notes i teraz nie mam przy sobie ani jednego numeru telefonu, do nikogo.

- A numer telefonu tej Marii...? - spytał Maciek ostrożnie.

- Tadzio ma, bo jej robił zamek u drzwi. A do mnie jest w tej chwili... Czekał, weź coś dopisania, zaraz ci podyktuję...

Tym sposobem moja pamięć znęcała się wyłącznie nad Maćkiem.

Komórki to był zaledwie delikatny początek. Dalej poszło rozpędem, ponieważ dałam się namówić na komputer, na co główny wpływ miały błędy składacza.

Każdy człowiek, wklepując tekst, robi błędy i od tego jest korekta, żeby je poprawić. Doszłam do wniosku, że z dwojga złego wolę już poprawiać własne niż cudze, zawsze to trochę mniej roboty, i zgodziłam się ustawić w domu niezrozumiałe ustrojstwo, drukować wszystko dla siebie, a składaczowi wysyłać dyskietkę. Rzecz oczywista, do dziś dnia samodzielnie dyskietki nagrać nie umiem, odtworzyć również nie, i za każdym razem albo przychodzi do mnie inteligentna osoba, która dokonać tego dzieła potrafi, albo z komórką przy uchu i z obłędem w oczach spełniam polecenia mojego znajomego, genialnego komputerowca, obdarzonego niewyczerpaną cierpliwością. Najechać myszą, przytknąć w klawisz... Nawet się to niekiedy udaje. Dziwne.

Na komputerze się nie skończyło.

Kupiłam sobie Toyotę Avensis. Żeby mnie kto zabił, nie przypomnę sobie, dlaczego porządną, uczciwą Carinę zamieniłam na Avensis, co mi do głowy wpadło? Musiałam mieć chyba zaćmienie umysłu.

Tych cholernych Avensis kolejno posiadałam trzy...

Zaraz. Miało być chronologicznie. Diabli niech biorą Avensis, jeszcze do niej wrócę we właściwej chwili, do elektroniki również, nie ma obawy, element zatruwający życie trudno usunąć z pamięci. Przedtem jednak zajmę się rokiem dwutysięcznym.

W wieku dwunastu lat, czytając rozmaite książki science-fiction, wyobrażałam sobie ten rok 2000 i zastanawiałam się, czy go dożyję. Starannie wyliczyłam wiek, jaki mi spadnie na kark, i zwątpiłam w możliwość osiągnięcia podobnej sędziwości. Zgrzybiałość absolutna, próchno, ekshum. Może z tamtego świata zdołam obejrzeć, co się dzieje na ziemi.

Później nie miałam czasu zajmować się głupstwami i rok dwutysięczny wyleciał mi z głowy. Nie skojarzyłam nawet tej epokowej daty z własnymi dolegliwościami i nie podbudowałam wątpliwości. O dolegliwościach pisać nie cierpię, ale już o nich wcześniej napomknęłam, więc niech będzie, ten przechodzony zawał był już za mną, panowie lekarze cieszyli się na drugi, zrobiłam im złośliwość i na drugi nie zapadłam. Za to ugruntowałam w sobie chorobę, znieprawioną przez świat medyczny, mianowicie arytmie, wstrętą rzecz, utratą życia nie grożącą, do wyleczenia trudną, a dla pacjenta ciężką do zniesienia. Czuje się nieszczęśnik, jakby już umarł i nie wiadomo, co z nim zrobić.

Podbudowała się ta obrzydliwość niedokrwieniem serca, niedotlenieniem i od czasu do czasu migotaniem przedsionków. Nie wiem, co to jest migotanie przedsionków, i wcale nie chcę wiedzieć, wystarczy mi, że jest okropne. Rzecz jasna, byłam leczona, internista z kardiologiem wspólnymi siłami dobierali mi medykamenty, w parady im jednakże wchodziły czynniki towarzyszące, głównie moje cudowne schody, wysokie trzecie piętro bez windy. No, wysokie, jak wysokie, przed wojną byłoby uważane za niskie, trzy metry z drobnymi groszami, cóż to jest! A cztery i pół metra nie łaska?

Niestety, w czasach obecnych trzy metry to jest jakiś szal, luksus, rozrzutność wręcz zwyrodniała, na co człowiekowi tyle powietrza nad głową? Że nowe pokolenia lecą w górę, co najmniej o ćwierć metra przerastając swoich dziadków...? No i cóż takiego, mogą chodzić na ugiętych łapach, pochylać się w drzwiach... Gimnastyka jest zdrowa.

Inna rzecz, że ciekawa jestem, kto powymyślał te wszystkie normatywy. Jakiś niedożywiony karzełek? No dobrze, wiem, że to taniej, ale jeszcze taniej byłoby poprzestać na szalaszach albo zgoła nie budować niczego, tymczasem drapieżne polowanie na szmal rozeszło się już po całym świecie. Jak dzuma. AIDS. Czarna ospa.

Karzełek, nie karzełek, każde piętro dowalało mi co najmniej trzydzieści centymetrów i razem wychodził metr albo i więcej, dzięki czemu do wszelkich schodów nabrałam żywiołowego wstrętu.

Sam ich widok wystarczy, żebym się gorzej poczuła. Wpadłam w szal i przystąpiłam do budowania sobie parterowego domu, a budować musiałam, bo wszystkie istniejące, gotowe do kupienia, miały piętra. Z sypialni do kuchni trzeba było latać po schodach, co z góry wykluczyłam absolutnie.

O perypetiach natury budowlano-administracyjnej nie będę pisała, bo jeszcze dziś na ich wspomnienie mógłby mnie szlag trafić, ponadto większość, szczególnie tych administracyjnych, spadła na pana Tadeusza, któremu na jakiś czas stworzyłam ciężkie życie. Zemścił się na mnie wprawdzie, ale to później.

Na razie dochodził rok dwutysięczny, a ja się czułam okropnie. Sylwestra postanowiłam spędzić w domu, w szlafroku, przed telewizorem, bo i kaset z filmami miałam już dość dużo, i ciekawiło mnie, jak też telewizja uczci epokową datę. Ukryłam się przed wszystkimi, każdemu mówiąc co innego, łącząc na potęgę i zyskując dzięki temu święty spokój.

No i zgodnie z planem zasiadłam sobie w moim starym fotelu ze sznurka, tym, któremu spawacz po pijanemu przyspawał nogi odwrotnie, i który dawno już przestał być pomarańczowy, bo moje własnoręczne farbowanie kompletnie wyblakło. Putapkowatość mebla w pewnym stopniu złagodziłam, ułożywszy na nim trzy poduszki, i przystąpiłam do spędzania.

Pojęcia nie mam, co oglądałam na ekranie, ponieważ zajęły mnie inne rozrywki. Około godziny dziesiątej wieczorem czułam się tak dennie, że straciłam nadzieję. Jednak, mimo wszystko, tego roku 2000 nie dożyję, trupem padnę przed północą, a tak już blisko, szkoda...

Po czym nagle szlag mnie trafił, rozzłościłam się wściekle. Dosyć tego, mam umrzeć, to honorowo!

Wylazłam z fotela, wyciągnęłam z lodówki flachę bardzo dobrego szampana i udało mi się go otworzyć, nie tłukąc lamp i nie wylewając zawartości na ściany. Kieliszki posiadałam, co prawda używane były głównie jako wazoniki, ale kilka ocalało. Nawet nie wiem, czy miałam jakąś zagrychę, możliwe, że serek, ale gwarantować nie mogę.

12

Całego tego szampana wytrąbiłam samodzielnie bez wielkiego pośpiechu, o drugiej w nocy czułam się jak skowronek na nieboskłonie, a wszelkie doznania chorobowe przeszły mi dokładnie. Dożyłam roku dwutysięcznego!

Zatem przynajmniej jeden Sylwester nie tylko mi nie zaszkodził, ale nawet pomógł.

Gdybym pisała normalną książkę, poustawiałabym wydarzenia w czasie tak, żeby miały jakiś sens i wzajemnie nie wchodziły sobie w paradę. Życie, niestety, nie uwzględnia wymogów twórczości i dostarcza rozrywek hurtem, mieszając wszystko ze sobą, uniemożliwiając trzymanie się chronologii, rwąc tematy, tworząc w ogóle jeden melanz. Taki właśnie galimatias stał się moim udziałem. Równocześnie:

Kończyłam dom.

Przeprowadzałam się.

Kupowałam te cholerne Toyoty Avensis.

Kradli mi je.

Podróżowałam, niekoniecznie dla przyjemności.

Usiłowałam pracować zawodowo.

Kłóciłam się służbowo i prywatnie.

I jak ja mam z tego wybrnąć?

Pierwszą Avensis ukradli mi z parkingu przed domem między sobotą a niedzielą.

Nawet nie pamiętam, czy był to sezon wyścigowy, ale chyba nie, bo żadne skojarzenia we mnie nie utkwiły. W sobotę wróciłam z miasta normalnie, przed wieczorem, ustawiłam zarazę w zatoczce i zajęłam się czymś, czego też nie pamiętam, w każdym razie do drzwi balkonowych podeszłam dopiero w niedzielę o poranku. Spojrzałam z góry na ulicę i okazało się, że zatoczka jest pusta. Zdziwiło mnie to tak, że nawet się nie zdenerwowałam, bo wiadomo było przecież, że toyot nie kradną. A tu co, sama odjechała...?

Telefon miałam pod ręką, zadzwoniłam wszędzie, fakt stał się faktem. Zamontowany był w niej GPS, podobno niezawodny, alarm także, owszem, już parę razy ten alarm mi był bez potrzeby, wysunięto zatem przypuszczenie, że rąbnęli ją ciężarówką. Podjechali, wepchnęli na lorę i cześć.

Strat materialnych nie poniosłam, ponieważ byłam bardzo porządnie ubezpieczona, ale zirytowało mnie nieco, że zniweczyli mi zestawienie kolorystyczne. Dopiero co kupiłam sobie kurteczkę, idealnie w kolorze samochodu, doskonale to wzajemnie do siebie pasowało, i co teraz? Do nowego samochodu mam kupować kurteczkę innej barwy? Posiadam już dwie podobne do siebie, prawie jednakowe, na diabła mi tyle kurteczek jednego rodzaju?

Wybrnęłam z kłopotu w ten sposób, że kupiłam następną Avensis w identycznym kolorze, akurat były. Na wszelki wypadek zaczęłam ją ustawiać nie na ulicy, tylko na parkingu przy Ludowej, w możliwie ciasnym miejscu. Lorą już się tam nie zmieszczą.

Nie było dnia, żeby nie przylatywał do mnie albo nie dzwonił ktoś z sąsiadów, że „proszę pani, pani samochód strasznie wyje i już tego wytrzymać nie można”. Leciałam na dół z trzeciego piętra, samochód istotnie był jak szatan, a ja go nie umiałam wyłączyć. Uruchomić się też nie dawał.

Na marginesie wyjaśniam, że od początku przy kupowaniu pojazdu w serwisie powiedziano mi: „Pani ma jeździć, reszta należy do nas”. Ucieszyłam się niezmiernie i potraktowałam wypowiedź poważnie.

Przyjeżdżała pomoc drogowa, przytykała czymś, akumulator okazywał się wyładowany, podłączali się, podładowywali trochę, po czym musiałam jeździć w kółko po parkingu wyścigowym, żeby go naładować ostatecznie. Nigdzie żadnych interesów nie miałam, z Piasków już wróciłam, pisałam którąś książkę i pracowałam w domu, a piekielna

Avensis życzyła sobie codziennie odbywać dalekie podróże. Latałam po upiornych schodach z góry na dół i z dołu do góry, narażałam się ludziom i wariactwa można było dostać.

Ukradli mi ją z parkingu, mimo ciasnoty.

Zadzwonił Tadzio.

- Gdzie pani postawiła samochód?

- Na parkingu. Tym przy Ludowej.

- Jest pani pewna? Bo go nie ma. Ja tu właśnie jestem, na ten parking wjechałem.

- Tadzio, sprawdź porządnie - poprosiłam z lekkim niepokojem. - Postawiłam koło drzewka, z lewej strony.

- Koło drzewka nie ma. Nigdzie nie ma. Obejrzałem wszystko i zdziwiłem się, bo wiem, że pani jest w domu, więc samochód też powinien być. Ale nie ma. Znów go pani podwędzili?

Istotnie, podwędzili. Jakim sposobem, trudno odgadnąć, bo na manewry ciężarówką rzeczywiście nie było miejsca, a samochód miał przesadne skłonności do wycia. Albo wynieśli na rękach, albo po prostu trafili na właściwą częstotliwość, co podobno dla doświadczonych złodziei stanowi małe piwo.

Rozzłościłam się i uparłam, że kupię trzecią Avensis, taką samą. Nie będą złoczyńcy rządili

moimi kurteczkami! W sprawę ponownie włączył się mój siostrzeniec Witek, który już od Cariny zaczął się opiekować nabywanymi przeze mnie samochodami i dzięki niemu właśnie miałam sensowne ubezpieczenia.

Na marginesie: zważywszy, iż nie posiadam rodzeństwa, dziwić może posiadanie siostrzeńców i siostrzenic. Ale mój mąż miał siostry i siłą rzeczy dla ich dzieci był wujem. Ja zaś, żona wuja, przeistoczyłam się w ciotkę, bo nikt już nie używa określeń „wujenka” i „stryjenka”. Zdaje się, że ostatnią stryjenką w rodzinie była bratowa mojego ojca. A mąż siostrzenicy to chyba siostrzeniec, nie?

Dealer w Piasecznie, dla którego byłam już stałą klientką, nie stanął na wysokości zadania. W końcu zamierzałam nabyć u niego piąty kolejny samochód, ponadto kupował u niego mój syn, Jerzy, nazwisko mieliśmy to samo, taką obfitość klientów z jednej rodziny należy szanować. Tymczasem w salonie samochodowym, zastaliśmy obydwój z Witkiem dwie panienki, chyba najdoskonalej głupie, i nikogo więcej. Jedna panienka patrzyła na nas baranim wzrokiem i nie umiała udzielić żadnej odpowiedzi, druga zaś robiła wrażenie ciężko obrażonej samym pytaniem o sprzedawców. Gdzie są? Nie wiadomo, gdzieś na mieście, w każdym razie nie ma ich. No dobrze, jeśli ich nie ma, kiedy będą? Nie wiadomo. To z kim tu w ogóle można się porozumieć?

Nic, zero. Porządny dealer w wypadkach losowych pożyczka klientowi samochód zastępczy. Równie dobrze mogłam się domagać samurajskiego miecza, względnie lektyki na ośmiu tragarzy, panienka promieniowała niechęcią, starała się na nas nawet nie patrzeć, półgębkiem, chociaż stanowczo, zapewniła nas, że panowie są niedostępni pod żadnym numerem telefonu, powinniśmy mieć chyba jakiś cień przyzwoitości i zamienić się w paprochy, wywiewane wiatrem. Tak mnie zdumiała, że całkiem grzecznie poprosiłam o kontakt jak najszybciej, wyjaśniłam sprawę i zostawiłam wszystkie nasze numery telefonów, moje i Witka, chociaż doskonale wiedziałam, że mają je w dokumentach. Dzwonili już przecież do mnie ładne parę razy.

Skutek był również zerowy i nazajutrz pod wieczór stracili klientkę bezpowrotnie. Przerzuciłam się na dealera w Markach, Toyoty Avensis miał, ale, niestety, odcień był odrobinę inny. Jednakże różnił się od kurteczki tak nieznacznie, że podjęłam decyzję natychmiast.

Witek znów pozalałtwiał wszystkie ubezpieczenia. Wcześniej już ogarnął nas lekki niepokój, bo co się dzieje, do diabła, toyot wcale nie kradli, a teraz nagle moje dwie pod rząd? Wysunęliśmy supozycję, iż w byłym Związku Radzieckim zorganizowano sobie wreszcie serwis toyoty, przedtem go nie mieli, koncentrowali się na mercedesach i yolkswagenach, a teraz rozszerzyli działalność, i supozycja okazała się nadzwyczaj trafna. Rzeczywiście, taki rozwój techniki nastąpił i Avensis poszły na pierwszy ogień. Nie wiem tylko, dlaczego akurat moje.

Zamierzałam wyjechać na coś w rodzaju urlopu. Wszystkie te atrakcje zmieściły się w kilku miesiącach, od zimy do późnej wiosny, teraz byłam umówiona z kanadyjskimi dziećmi we Francji, miałam zarezerwowane hotele i myśl, że zejdę na dół z bagażami i na miejscu parkingowym zastanę pustkę, nie podobała mi się wcale. Wynajęłam garaż na Ludowej.

Ściśle biorąc, było to coś w rodzaju komórki dla królików, ale przy odrobinie uporu samochód można było tam wepchnąć. Nie miałam wprawdzie pewności, czy wjechawszy, zdołam z niego wysiąść, a później wsiąść, mignęła mi ponętna myśl o zrzuconiu w dwa tygodnie dziesięciu kilo wagi, przynajmniej wsiadanie byłoby łatwiejsze, ale grzeczni chłopcy, Witek i Tadzio, zapewnili mnie, że zmieszczę się z łatwością. Tyle że wrota owej komórki z jeszcze większą łatwością można było wywalić jednym celnym kopem. Ale kłódka była solidna, Tadzio ją kupił i założył.



Witek jednakże, załatwiając sprawę ubezpieczeń, namówił mnie na zamontowanie dodatkowo Lojacka, bo ten cały GPS, jak się okazuje, można sobie o kant tyłka potłuc. Zgodziłam się, zamontowali w serwisie.

Odebrałam samochód w Markach przy nie najpiękniejszej pogodzie. Deszcz lał, błoto waliło o szyby, tłok na jezdni był przeciętny, bez szczególnych utrudnień, miałam okropnie mało czasu. Jechałam lewym pasem i niewątpliwie lekceważyłam ograniczenia szybkości. Nic za mną nie jechało, takie rzeczy stwierdza się automatycznie, kierowca ma oczy dookoła głowy, na bardziej zatłoczone pasy obok nie zwracałam żadnej uwagi, bo niczym mi nie zagrażały. Bez problemu dojechałam do wynajętej komórki, niejako na tyłach mojego domu.

Wjechałam na podwóreczko. Zatrzymałam się dość niedbale, w niepotrzebnie dużej odległości od wrót, wysiadłam i zaczęłam otwierać tę nową, solidną kłódkę.

Solidna to ona z pewnością była, ale zarazem dziwnie uciążliwa do otwierania. Zanim zdążyłam opanować sztukę obracania w niej kluczykiem, na to samo podwóreczko wjechał za mną następny samochód. Zatrzymał się. Z elementarnej grzeczności pomyślałam, że zagradzam mu drogę, za daleko stałam i utrudniam wjazd w głąb, a były tam podobne garaże, cały ciąg, człowiek chce wjechać do siebie, a ja mu przeszkadzam. Porzuciłam kłódkę i dopadłam samochodu, gestem wskazując, że zaraz się odsunę. Wsiadłam w pośpiechu.

Zdążyłam zapalić silnik, kiedy samochód za mną wycofał się na ulicę i bardzo szybko odjechał.

Siedziałam jeszcze chwilę, nie ruszając w żadną stronę. Nie mam i nigdy w życiu nie miałam manii prześladowczej. Żadni wrogowie nigdzie na mnie nie czyhali. Przeszło pół wieku otwierałam drzwi bez pytania „kto tam?”. A teraz nagle mnie tknęło.

Zamierzał wjechać. Dawałam mu drogę. Zawrócił i uciekł. To co to ma być...?

Dwa samochody mi ukradli...

Wystrzeliła we mnie może nie pewność, ale silne podejrzenie.

Jechał skurczybyk za mną od samego dealera, czatowali na Toyoty Avensis, sprawdzali, kto odbiera, dokąd jedzie, jak garażuje. Trzymali się pewnie środkowego pasa i w sznurze samochodów w ogóle ich nie dostrzegłam. Dojechali aż tu, obejrżeli teren na zapleczu budynku, widzieli mnie przy kłóдке, wystarczyło im i uciekli. O złodziejskim samochodzie tyle wiedziałam, że był czerwony i w padającym ciągle deszczu wydało mi się, iż siedzi w nim więcej niż jedna osoba. Nic poza tym, ani marki, ani tym bardziej numeru, nic kompletnie. No nie, jednego byłam pewna, nie mały fiat.

Tak mi jakoś to wszystko zamajaczyło i nagle straciłam serce do wynajętej komórki. Zależało mi na wyjeździe, miał nastąpić za niecałe dwa tygodnie, samochód był mi potrzebny, żadnych kradzieży! Na dwa tygodnie muszę to pudło zabezpieczyć.

No i kto zgadnie, co wymyśliłam natychmiast? Jasne, policję. Komisariat miałam blisko, podjechałam do nich od razu, wjechałam na parking, złapałam komendanta i wyjaśniłam sprawę. W poglądach na przestępczość, prokuratury i w ogóle wymiar sprawiedliwości w naszym ukochanym kraju byliśmy idealnie zgodni, uzyskałam zezwolenie na nietypowe zabezpieczenie mienia, zrobili mi miejsce w głębi swojego parkingu, akurat pod oknem dyżurnego oficera.

Subtelnie i delikatnie zaproponowałam jakiś ekwiwalent. Komendant odparł mi na to, że bym się nie wygłupiała, prędzej trupem padnie niż przyjmie ode mnie pieniądze, ale jeśli chcę ich uszczęśliwić tak samo, jak oni mnie, co mieści się w ramach zwykłej, ludzkiej przyzwoitości, mogłabym dać im w prezencie trochę długopisów i odrobinę papieru do maszyny. Piszą na zwykłej maszynie, nawet nie elektrycznej, gdzie im do komputerów, elektroniki i innych wymyślnych technik,

cha, cha. Przydziały służbowe mają za małe, a nie stać ich na dopłacanie z własnej kieszeni.

Jezus Mario, jasne, że czym prędzej dostarczyłam im materiały piśmienne i nie wiem, kto z nas okazał się bardziej uszczęśliwony. Chyba jednak ja, bo któregoś wieczoru moja toyota im pod oknem wyła, na szczęście zostawiłam zapasowe kluczyki i umieli ją od razu wyłączyć. Akumulator wytrzymał, nazajutrz zdołałam ją uruchomić.

Później kontakt z tymże moim komisariatem okazał się absolutnie bezcenny.

Na razie jednak uchroniłam pudło przed złodziejami i wyjechałam w zaplanowanym terminie. No i znów zaczęła się duża polka.

Znalazłam się w Trouville. Był to już drugi mój pobyt w tym kurorcie, przy pierwszym mieszkałam w hotelu Mercure, były tam także moje dzieci...

Za skarby świata nie potrafię sobie przypomnieć wszystkich szczegółów i kolejności tych podróży, do hotelu Mercure przyjechałam sama, jeszcze wtedy Cariną, cudem zapewne znalazłam miejsce do zaparkowania nie dalej niż jakieś czterdzieści metrów od wejścia i przeżyłam chwilę przerażenia. Nastawiona na usługi personelu hotelowego przy szarpaniu się z bagażami, z pustymi rękami poleciałam do recepcji, oczywiście, jasne, ktoś moje toboły przeniesie, i oto przybiegły mi na pomoc dwie chudziutkie, drobniutkie dziewczynki, które powinny były ugiąć się pod ciężarem bukietu kwiatków, a co tu mówić o walizie bez kółek, laptopie, torbie z książkami... Potworne! Zaprotestowałam rozpaczliwie, do noszenia ciężarów służy silny chłop, a nie wiotka panienka, co one robią, te dziewczyny...?!

Dziewczyny z radosnym uśmiechem na twarzyczkach chwyciły kłopoty bez żadnego wysiłku i pobiegły do hotelu tak, że nie mogłam za nimi nadążyć. Rany boskie...

Nie w tym rzecz jednak. Jakimś sposobem pojawiły się tam moje dzieci, Robert, Zosia i Monika, i wszyscy razem stwierdziliśmy istnienie hotelu Flaubert (ściśle biorąc, nazwa brzmi Le Flaubert, ale nam już został sam Flaubert i cześć), stojącego tuż przy plaży. Spodobał nam się, był cudownie staroświecki i dzięki temu bardzo tani, i na następny rok Robert dokonał rezerwacji w odpowiednim czasie...

A, już wiem, jak pojawiły się dzieci. Najzwyczajniej w świecie przyleciały z Kanady i odebrałam towarzystwo na Charles de Gaulle, z terminalu, będącego jeszcze w budowie, jakoś tak na skraju lotniska, gdzie nie było problemów z parkowaniem. Zostawiłam samochód na końcu czegoś w rodzaju polnej drogi, wszyscy tam stali, i do prowizorycznego pawiloniku należało tylko przelecieć przez wielki plac, przewidziany na parking w przyszłości. Żaden problem, wózek bagażowy istniał w ilości dostatecznej.

Za tym drugim razem natomiast Avensis pokazała, *co* potrafi.

Nie lubiła mnie, to pewne, i postarała się od samego początku. Krótco przed wyjazdem, siekając na deseczce jakieś pożywienie, oddziabalam sobie kawałek paznokcia razem z kawałkiem dużego palca u lewej ręki. Nie całkowicie, częściowo. Zważywszy, iż przez całe życie wszystko goi się na mnie lepiej niż na psie, nie dokonywałam żadnych skomplikowanych zabiegów medycznych, tylko zwyczajnie przycisnęłam oddziabany kawałek do substancji macierzystej i owinęłam porządnie plasterkiem. Przeszkadzało w codziennych czynnościach, ale nic poza tym.

Gorzej, że w ostatniej chwili rąbnął mnie ząb. Powinnam była chyba pisać pamiętnik, bo teraz już nie pamiętam, wyjechałam z bolącym czy zdążyłam do dentysty?

Moje wizyty stomatologiczne z reguły odbywały się w sytuacjach dramatycznych, na sekundę przed świętami Bożego Narodzenia, na sekundę przed daleką podróżą, na sekundę przed występem w

telewizji, na sekundę przed wielkim przyjęciem, pomiędzy nadziewaniem kurczaka a doprawianiem śledzi...

Chyba jednak zdążyłam, bo inaczej ząb przebiłby wszystko inne. A nie przebił.

Również w ostatniej chwili kupiliśmy z Witkiem bagażnik dachowy do tej cholernej toyoty, przymierzony został przed sklepem, pasował, dostałam zatem taki sam w firmowym opakowaniu, żeby go założyć, kiedy będzie niezbędny. Że będzie, wiedziałam z pewnością.

Po drodze do Trouville zatrzymałam się w Paryżu, w hotelu Splendid Etoile, pojęcia nie mam po co. To znaczy owszem, Paryż mi leżał na trasie, a gdzieś postój należało znaleźć, nie chciało mi się lecieć prawie dziewięćset kilometrów jednym ciągiem i nie chciało mi się wyjeżdżać ze Stuttgartu od Grażyny o bladym świcie. Tylko dlaczego siedziałam tam co najmniej dwa dni? Coś załatwiałam zapewne, dość, że siedziałam, i jednego z tych dni, wchodząc do pokoju, ujrzałam w koszu na śmieci duży, zielony przedmiot. Podeszłam z zaciekawieniem i okazało się, że jest to mój wielki, gruby, sztywny notes w zielonych okładkach, tkwiący w koszu narożnikiem i wystający w postaci trójkąta. Wyjęłam go oczywiście, wstrząśnięta, bo bez tego notesu byłabym jak bez dwóch rąk, anie tylko bez jednej, cała moja wiedza w nim się znajdowała i znajduje nadal, wszystkie numery telefonów, adresy, nazwiska i Bóg wie co jeszcze. Ze zgrozą zastanowiłam się, skąd się wziął w koszu i rychło odgadłam, spadł z małego stolika, na którym znajdowały się oprócz niego liczne papiery, teczka z wydrukiem, laptop, możliwe, że i drukarka, popielniczka, w każdym razie więcej niż stolik mógł pomieścić.

No dobrze, łaska boska, że go dostrzegłam i odzyskałam.

A, już wiem, po co siedziałam w Paryżu. Miało to nawet pewien sens, obmyśliłam sobie bowiem sposób odbierania dzieci z lotniska. Ich samolot przylatywał o dziesiątej rano, na upartego mogłam zdążyć z Trouville, wyjeżdżając o wpół do ósmej, ale znajomość życia kazała mi dopuszczać kataklizmy w rodzaju katastrofy na autostradzie, korka na Peripherique, zablądzenia, komplikacji z dojazdem do właściwego terminalu na Charles de Gaulle, które ciągle było w budowie, i Bóg wie jakich jeszcze przeszkód. Wolałam się przed tym zabezpieczyć, przyjechać do Paryża poprzedniego dnia, zanocować w którymkolwiek z najbliższych hoteli i nazajutrz być już na miejscu. Koszt był mi obojętny, przez jedną noc nie zbankrutuję, nie musiałam szukać najtańszego, wyżej ceniłam lokalizację. Wedle uzyskanych informacji najbliższy był Sheraton i na niego właśnie się nastawiłam.

Pojechałam zapoznać się z terenem i na wszelki wypadek dokonać rezerwacji.

Roboty budowlane posunęły się bardzo do przodu i zmiany ujrzałam olbrzymie. Mowy nie było o sielskiej, polnej drodze i wdzięcznym, prowizorycznym pawiloniku, gąszcz dojazdów pod terminale otumaniał mnie doszczętnie, znalazłam jednak właściwy, ten dla wychodzących, nie wiem czy istniał tylko jeden, czy było ich więcej, w każdym razie znaleziony pasował do samolotów z Kanady, ze Stanów, z Kopenhagi i skądś tam jeszcze, może z Singapuru i Johannesburga. Znalazłam także Sheratona, ale, można powiedzieć, tylko teoretycznie.

Wznosił się w samym środku komunikacyjnej gmatwaniny i widać go było z daleka, ale tkwił gdzieś w dole. Niewątpliwie prowadził do niego jakiś dojazd, dojazdu jednakże nie znalazłam, mimo objechania tego wszystkiego dookoła parę razy, więc poddałam się przeznaczeniu. Przez cały czas natrętnie i uparcie pchał mi się w oczy drogowskaz na Hiltona, migwały Mercure, Ibis, różne inne hotele, tylko drogowskazu na Sheratona nie było, a jeśli nawet gdzieś był, musiałam akurat doznawać zaburzeń wzroku, zdecydowałam się zatem zatrzymać w Hiltonie. Zachęciła mnie myśl, że przy okazji porównam Hiltona we Francji z Hiltonem na Kubie, pojechałam, dokonałam rezerwacji i ruszyłam

w dalszą drogę.

Dotarłam do Trouville, okres był turystyczny, z wysiłkiem wcisnęłam się na maleńki parking na tyłach hotelu i twardo postanowiłam nie ruszać pudła aż do chwili wyjazdu po dzieci, bo na drugie wciśnięcie mogło już nie być szans. Moje postanowienie toyocie się nie spodobało.

Już drugiego wieczoru recepcja zadzwoniła z uprzejmym komunikatem, że mój samochód strasznie wyje i ludzie się skarżą. Ja tego wycia nie słyszałam, bo miałam pokój od strony morza, ale ci od tyłu...?

Poleciałam na dół, ściśle biorąc, zjechałam windą. Avensis wyła radośnie i przeraźliwie. Zastartować już nie chciała, maski, rzecz jasna, nie umiałam otworzyć, deszcz padał, poleciałam do recepcji z prośbą o telefon do francuskiej pomocy drogowej, sama zaczęłam dzwonić do mojego serwisu, poradzili mi francuską pomoc drogową, rzeczywiście, wielkie odkrycie. Ludzie z pokoi od tyłu schodzili na dół i patrzyli na mnie dziwnie. Deszcz padał. Avensis wyła. Ocean był blisko, zastanowiłam się, czy nie powinnam iść się utopić.

Zanim wszyscy dostali wariactwa, przyjechał Falk. Młody człowiek z furgonetki po pierwsze, umiał otworzyć maskę i wyłączyć wycie, po drugie, podłączył się do mojego akumulatora i zastartował, a po trzecie, powiadomił mnie z pełnym politowaniem uśmiechem, że sprawa jest ogólnie znana, Avensis mają spaskudzoną elektronikę, której akumulator nie wytrzymuje i wyje informacyjnie. Powinno się jeździć codziennie, pilnując doładowywania, a w ogóle powinien to być większy akumulator, nie w sensie rozmiarów, tylko w sensie mocy. Możliwe, że rozmiarów też, dzięki czemu nie zmieściłby się zapewne w samochodzie. Teraz zaś silnik musi pochodzić małą godzinę, inaczej bowiem całe przedstawienie zacznie się na nowo.

Zrobiło się już prawie ciemno. Deszcz ciągle padał. Nie mogłam palić światła i czytać książki, bo akumulator miał się ładować, a nie przeciwnie, straciłam w końcu cierpliwość, zostawiłam pudło na chodzie i poszłam do recepcji, gdzie przynajmniej było widno.

Siedząc w wygodnym fotelu i z zainteresowaniem przeglądając rozmaite mapy, foldery i prospekty, uświadomiłam sobie nagle, co robię. Siedzę tutaj, prawie po drugiej stronie budynku, a na zacienionym dodatkowo drzewami parkingu stoi mój samochód, otwarty, na pracującym silniku i z kluczykami w stacyjce. Wymarzona okazja dla złodziei, ciekawe, ilu ich tu grasuje. Nie wstanę, nie pójdę tam, niech kradną zarazę, przynajmniej przestanie mi wstyd przynosić!

Nie ukradli. Zgasiłam ją wreszcie i zamknęłam. Deszcz chyba przestał padać w nocy, bo o poranku stwierdziłam, że jakiś ptaszek, skłonna byłam mniemać, że pterodaktyl, ale chyba jednak mewa, napaskudził mi na przednią szybę tak, że straciłam widoczność. Z usunięciem dekoracji miałam duże kłopoty, ponieważ razem z samochodami kradli mi przyrządy pomocnicze i nie dysponowałam ani szczotką, ani gąbką, ani ściągaczką do szyb, ani w ogóle niczym. Na szczęście deszcz znów zaczął padać i trochę dopomógł, w rezultacie resztę rozmazały wycieraczki.

Nazajutrz wybierałam się na lotnisko po dzieci.

Rozsądnie i przezornie zastanowiłam się, co będzie mi potrzebne na tę jedną noc, żeby się nie obarczać niepotrzebnym bagażem. Te rzeczy do zębów, mydło, kosmetyki, grzebień, nocna koszula, ranne pantofle, mały termosik na herbatkę, lekarstwa i jasek. Zawsze jeździłam i jeżdżę z jaśkiem, bo bez niego źle mi się śpi, a nie wszędzie dają, dzięki czemu rozsiałam już po świecie ładne parę jaśków, jeden, na przykład, został w Związku Radzieckim i był to akurat duński, jednym uszczęśliwiłam Polskie Koleje Państwowe, kilkoma różne hotele, a co do reszty, to już nie wiem. I książkę, bez książki też mi się źle śpi.

Wybrałam niezbyt dużą torbę na ramię, gdzie mieściło się wszystko, utensylia kosmetyczne upchnęłam w obszernej, wygodnej kosmetyczce, przygotowałam się racjonalnie i wyjechałam wieczorem, bez pośpiechu, przy całkiem ładnej pogodzie, bo deszcz jakoś przestał padać.

Zaczął kropić na nowo, kiedy wysiadłam przed Hiltonem, ale to już mnie nie obchodziło. Miejsca na parkingu były przed wejściem, a nie w żadnych podziemiach, zabrałam torbę i zagnieździłam się w pokoju. W planach miałam kolację, ostrygi odpadały, nie sezon na nie w Paryżu, wymyśliłam sobie ich osławioną solę z białym winem.

Ostrygi, wyjaśniam przy okazji, bo może ktoś nie wie, mają to do siebie, że nie jada się ich w Paryżu w miesiącach, pozbawionych w nazwie litery r. Są to miesiące letnie, *mai, juin, juillet, août*, czyli maj, czerwiec, lipiec i sierpień. Bezpośrednio nad morzem proszę bardzo, można je pożerać na tony, w środku kraju już nie, ponieważ łatwo się psują.

Mimo baryłek. Możliwe, że po otwarciu baryłki wytrzymują na lodzie godzinę czy dwie, jeśli jednak klient natychmiast nie wrąbie całości, resztę diabli wezmą.

O soli natomiast też się człowiek naczytał i nasłuchał, jakie to cudo, już zaczęłam jej próbować w jednej restauracji renomowanej, słynącej z ryb, i w jednej zwyczajnej, stwierdziłam, że owszem, smażona sola prawie podchodzi pod fileciki z turбота Jagody Gotkowskiej w Piaskach... a po jej rybach rozbestwiona jestem do szaleństwa i gdzie indziej ryby do ust nie biorę... no i teraz chciałam jeszcze sprawdzić jakość potrawy w Hiltonie.

Schodząc na kolację, postanowiłam się uczesać. Zajrzałam do torebki, grzebienia w niej nie było. A, pewnie w kosmetyczce...

Sięgnęłam do torby i w niej kosmetyczki również nie było.

Pomyślałam, że tylko spokój może nas uratować, i porządnie przeszukałam cały swój stan posiadania, zgódźmy się, że niewielki. Kosmetyczki nie było zdecydowanie. Zgadłam, co się stało.

Zdenerwowana byłam już od przedwczoraj, od tego wycia Avensis. Zapewne bardziej niż mi się wydawało, na drobniutkie poszczekiwanie zębów, zaciskanie szczęk i lekki trzepot w sobie nie zwracałam uwagi, odbiło się to na mnie jednakże. Zapchałam kosmetyczkę przedmiotami pierwszej potrzeby, zamknęłam ją i zostawiłam w hotelu w Trouville, zlekceważywszy ostatni gest, włożenie jej do torby.

W ten sposób pozbawiona byłam: szczotki i pasty do zębów, własnego mydła, grzebienia, mleczka do twarzy, łagodzącego kremu, wszelkich produktów upiększających, wody kolońskiej, pilnika do paznokci, puderniczki i plasterka na ten oddziabany paznokciec, który wiadomo przecież, że mi jeszcze nie odrósł. Czyli podstawowych rzeczy. W łazience znalazłam mydło hotelowe, szampon do włosów i reklamową próbkę wody po goleniu. Rzeczywiście, wysoce przydatne!

I tak jeszcze łaska boska, że lekarstwa miałam w torebce...

Elegancko rozczochrana zjechałam na dół i spytałam w recepcji o kiosk. Istniał, czemu nie. Na innym terminalu, dwa kilometry dalej. Rzuciłam okiem przez szybę na zewnątrz, deszcz padał równo i porządnie. Podałam się ostatecznie, pomyślałam, że mimo wszystko, kelner mnie może jednak obsłuży, i poszłam na kolację.

Sola była całkiem niezła. Białe wino też.

Poranek dnia następnego spokojnie mogę zaliczyć do grupy najgorszych w życiu.

Deszcz lał po prostu upiornie, istna pompa, długotrwałe oberwanie chmury. Z zębami umyтыми palcem i wodą, z kołtunem na głowie, z piekącą skórą na twarzy, bo mam suchą i bez środków łagodzących zwyczajnie mnie boli, z nosem lśniącym jak latarnia morska, trochę mnie to nawet w

oczy raziło, zmoczona bardzo porządnie, dopadłam samochodu, w którym, rzecz jasna, znajdowała się parasolka. I ruszyłam do wejścia na właściwy terminal.

Ruszyłam dość wcześnie, z zapasem czasu tak na wszelki wypadek, bo samoloty lądowały wprawdzie pięćset metrów ode mnie w linii prostej, ale przy dojeździe linia prosta nie wchodziła w rachubę. Trafiłam, to znaczy zdawało mi się, że trafiłam, chociaż miałam wątpliwości, chciałam się upewnić, pytając człowieka, człowiek w postaci służbowego Murzyna w pomarańczowym chałacie odgonił mnie niecierpliwie, bo tu nie wolno stać, sama wiem, że nie wolno, pokazane jest na obrazku jak byk, zabierają samochody, no dobrze, to gdzie?! Na parkingu! Na dole! Pod ziemią!

Do diabła z ziemią, czy to jest odpowiedni terminal? Właściwy poziom? Jak w ogóle mam się dostać na inny poziom?!

Odpowiedź padała jedna, precz stąd, na parking podziemny, więcej tam było tych Murzynów w pomarańczowych chałatach, żaden nie słyszał moich pytań, bo wcale nie mieli ochoty wychylać się spod daszka na strumienie wody, lejące się z nieba. Wyganiaли mnie w podziemne kazamaty, czas zaczynał mi się kurczyć, spróbowałam kazamatów.

O, nie! Upiorna, przeraźliwa przestrzeń, słabo oświetlona, źle oznakowana, prawie pusta, żywego ducha nie widać, żadnej windy nie widać, wyjścia, nawet schodów! Nie zostawię tam samochodu za największe skarby świata, nie mam siły ani czasu zwiedzać lochów na piechotę! Zabłąkałam się wśród słupów konstrukcyjnych, całkiem jak skarbiec w cesarskim pałacu w Bizancjum, tyle że tam wody nie było. Zdenerwowałam się, zdołałam wyjechać na światło dzienne pod nie ustający wodospad. Objechałam teren dookoła jeszcze raz, czas kurczył się ze złośliwym chichotem, z determinacją ponownie podjechałam pod wejście z pomarańczowymi Murzynami, możliwe, że byli to inni Murzyni na innym poziomie, zbuntowałam się, ustawiłam samochód na pierwszym wolnym miejscu i wysiadłam. Zdaje się, że wzięłam parasolkę, po czym wreszcie przeczytałam, że jestem na poziomie dla odjeżdżających, przyloty są piętro wyżej.

Szlag ciężki żeby to trafił. Wedle zegarka, dzieci już powinny być przylecieć, gdzie ja ich znajdę, do ciężkiej cholery?! Lotnisko potwornie wielkie, nieludzkich zgoła rozmiarów, gigantomania paranoiczna, ci Francuzi chyba zwariowali, żeby robić coś takiego...!

Trafiłam na windę. Wjechałam piętro wyżej, w nerwach strasznych, w supłach na dwunastnicy, u progu zawału i nagłej śmierci, z dwoma problemami na głowie (poza mokrym kołtunem, oczywiście): zaginione dzieci i samochód, który za chwilę też będzie zaginiony, bo mi go wywiozą. Ludzie owszem, wychodzili z głębi lotniskowych bebechów, dławiąc się, spytałam pierwszego z brzegu, skąd przyleciał, z Kanady?

- Nie - odparł grzecznie. - Z Kopenhagi.

Jasny piorun! Skoro wychodzą ci z Kopenhagi, Toronto musiało wylądować już dawno! GDZIE JA ZNAJDĘ DZIECI?!!!

Żadna racjonalna, prosta myśl nie miała do mnie dostępu. Moje dzieci, ostatecznie, były już dorosłe, mówić umiały, nawet po francusku, czytać też, doskonale znały numer mojej komórki i było ich sztuk trzy. Jedno mogło zostać przy bagażach, a dwoje latać i szukać mamuni, równie dobrze wszyscy troje mogli cierpliwie poczekać bez żadnego latania...

O nie, nic z tych rzeczy, kataklizm już mnie przytłamsił. Myśl zdobyła się na jeden tylko błąd cień przebłysku i aczkolwiek cienie i przebłyski są to pojęcia kontrastowe, to jednak ich zestawienie mniej więcej oddaje charakter zjawiska. Mignęło mi rozumnie, że tu dzieci, tam samochód, przynajmniej jednej z tych trosk muszę się pozbyć, bo inaczej padnę trupem, samochód na razie

jeszcze wiem, gdzie jest, niech to szlag trafi, odstawię go w cholerne kazamaty, najwyżej potem nie znajdę, ale to już się będę martwić kolejno, a nie razem.

Ruszyłam w kierunku windy może nie całkiem kuregalopkiem, powiedzmy: wyciągniętym stępem, kiedy dogoniła mnie Monika. Na jej widok kolana się pode mną z nieziemskiej ulgi ugięły i śmiertelne zejście zrezygnowało z łupu.

Oddaliło się jednakże niechętnie i raj zapanował nieco wybrakowany, ponieważ deszcz wcale nie zelżał, a samochód zaparkowałam tak, że w bagażnik waliły nie tylko potoki atmosferyczne, lecz także wodospad z daszku. Trafiał idealnie i mowy nie było o otwarciu klapy. Na szczęście Robert nie dostał żadnego pomieszania zmysłów, do rozwiniętej motoryzacji był przyzwyczajony i przestawił zołżę tyłem do przodu. W ten sposób bagażnik znalazł się pod daszkiem, dzięki czemu można było wreszcie stamtąd odjechać.

Deszcz przestał padać natychmiast.

Od razu też wyszło na jaw, że wszyscy razem w tym samochodzie się nie zmieścimy. Nie jako osoby ludzkie, rzecz oczywista, nikt z nas wagą nie przekraczał czterystu kilo, tylko jako mienie. Dumnie, acz niemrawo przypomniałam, że mam bagażnik dachowy, tamten twardy grzdyl, który przeszkadzał upchnąć walizki, to właśnie to, zamontuje się go później, w Trouville, kiedy już będziemy odjeżdżali w całości.

Od razu powiem, co było potem.

Przed wszystkim chciałam dać dzieciom zdjęcia z zeszłego roku, przywiezione specjalnie w tym celu, cały komplet w kopercie. Okazało się, że zdjęć nie ma, kamień w wodę, przepadły. Po długich i rozpaczliwych poszukiwaniach musiałam pogodzić się ze wspomnieniem, zielony notes w koszu na śmieci w Splendid Etoile, zleciał, pod nim bez wątplenia leżała koperta ze zdjęciami... Notes rzucił się w oczy intensywną zielenią, koperta nie, a zapewne zleciała pierwsza, niech to piorun strzeli. Trudno, przepadło.

Następnie znów dała występ Toyota Avensis. Kogo z nas tknęło przecucie, nie wiem, możliwe, że wszystkich razem albo kolejno, ale na wszelki wypadek Robert przystąpił do montowania bagażnika w przeddzień wyjazdu, nie zaś w ostatniej chwili. No i okazało się, że obejmy nie pasują.

Nie upieram się, że obejmy. Może uchwyty. Śruby, podkładki, coś tam jeszcze innego, dość, że brakowało czterech milimetrów i bij człowieka głową w ścianę. A przymierzaliśmy wszak w sklepie i wszystko było dobrze, czemuż, do diabła, nie kupiłam tego przymieranego? Egzemplarz okazowy, służy tylko do przymierzania, a sprzedają nowe, no to co? Należało pazurami i zębami uprzeć się przy sprawdzonym!

Wielkie magazyny są długo otwarte, bez trudu zdążyliśmy do Leroy Merlin, możliwe, że do Leclerca, ale to już wszystko jedno, Robert z Moniką polecili do wnętrza przeraźliwie długich hal sprzedażnych, kupili drugi bagażnik, przy pomocy personelu zamontowany został od razu, przed supermarketem, żeby uniknąć głupich niespodzianek, zdaje się, że kupiliśmy także potężny kawał folii dla ochrony przed deszczem i odetchnęliśmy z ulgą. Groziło nam ciągnięcie za sobą bagaży na sznurku, teraz już się mieściły, tyle że ten pierwszy bagażnik, źle dopasowany, potwornie w bagażniku przeszkadzał. Nie wiem, dlaczego tak pieczołowicie wiozłam go do domu, zamiast wyrzucić byle gdzie, bo w końcu do niczego się nie przydał, a za to przeszkadzał mi także w garażu. A w ogóle był tani.

Deszczyk popadywał, folia okazała się nader użyteczna i już w połowie drogi wyglądaliśmy jak ruchoma składnica odpadków wtórnych, poszarpanych przez rozbawione pieski.

Wiadomo, jak i gdzie parkuje się w Paryżu w okresie turystycznym. Na środku jezdni, na przejściach dla pieszych, na skrzyżowaniach... Byle gdzie. Rzadko się zdarza, żeby służba miejska zgłosiła jakieś pretensje, ale czasami owszem.

Na Wielkich Bulwarach, pod galerią La Fayette'a, po drugiej stronie ulicy, stała ta moja żoźa, zaparkowana w długim sznurze, ani pierwsza, ani ostatnia, gdzieś tam w środku. Stał także, rzecz jasna, miły, ostrzegawczy znak Stationnement genant, czyli wedle naszego tłumaczenia autoryzowanego „stacjonowanie żenujące”, a naprawdę zakaz parkowania wraz z komunikatem, że samochody stąd są karnie wywożone. Dla uniknięcia wątpliwości także śliczny obrazek z dźwigiem samojezdnym i uczeponym do niego samochodzikiem.

Wyszliśmy z Robertem ze sklepu Buchara i od razu ujrzeliśmy po przeciwnej stronie ulicy żółty samochód służby drogowej i kręcących się przy nim ludzi.

- Mamunia, czy to nie nasz zabierają? - zaniepokoił się lekko Robert.

Pewnie, że nasz.

- Leć!!! - wrzasnęłam okropnie. - Może zdążysz! Tłum na chodnikach i jezdni zasłonił mi widok i dopiero później się dowiedziałam, że zdążył w ostatniej sekundzie, już przytykali zaczep do czegoś tam w moim przodzie, może do zderzaka, nie mam pojęcia, za co łapią. Na szczęście Robert był pierwszy, jeśli kierowca dotknie samochodu pierwszy, dają spokój i nie czepiają się. Jeśli jednak oni go wyprzedzą, nie ma siły, pudło należy do nich, choćby się awanturował i płakał, zabierają, on zaś może się wypchać i jechać za nimi taksówką. Wywożą daleko i odbieranie jest obrzydliwie kosztowne i wściekle czasochłonne.

No i niech mi kto powie, dlaczego zaczęli akurat od mojej Avensis? Właśnie ją sobie wybrali z samego środka, przed nią i za nią stało tego zatrzesienie, lepsze, gorsze i całkiem takie same, to nie, szła na pierwszy ogień. Co ona takiego zrobiła, żeby ich do siebie zwabić? Obcy numer...? Zawracanie głowy, tam stały wszystkie kraje świata.

Zosia z Moniką odrobinę wcześniej poszły do którejś galerii, z Buchary wyszliśmy z Robertem sami, on polecał, ja szłam wolniej, po przerzedzeniu się tłoku stwierdziłam, że samochodu nie ma, mojego syna nie ma, służby drogowej też nie ma, synowa z wnuczką znikły w magazynach i co właściwie mam teraz zrobić? Zabrali ten samochód czy nie? Komórki Robert nie ma, samochód tym bardziej, a dziewczyny nie odbierają, bo nie słyszą sygnału. Także nie kojarzą, jeszcze nie przywykły, *to* moja druga komórka, zabrana z Polski.

Poczułam się jak prawdziwy, szpiegowski punkt kontaktowy, usiadłam przy stoliku w najbliższym bistro i przystąpiłam do popijania wszystkiego, co mi przyszło na myśl. Kawa, herbata, sok grejpfrutowy, piwo, białe wino... Czerwonego nie chciałam, na kieliszki czerwone dają byle jakie. Postanowiłam tak siedzieć, aż ktoś z nich się znajdzie, i nawet mi było przyjemnie, tylko trochę twardo.

Pierwszy wrócił Robert, piechotą, samochód zaparkował w którychś kazamatach, podziemnych parkingów w Paryżu nie brakuje, tyle że ja ich nie cierpię i nie używam. Obydwoje czekaliśmy na Zosię i Monikę, pożywiliśmy się nieco, potem one przyszły i też się pożywiły, i tym sposobem spędziliśmy naprzeciwko Buchary co najmniej pół dnia.

Jeśli komuś się wydaje, że na tych dowcipach Avensis poprzestała, bardzo się myli.

A tak przy okazji i na marginesie drobny wtę:

Zdaje się, że to właśnie wtedy okropnie oszkalowaliśmy Austrię. Austriacy, co prawda, w życiu tego nie przeczytają, a o wzdardliwych supozycjach nie mają pojęcia, ale i tak odczuwam głęboką



skruczę, bo w końcu kraj sympatyczny i z taką piękną stolicą... Może usprawiedliwia nas nieco Maria Teresa, ale na wszelki wypadek wolę ich przeprosić.

Austria w numerze rejestracyjnym posiada literę A. No nie, niezupełnie w numerze rejestracyjnym, dawna tak zwana PL-ka, przyklejana gdzie popadło, byle z tyłu, podobnie jak inicjały innych państw, oficjalnie nosi nazwę: wyróżnik państwa. Możliwe, że zawsze to się tak nazywało, tylko nikt ze zwykłych ludzi o tym nie wiedział. Ale skoro wycofuję się ze szkalowania Austrii, powinnam to chyba robić jakoś urzędowo?

Zatem Austria wyróżnia się literą A. Paryż w okresie turystycznym zawiera w sobie wszystkie narodowości z wyjątkiem Francuzów. Przywykliśmy do tego poniekąd, ale jakoś zwróciło naszą uwagę, że ilekroć płacze się nam pod nosem idiota, zaopatrzony jest w literę A. A-idiotów plątało się zdumiewająco dużo.

Do galimatiasu miejskiego zarówno Robert, jak i ja byliśmy przyzwyczajeni, mimo to jednak idioci A rzucili się nam w oczy.

- Czy A to Austria? - spytałam nieufnie.

- Austria - potwierdził Robert.

- A nie O umlaut? Ósterreich?

- Nic nie wiem o umlautach. Austria. Oni **chyba** nie należeli do demoludów?

- Nie. Udało im się nie.

- I nie było u nich zakazu posiadania samochodów?

- O ile wiem, nigdy w życiu.

- Prerie jakieś mają? Sawanny? Bezludne pustynie?

- Zgłupiałeś, głównie góry. I są gęsto zaludnieni.

- To może nie potrafią jeździć po płaskim...?

Bez mała co chwila, prawie na każdej ulicy, kretyn wyczyniał dziwne sztuki albo zwyczajnie hamował ruch. Zastanawialiśmy się, skąd się to bierze, młodzież na wakacjach? Ci, którzy świeżo zrobili prawo jazdy? Niedzielni kierowcy? Półgłówki...?

Skąd w Austrii tylu półgłówków i skąd im się biorą?

Robert pierwszy zwrócił uwagę na faceta za kierownicą, chyba przy czerwonym świetle.

- Mamunia, ten Austriak jakiś mocno opalony - rzekł z powątpiewaniem.

Istotnie. Nie dość, że mocno opalony, to jeszcze miał na głowie coś jakby turban.

Zaczęliśmy przyglądać się pilniej, Zosia i Monika również zwracały uwagę. Niektórzy Austriacy zaliczali się do rasy białej, ale przytrafiali się rzadko. Czasami mieliśmy wątpliwości.

- Matka, czy Austria dostała może ostatnio jakieś kolonie, o czym ja nic nie wiem? - zainteresował się Robert.

- Może, ale ja też nic nie wiem. Nie słuchaliśmy żadnych wiadomości i nie czytamy gazet. Raczej wątpię, chociaż, kto wie?

- Mieli dosyć własnego bałaganu i poddali się dobrowolnie - podsunął ktoś z nas.

Głowiliśmy się nad sytuacją geopolityczną, bardzo zaintrygowani, aż do chwili, kiedy Michał poinformował nas, iż we Francji to duże A oznacza po prostu naukę jazdy...

Najmocniej Austriaków przepraszam.

Zdaje się, że natychmiast po powrocie do Warszawy zaczęłam się przeprowadzać.

Milion razy pisałam... no, może odrobinę mniej niż milion, dwa albo trzy... ale powtórzę jeszcze raz, że używam wydarzeń z własnego życia z bardzo prostego powodu. Jeżeli coś istotnie nastąpiło,

nikt we mnie nie wmówi, że jest niemożliwe. Nieprawdopodobne owszem, zgadza się, ale nie niemożliwe, skoro zaistniało. Więc proszę mi tu nie zarzucać przesadnie wybujałej imaginacji!

Niektóre elementy przeprowadzki znalazły się w ostatnim utworze, który w momencie pisania niniejszych słów jeszcze nie pojawił się w księgarniach, i nie mam pojęcia, co będzie pierwsze, „Autobiografia” czy „Krętka Blada”. W każdym razie opiewały prawdę.

Rzeczywiście w przyпыłwie pomieszania zmysłów przeprowadziłam się jednym kopem. Nie mogłam zaangażować żadnej fachowej firmy od takich rzeczy, bo firma na ogół działa konsekwentnie, pakuje wszystko w jednym miejscu, przewozi w drugie, tam rozpakowuje i nawet ustawia. W moim przypadku podobny luksus w grę nie wchodził, jedno się brało, drugiego nie, coś zostawało w różnych celach, śmieci nie wolno było wyrzucić, bo mogły się w nich znajdować najcenniejsze teksty, mebli do ustawiania i półek na książki w nowym domu jeszcze w pełni nie było, krótko mówiąc, istna rozpacz.

Przyjęłam dobrowolnie zadeklarowaną pomoc otoczenia, głównie bazując na młodych i silnych jednostkach płci męskiej oraz przytomnych jednostkach płci żeńskiej w różnym wieku, dopilnowałam pakowania w dotychczasowym domu, na krok się z niego nie ruszając, po czym odjechałam z ostatnią partią towaru i od owej chwili moja noga na przeklętych schodach nie stanęła. Nawet nie sprawdziłam porządnie, czy coś potrzebnego gdzieś tam nie zostało zapomniane.

Szczerze mówiąc, najbardziej mi żal drewnianej łopatkii do teflonowych patelni, starej, więc doskonale wyrobionej, z zaokrąglonymi narożnikami. Trudno, przepadła. Ponadto przepadł zegar ścienny, żółtozielony, otrzymany w prezencie, przedwojenne korbówki do włosów i nieco odzieży. Podobno w dwóch workach śmieciowych zostało kilka moich kostiumów i kiecek, według których zamierałam uszyć sobie nowe takie same, ale wolałam postradać kiecki niż życie.

(Nikt, kto nie dusił się na schodach tak jak ja, nie pojmie moich doznań. Czy ja pisałam kiedykolwiek o moich spacerach zdrowotnych, kiedy o drugiej w nocy złamanym scyzorykiem czyściłam z lodu parking przy ulicy Ludowej...? Mówię przecież, a jest to informacja z gatunku intymnych, powinna zatem wszystkich zachłannie interesować, że nie trawię schodów zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Możliwe, że psychicznie bardziej, skoro fizycznie ciągle żyję.)

Chyba natychmiast po przeprowadzce, w chwili największego spiętrzenia robót, kiedy równocześnie wygrzebywałam z pudeł książki, wraz z panią Henią usiłowałam uporządkować kuchnię, obszywałam na maszynie zasłony, chandryczyłam się o drzwi w garderobie, pisałam którąś książkę, rozpaczliwie starałam się odwalić choć odrobinę prac ogrodniczych i ogólnie byłam bliska kresu, pojawił się jakiś młody człowiek. Dziennikarz.

Wyglądał nawet sympatycznie i robił miłe wrażenie, ale uparł się przy wywiadzie ze mną, a dodatkowo uczeplił się mojego samochodu.

Samochód, brudny jak świńskie koryto, stał na zewnątrz, na dziedzińcyku, garaż bowiem chwilowo służył jako magazyn, rupieciarnia, przechowalnia bagażu i sypialnia dla robotników, coś w nim jeszcze było robione, wejść prawie się nie udawało, a co tu mówić o wjeżdżaniu! Nic dziwnego, że był brudny, samochód mam na myśli, nie garaż. Garaż był nieco czystszy.

Wywiadu odmówiłam kategorycznie, jeszcze mi tylko tego brakowało, ale młodzieniec nie popuścił. Uparł się także, że umyje mój samochód, zapewne w ramach zaoszczędzenia mi wysiłków.

Nie powiem, gdzie akurat miałam mycie samochodu, dużo mnie obchodził jego blask w obliczu braku miejsca na największą patelnię, za krótko uciętej zasłony, całego akapitu, który powinnam wstawić jedenaście stron wcześniej, stu cebulek tulipanów, żądających natychmiastowego

posadzenia, zmywarki do naczyń, która nie chciała gdzieś tam przeskakiwać automatycznie, i tysiąca innych kłopotów. Ja tu usiłuję podzielić się na cztery części, a ten mi truje myciem samochodu, oszalał chyba.

Jednakże kran i szlauch znajdowały się na zewnątrz, doskonale widoczne. Młodzieniec chwycił je w dłonie radośnie, machnęłam zatem na niego ręką, chce myć, niech myje, pies go trącał, pojęcia nie mam, czy dostał od pani Heni jakąś szczotkę i szmatę, czy wycierał własną koszulą, w każdym razie umył, wytarł i znów uczeplił się mnie. Wywiad i wywiad!

Zorientowałam się nagle, że już zmarnowałam przez niego więcej czasu niż ten cały wywiad by zajął.

- Dobrze - powiedziałam. - Niech będzie. Jazda, ale już!

On zaś podstępnie posunął się dalej. Odjechać kawałek w piękne plenery, chce zdjęcie, mnie razem z samochodem, musi mieć takie, to na tematy motoryzacyjne...

Ciemno mi się w oczach zrobiło, ale byłam konsekwentna. Plenerów dookoła skolko ugodno, z zegarkiem w ręku jadę trzy minuty i dalej ani metra. Tak też uczyniłam, wał przeciwpowodziowy i pradolina Wisły stanowiły granicę. Popstrykał sobie trochę, twardo oznajmiłam, że wracam, uległ wreszcie, słowo mówione sobie nagrał, uzgodnił termin autoryzacji i odjechał.

Po czym ukazało się czasopismo, Gala, i wyszło na jaw, iż zostałam obrzydliwie i haniebnie oszukana.

Owszem, autoryzowałam ten wywiad. Niestety, nie na piśmie, w wydruku, tylko na ekraniku laptopa, czego z serca nie znoszę. Jestem przyzwyczajona do słowa drukowanego na papierze, do normalnego czytania, które pozwala mi rozumieć i oceniać tekst na pierwszy rzut oka, ekranik to nie to samo.

Już wtedy byłam niezadowolona, krzywiłam się, bo chłopak wyrzucił wszystkie uwagi krytyczne, a że mu ich nie żałowałam, to pewne. Mówiłam o spieprzonej elektronice, o za słabym akumulatorze, o dzikim wyciu bez powodu, o niechęci do kierowcy, jaka w tajemniczy sposób promieniowała z samochodu. Avensis była niezycziwa, nie ja jedna to stwierdziłam. Nic z tego nie zostało, zamieścił wyłącznie pochwały, a powiedzmy sobie uczciwie, jakieś zalety ona miała i nie widziałam powodu, żeby je ukrywać.

Na mój pełen oburzenia protest usprawiedliwił się ze skrucą, że nie było miejsca, że szef, że o wadach kiedy indziej i nie pamiętam, co tam jeszcze. Znów miałam za mało czasu, żeby się z nim kłócić, wzruszyłam ramionami i machnęłam ręką.

W czasopiśmie zaś okazało się, iż jest to rozkładówka, w której ja osobiście z zapalem reklamuję Toyotę Avensis.

Szlag mnie nie trafił chyba wyłącznie z tego braku czasu. W życiu bym się na coś podobnego nie zgodziła! Za żadne pieniądze świata nie reklamowałabym czegoś, co sama uważam za wybrakowane, a co tu mówić za darmo! Pomijając już to, że o żadnej reklamie nie było mowy, zostałam wzięta z zaskoczenia i zrobiono ze mnie balona.

Oczywistą jest rzeczą, że obydwójce z panem Tadeuszem, moim plenipotentem, zionąc ogniem, postanowiliśmy wytoczyć im sprawę sądową. I może należało, ale rychło wyszło nam, że skrupiłoby się na tym chłopaku, który mi głowę zawracał, i co? Od niego żądać odszkodowania? Zgnębić go owszem, dałoby się, zasługiwał na to czy nie, obojętne, ale marnować czas, siły, zdrowie i pieniądze tylko dla głupiej zemsty? Idiotyzm.

Co nie przeszkadza, że osoby, wmieszane w tę kretyńską imprezę, postarałam się zapamiętać na

resztę życia.

A tej gangrenie jeszcze byto mało. Krótco potem pozwoliła się ukraść.

Wciąż jeszcze stała na dziedzińcyku, bo garaż do końca służył jako pomieszczenie rezerwowe, warsztat stolarski i magazyn.

Alarmu nie włączałam ze strachu. Wyraźnie napisałam, że elektronika zatrauwa mi życie, czy nie? Otóż od samego początku, możliwe, że od pierwszego włączenia, przeżyłam chwile najpierw grozy, a potem udręki. W ciągu jednej nocy trzy razy przyjeżdżała ochrona, wyrywając mnie ze snu, wspomagana dzikim wyciem wokół domu, i szukała złoczyńcy. Zaspana, zdumiona, zdezorientowana i wściekła, sama zaczęłam wierzyć, że gdzieś tu u mnie czai się włamywacz, niewątpliwie idiota, skoro sam na siebie napuszcza wrogów i jeszcze nie rozumie źródła dźwięków.

Włamywacza jednakże nie było, rozżłościłam się ostatecznie, wyłączyłam piekielny alarm i dospałam do rana. Nazajutrz rozpoczęło się wnikliwe badanie nadgorliwości urządzenia i wyszło na jaw coś okropnego. Mianowicie na górze, w pokoju gościnnym, stał na oknie kwiatek w doniczce, dokładnie naprzeciwko fotokomórki, poruszał cholernik listkami i fotokomórka wyłapywała to natychmiast. A poruszał, bo chwilami wiało na niego ciepłe powietrze z grzejnika.

Nie miałam ochoty rezygnować z kwiatka, dokonano zatem skomplikowanych manipulacji i mogłam zaalarmować cały dom z wyłączeniem góry. Poszłam na tę kombinację bardzo chętnie, żeby bowiem wleźć do mnie przez pokój gościny, należałoby rozebrać część dachu, względnie wykuć z muru okienko, co zapewne dałoby się zauważyć z zewnątrz. Nie mieszkam na środku pustyni.

Zaraz potem dwukrotnie, raz za razem, sama wczesnym porankiem sprowadziłam ochronę, zapomniawszy o cholernym alarmie i beztrosko zająwszy się herbatą.

Obrzydły mi te atrakcje i postarałam się zapominać o nim wieczorem. To włączałam, to nie, no i wtedy akurat nie, co zapewne zostało wysledzone przez złodziei. Przy okazji ugruntowałam się w manii prześladowczej, oni chyba rzeczywiście czatowali na mnie, jechali za mną od dealera, zdenerwowała ich opieka policji, później mój wyjazd, później zmiana lokalizacji, i tym bardziej uparli się osiągnąć swoje. Honorowi.

(Prawdę mówiąc, ginie dżentelmeneria w narodzie. Uczepiwszy się mnie do tego stopnia i zyskawszy takie ułatwienia, powinni byli przysłać mi róże i szampana. Mógłby być Dom Perignon...)

Jak zwykle, weszłam rano do kuchni i od razu dostrzegłam otwarte kuchenne okno. Odruchowo rzuciłam okiem na zewnątrz, ujrzałam otwartą bramę, za to nie zobaczyłam tyłu toyoty. Dziedzińcyk był pusty, trochę już mniej odruchowo, bo jakaś myśl zdążyła mi błysnąć, obejrzałam się na torebkę. Torebki na miejscu nie było. Nie oglądając już niczego więcej, zadzwoniłam wszędzie, zarazem alarmując ochronę pilotem.

Tłum się zgromadził bardzo szybko, przyjechał Witek, także pan Ryszard, można powiedzieć budowlany opiekun domu, nie wspominając już o policji i ochroniarzach, którzy zderzyli się w rozwartej bramie jako pierwsi. Gorączkowo usiłowałam sobie przypomnieć, co miałam w torebce, blokowałam karty kredytowe, odpowiadałam na pytania, sprawdzałam resztę domu, wszystko działa się razem. Ocalał mi paszport, co mnie tak ucieszyło, że innymi stratami przestałam się przejmować, szczególnie, że i tak wyszło już zarządzenie o wymianie praw jazdy i dowodów osobistych. Bardzo dobrze, od razu wyrobię sobie nowe.

Policję z kolei ogromnie ucieszyła informacja, że Avensis miała Lojacka. Został zamontowany od razu po przeprowadzce, chyba jeszcze nawet przed tym idiotycznym wywiadem reklamowym, a może nawet wcześniej, nie pamiętam dokładnie, bo myli mi się montowanie w następnym samochodzie...

Wcześniej. Natychmiast po kupieniu, w serwisie w Markach. W następnym załatwiono to w moim garażu, z czego wynika, że garaż był już dostępny, zatem później...

Czort bierz termin, grunt, że zabezpieczenie miała. To akurat szczęścia mi nie przysporzyło, obydwój z Witkiem łypaliśmy na siebie zatroskanym okiem, ponieważ wcale nie chcieliśmy tej zarazy odzyskać. Dojadły mi już jej wszystkie fanaberie i przemyślałam nad zmianą samochodu bez względu na kolor kurteczek, Witek zaś bardzo mnie popierał. Nie, bądźmy ściśli, nie bardzo. Trochę. Raczej był za niż przeciw.

Niestety, ustrojstwo zdało egzamin, Avensis wróciła. Została elegancko namierzona, złodzieje się połapali, poczatowali czas jakiś na siebie wzajemnie, policja na nich, oni na policję, wszyscy stracili cierpliwość i samochód mi dostarczono. Nic złego mu nie zrobili, poszarpali tylko trochę tapicerkę bagażnika w poszukiwaniu czujnika Lojacka, nie znaleźli i zrezygnowali. Razem z samochodem wróciła moja torebka (Szkoda. Kupiłabym sobie nową, bo ta już się starzeje...) i wszystkie dokumenty, co prawda już unieważnione, ale i tak bardzo to ładnie ze strony sprawców. Nieznanych, rzecz jasna, bo jakże by inaczej.

Następnych potencjalnych złodziei uprzejmie zawiadamiam, że we wszystkich oknach zostały założone dodatkowe zabezpieczenia, więc niech sobie nie zadają fątygi. Brylantów nadal nie posiadam.

Ponadto kwiatek został przesunięty, parę innych drobnostek udoskonalono, włączam alarm, niech go piorun strzeli, i nawet zacznam się do niego przyzwyczajać.

Następnie razem z Witkiem odbyliśmy krótką podróż do Alicji.

Gubię tu trochę chronologię, bo w tak zwany międzyczas weszły liczne i urozmaicone wydarzenia, ale chcę już odpracować okropną Toyotę Avensis i skończyć z nią na wieki wieków, amen.

Pojechałam z dwóch powodów. Po pierwsze, chciałam sobie kupić cebulki tulipanów i wygrzebać parę roślin z ogrodu Alicji, przy czym doskonale wiedziałam, że na cebulki tulipanów jest jeszcze stanowczo za wcześnie, ale po drugie i ważniejsze, Alicja źle się czuła, miała kłopoty zdrowotne, chciałam się zorientować w sytuacji i sprawdzić, jak można jej pomóc. I niech mi tu nie gędzi, że ma gdzieś pomoc i niczego jej nie potrzeba, bo to nieprawda, a poza tym sama siebie miałabym za ostatnią świnię, gdybym chociaż nie spróbowała. Ona mi kiedyś uratowała życie, a ja mam się teraz na nią wypiąć? Niech ona się puknie w głowę.

Witek zaś miał interesy w Danii i zwyczajnie korzystał z okazji. Zdaje się, że głównie były to ryby, nie do spożycia i nie na handel, tylko takie do łowienia. Na spinning. Nie wiem gdzie, bo Nykobing nie leży nad morzem, tylko nad cieśniną, ale nie znam upodobań ryb i nie będę się wtrącać.

Zdecydowaliśmy się lecieć jednym ciągiem, bo jeszcze było lato i słońce nie zachodziło zbyt wcześnie. Witek, poranny skowronek, nakłonił mnie do wyjazdu o piątej rano, dzięki czemu mogliśmy zdążyć na prom w Warnemunde o osiemnastej. Zgodziłam się, jeśli się jedzie we dwoje, dłuższe postoje nie są potrzebne.

Na dzień wyjazdu wybraliśmy sobie czwartek. Przyczyny nie mają znaczenia, tak nam jakoś wypadło.

W środę przyszła pani Henia, bo bez niej nie jestem w stanie się zapakować do dzisiejszego dnia, a wówczas jeszcze bardziej nie byłam. Z nader prostego powodu, urządzając dom po przeprowadzce, usiłowałam robić wszystko naraz i brakowało mi czasu, głównie zadbałam o książki, papiery, elementy dekoracyjne i komputer, no, ponadto o łazienkę, kosmetyki i lekarstwa, szklanki i talerze,

ręczniki i majtki, kwiatki i świeczniki... Zarazem z uporem oddawałam się pracy zawodowej i rezultat był straszliwy. Na pytanie, gdzie coś umieścić, pani Henia zazwyczaj słyszała odpowiedź: „Gdzie pani chce”, względnie: „Gdzie się pani zmieści”, a najczęściej: „Gdziekolwiek, później się zastanowię”, i w efekcie miejsce pobytu co najmniej połowy mienia nie było mi znane.

Między nami mówiąc, do tej pory moja kuchnia nie jest uporządkowana i zmieściłoby się w niej dwa razy więcej wszystkiego, gdyby się nad tym zastanowić. Melanż panuje w niej straszliwy i połowę melanżu zna pani Henia, a połowę ja. No nie, przesadzam, pani Henia panuje nad znacznie większą połową.

Ale ciągle mam to w planach...

Pani Henia zatem przysłała w środę. Świadoma, iż, jeśli mam opuszczać dom o piątej rano jako tako przytomna, muszę wstać najpóźniej o czwartej, postanowiłam iść wcześniej spać i nawet podobała mi się ta myśl, bo czułam się zmęczona. Pakowanie już było prawie całkowicie odpracowane, dla Alicji, rzecz jasna, wiozłam śledzie w słoikach, kiszzone ogórki, bigos i coś tam jeszcze, należało dopilnować, żeby czegoś nie zapomnieć, zostało to zatem starannie przygotowane do podróży, a przy okazji i moje rzeczy, po czym, o 20.30, pani Henia powiedziała, że chyba można zatrzasnąć furtkę i zamknąć drzwi, bo o tej porze nikt już nie przyjdzie.

Zła godzina na te słowa czyhała.

O 20.40 zabrzączał u furtki człowiek do wodomierza. Nie miałam pojęcia, gdzie w moim domu znajduje się wodomierz, ale on wiedział. Wpuściłam go, znalazł, zrobił co trzeba i poszedł.

O 20.50 zadzwonił telefon i odezwała się Marta Klubowicz. Załatwiała sprawę sprowadzenia do Polski nakręconego w Rosji serialu z „Całego zdania nieboszczyka” i okazało się, że potrzebne będzie streszczenia scenariusza, a ściśle biorąc, streszczenie każdego odcinka. Nie byłam zachwycona tym przymusem, ale omówiliśmy sprawę i uzgodniłyśmy terminy, co trochę potrwało.

O 21.30 przyjechała Ania Pawłowicz, połowa wydawnictwa KOBRA, przywożąc paczki z książkami, i nieśmiało poprosiła, żebym jej pozwoliła nagrać dyskietkę z czegoś na moim komputerze. Ania Pawłowicz z komputerem umiała się obchodzić, nie miałam zatem żadnych obiekcji.

O 21.50 Ania nagrywała dyskietkę, a pani Henia zaczęła wnosić książki na górę, do gościnnego pokoju, bo na dole nie było już na nie miejsca.

O 22.10 kompletnie odechciało mi się spać...

W czwartek punktualnie o piątej rano przyjechał Witek świeżutki do obrzydliwości. Z pewnością siedziałam przy herbacie. Wspólnie z panią Henią upchnęli w samochodzie resztę drobiazgów, przy czym okazało się, że, wychodząc z domu, zapomniał zabrać kanapki na drogę, ale kanapki poleciały za nim w osobie Małgosi, ponadto zapomniał swojej komórki, która już za nim nie poleciała. Nie przez złośliwość albo lenistwo Małgosi, tylko kanapki leżały na wierzchu, doskonale widoczne, a komórka tkwiła gdzieś w kącie mieszkania, podłączona do zasilacza. Zabrałam zatem obie moje komórki i nawet udało mi się pamiętać o zasilaczu.

O piątej dwadzieścia wyjechaliśmy. Usiadłam za kółkiem, ponieważ była to jedyna czynność, do której nadawałam się o tej porze.

Na samym początku podróży przygniotłam Witkowi rękę szybą. Po co tę rękę wystawiał, nie mam pojęcia i wcale tego nie zauważyłam, a sam coś mówił o zamknięciu okna, no to zamknęłam. Krzyk podniósł, ale na szczęście doskonale potrafił to zamykanie zatrzymać i niczego mu nie odciąłam.

Od pierwszej chwili przystąpiliśmy do sprzeczki o trasę. Chciałam jechać przez Szczecin i

przejście graniczne w Lubieszynie, bo do tej drogi przywykłam, zawsze tamtędy jechałam do Kopenhagi, Witek zaś upierał się przy Kostrzyniu i berlińskiej autostradzie. Zdaje się, że uległam, chociaż nie cierpię szosy do Poznania, która jakoś wtedy przeszła ulgowo, i błędząc zaledwie odrobinę, do Kostrzyna dotarłam.

Na granicy stał długi ogon osobowych samochodów, czym się zdziwiłam, bo jakoś mnie ostatnio graniczne ogony omijały, nie zastanowiłam się, po co oni tam stoją, i sąsiednim pasem podjechałam wprost do kontroli. Okazało się, że nie, to nie tu, tylko właśnie obok, na tym pasie, zapchanym samochodami. Nie pozostało mi nic innego, jak wepchnąć się w lukę między członami ogona. Wpuścili mnie. Witek moich poczynań nie komentował ani jednym słowem.

W dziesięć minut przekroczyliśmy granicę.

Dopiero w Niemczech Witek pozwolił sobie na wydanie głosu.

- Coś ty zrobiła? - spytał, jakby nieco oszołomiony. - Ominęłaś całą kolejkę, wepchnęłaś się na przód i dali ci miejsce? Co ci do głowy wpadło i jak to się mogło stać?

Znów się zdziwiłam, bo w ogóle nie uświadomiłam sobie, że w bezczelny sposób wymuszam pierwszeństwo, i prawie poczułam skruchę. Na ostatni kawałek pytania natomiast mogłam mu bez trudu odpowiedzieć.

- Na granicy ludzie stoją, rozumiesz, granica, to zawsze takie coś, co niepokoi. Jakiś zbuk podjeżdża i na choma się wpycha, a cholera wie kto to jest. Może ma prawo? Jaki desperat będzie się na granicy awanturował? Żeby mnie było więcej, to jeszcze, ale jedna sztuka...?

Po krótkim namyśle Witek przyznał mi rację, policzył zarobiony czas i wyszło mu, że zdążymy do Rostocka na wcześniejszy prom, ten o szesnastej. Tu znów zaczęłam się czepiać. Do jakiego znowu Rostocka, nie chcę do Rostocka, jadę do Warnemiinde! Rostock się omija, autostrada leci prosto do przystani promowej, co on mi tu głądzi o Rostocku!

Poprzednio uzgodniliśmy, że zamienimy się na stacji benzynowej, ale przez ten Rostock zapomnieliśmy o uzgodnieniu, szczególnie, że zaraz za granicą z półki nad tablicą rozdzielczą zleciała moja zapalniczka w eleganckiej, żelaznej obudowie. Witek sam ją tam położył i teraz trafiła go idealnie w rzepkę kolanową. Kiedy przestał syczeć i pojękiwać, zastanowił się głupio i na głos, co też jeszcze złego spotka go ode mnie w tej podróży, najpierw ręka, potem kolano...

Zła godzina, kwicząc z radości, leciała nad nami.

W tej stacji benzynowej, gdzieś między trzynastą a czternastą, kupiłam dwa batoniki czekoladowe, czego absolutnie nigdy nie robię. Jeden batonik nawet nadgryzłam.

Jechaliśmy dalej, uparcie sprzecząc się o trasę, bo dodatkowo zniesmaczył mnie drogowskaz na Hanower. W żaden sposób nie udawało mi się wytłumaczyć Witkowi, że Hanower leży bardziej na zachód, a ten wątpliwy Rostock bardziej na wschód i skończy się na tym, że trafimy do Puttgarten, czyniąc wielkie półkole. Drogowskaz, rzecz jasna, widniał na obwodnicy berlińskiej i miał swój sens, upierałam się przy własnych poglądach trochę bez przekonania, za to wytrwale, i kiedy wreszcie Hanower się od nas odczepił, zaczęłam twierdzić, że to inny Rostock i uwierzę w niego dopiero, jak zobaczę morze. W ogóle w nic nie uwierzę, dopóki nie pojawi się Warnemiinde.

Zaczął mżyć deszczyk, popadywał chwilami, najgorsza chwila na jezdni, jeszcze nie spłukał kurzu, a już go zwilżył i spowodował coś zbliżonego do śliskości. Zwolniłam do setki. Tłoku na autostradzie nie było, przede mną jeden samochód, dalej w przodzie jeszcze coś małego, daleko za mną też jeden, na prawym pasie autobus i właściwie nic więcej. Doganialiśmy autobus, ten przede mną i ja.

Z przyjemnością narysowałamby tę sytuację, ale na komputerze nie umiem.

Wytrwale wmawiając w Witka niewłaściwy kierunek, zbliżałam się do drogowskazu, umieszczonego po prawej stronie, i było już zupełnie jasne, że autobus mi go zasłoni. Od początku zresztą było to jasne, zawsze, ale to absolutnie zawsze, jeśli z prawej pojawia się znak drogowy, pojawia się też ciężarówka, TIR, autobus, który ten znak dokładnie zasłania. Jeśli człowiekowi zależy na informacji, musi jechać prawym pasem, w sznurze wielkich i wolniejszych potworów, inaczej nie ma siły, przeoczy, nie odczyta i niech się cieszy, jeżeli zabłądzi słabo i nieszkodliwie.

Mój osobisty rekord wynosił chyba osiemdziesiąt kilometrów.

Spragniona znaku, miałam jeszcze słabiutką nadzieję, że mignie mi przed maską wyprzedzanego autobusu, przyśpieszyłam do stu dziesięciu, łypnęłam okiem w prawo i w tym momencie tuż przede mną rozbłysły stop-światła tego z przodu. Stał cholernik na hamulcu! Też stanęłam na hamulcu, autobus już znów był przed nami, mignęła mi myśl o ominięciu tego idioty prawą stroną, ale, niestety, trochę wąsko tam było, rowerem bym się zmieściła, samochodem nie, zdążyłam wypowiedzieć jedno słowo, może dwa, takie dość powszechnie znane i używane, i gwizdnęłam go w kuper lewym reflektorem. Z przyległościami. Witek wsparł się na tablicy rozdzielczej i rozdeptał nadgryziony batonik.

Skąd, do cholery, ten nadgryziony batonik wziął mu się pod nogami...?

Nawet się nie zdenerwowałam. Było to coś tak idiotycznego, że w ogóle nie mogło mnie dotyczyć. Wcale nie jechałam tuż za nim, skąd, tuż za kimś to ja mogę jechać w korku, ale nie na pustej szosie, dwadzieścia metrów to dla mnie absolutne minimum, a jeszcze lepiej pięćdziesiąt, lubię przestrzeń. Szybkość mieliśmy mniej więcej równą, nie doganiałam go, autobus już został za nami, a teraz nagle był w przodzie, czemuż ten kretyń hamował?

W ogóle nie przyjąłam do wiadomości niepojętego zjawiska, nie raczyłam wysiąść z samochodu, obraziłam się. Ponadto byłam zdania, że od mojego patrzenia nic się tam nigdzie nie poprawi, więc mam to gdzieś, a oni niech sobie robią, co chcą.

Zrobili, owszem. Wsiadłam dopiero, kiedy przyjechała policja, deszczyk popadywał, rozmawiałam w policyjnej furgonetce, śmiertelnie oburzona, uparłszy się wyjaśnić sytuację, zadzwoniłam do Grażyny i rozmowa odbywała się w ten sposób, że ja mówiłam do niej po polsku, oddawałam komórkę gliniarzowi, zresztą bardzo sympatycznemu, ona powtarzała mu po niemiecku, on do niej też mówił po niemiecku, oddawał mi komórkę, tłumaczyła mi po polsku, odpowiadałam jej, oddawałam mu komórkę...

Witek twierdził później, że w tak rozrywkowej katastrofie nie uczestniczył dotychczas nigdy w życiu.

Ofiara wypadku, ów rąbnęty w kuper szkop, nie miał najmniejszych pretensji i nie okazywał żadnego niezadowolenia, gorączkowo tylko gromadził właściwe dokumenty, w tym moją osławioną x\eloną kaitę, ciepiatam s<sup>^</sup> bremsen, bo tego słowa zdążyłam się szybko nauczyć, hamulce, stanął mi przed nosem na bremsen bez żadnego racjonalnego powodu, poszkodowany z energią przeczył, ale skąd, jakie bremsen, żadne bremsen, wcale tych bremsen nie używał, pewnie w ogóle ich nie ma. Gliniarz załatwiał wszystko w olśniewającym tempie, prawdopodobnie miał już dosyć skomplikowanej językowo sprawcy wypadku i za wszelką cenę chciał się od niej odczepić. Okazało się, że stoimy o pół kilometra od serwisu toyoty, to po pierwsze, a po drugie, do Rostocka mamy wszystkiego raptem dziesięć kilometrów i bez problemu zdążymy na prom o osiemnastej. Nie rozbitym samochodem, rzecz jasna, i nie piechotą, tylko zwyczajnie, taksówką.



Istotnie, zdążyliśmy, tyle że jadący przedtem samochodem багаж sprawił pewne trudności, głównie Witkowi, inaczej się człowiek pakuje do pociągu, inaczej do samolotu, a całkiem inaczej do samochodu. Było chyba trochę za dużo drobnych kawałków, a ciężar całości przekraczał możliwości przeciętnego tragarza. W dodatku ani Witek, ani ja nie wsiadaliśmy nigdy na prom na własnych nogach, zawsze samochodem albo pociągiem i zdaje się, że niepotrzebnie wleźliśmy na jakieś dodatkowe schody. Nie zdaje mi się, wleźliśmy.

Zaraz potem, kiedy zaskoczona i spłoszona Grażyna oprzytomniała, dowiedziałam się, że zjawisko podstawiania się kwitnie w Niemczech znacznie bujniej niż u nas. Nikt nie zmienia starego strupla na nowy samochód, tracąc przy tym pieniądze, tylko korzystają z kraksy i ubezpieczenie załatwia im znakomity zwrot kosztów. Jedna bliska znajoma Grażyny pół roku jeździła poszukując okazji, i wreszcie jej się udało, mojej ofierze udało się jeszcze lepiej i dlatego bęcwał był taki zadowolony. Zadowolony, to mało, rozmawiając później z Grażyną wręcz tryskał szczęściem przez w telefon, a w słowach „kompletna ruina, do kasacji!” dźwięczało rozanielone upojenie. Mnie przysyłał rozmaite najserdeczniejsze życzenia i pozdrowienia.

Ciekawe, co sobie kupił po tym starym oplu...

Jeszcze ze stacji obsługi Witek zadzwonił do swojego kumpla z Nykobing, żeby przyjechał po nas do Gedser. Nic wielkiego, zaledwie około dziesięciu kilometrów. Z jakimiś postojami dojechaliśmy do Birkerod, nie pamiętam, co było po drodze, ale zrobiło się już za późno, żeby iść do Alicji, ulokowałam się w hotelu. Głodni byliśmy jak piorun, dzięki czemu po tylu latach poznałam nocne życie miejscowości, wizytowanej przez ćwierć wieku. Co prawda, w czynnej jeszcze knajpie na głównej ulicy były, oprócz piwa, wyłącznie grzanki z żółtym serem, dziwnie twarde, ale lepsze grzanki niż nic.

Nazajutrz zapakowałam prezenty dla Alicji w torbę na kółkach i poszłam do niej normalnie, piechotą, tak jak bardzo dawnymi laty.

Weszłam, wsparłam się o futrynę drzwi wewnętrznych i powiedziałam z wyrzutem:

- Alicja, jakie to Birkerod jest cholernie górzyste...

- O to, to! - ucieszyła się Alicja. - Ja to już dawno mówiłam!

Kilku przeżyć straszliwych doznałam w czasie tej wizyty i aż się waham, czy jednego z nich nie pominąć. Coś okropnego! Ale tyle było gadania w moich książkach, a także poza książkami, o ogrodzie Alicji, że chyba należy o nim bodaj napomknąć. Niech już mam to z głowy i niech się zajmę potem przeżyciami mniej obrzydliwymi.

Ktoś skorzystał z choroby Alicji, miała kłopoty z kręgosłupem, z tak zwanym kośćcem ogólnie, poleżała sobie trochę w sanatorium w Polsce, później leczyła się w Danii, sprawność fizyczna i siły jej wysiadły, zobojętniał jej nie tylko świat, ale nawet ogród, i jakieś osoby zrobiły w tym czasie porządek w bujnej i malowniczej dżungli. Nie wiem dokładnie, kto to był, ale w skład osób z całą pewnością wchodził duński ogrodnik, moim zdaniem niszczycielski psychopata.

Przyjechawszy, ujrzałam skutki i zaniemiałam na trzy doby. Nie byłam nawet w stanie zareagować na ostatnie podrygi działalności szaleńca, które widziałam na własne oczy.

Nie będę opisywać ruiny, bo dziś jeszcze na to wspomnienie niedobrze mi się robi, ale na szczęście rośliny rosną i częściowo się odrestaurowały, Alicja zaś miała dość rozumu, żeby na to nie patrzeć. Wychodziła na powietrze od strony dziedzińczyka, za skarby świata nie chciała wyjść na taras i wiedziała, co robi. Na plaster jej te stresy?

Odrośło, odrosło, pewnie, że nie to samo, niektóre krzewy diabli wzięli... ściśle biorąc, nie

diabli, tylko ten ogrodnik, głównie znęcał się właśnie nad krzewami... ale już przynajmniej nie wygląda jak po wybuchu nuklearnym. Dziwię się, że ona to wytrzymała, bo mnie szlag trafił.

Spędziłam u niej cały dzień, musiałam zrobić zaplanowane zakupy, nabywane produkty nie chcą same chodzić, podstawiono mi zatem wypożyczony samochód, kumpel Witka załatwił sprawę po duńsku, bo znał język. Volkswagen Golf, proszę bardzo, lubię volkswageny. Pojechałam do miasta, znalazłam wielki sklep ogrodniczy, zapchałam samochód roślinami, trochę ziemi wzięłam od Alicji, bo ziemi jako takiej, mimo starań, zniweczyć nie zdołali, wieczorem zakończyłam wizytę i wróciłam do hotelu. Postanowiłam odjeżdżać już wprost stamtąd, bo znów chcieliśmy lecieć jednym ciągiem, tyle że wśród urozmaiceń.

Do naszej granicy zgodził się mnie podrzucić kumpel Witka, przy czym wcale nie krył, co go do tego skłoniło, poza chrześcijańskimi uczuciami. Mianowicie znał na przejściu granicznym knajpę, gdzie dawano ruskie pierogi i do tych pierogów tak go ciągnęło. Witek zdecydował się też jechać, chociaż w ogóle miał zostać u kumpla na rybach pięć dni, bo za pięć dni Avensis była do odebrania. Z kumplem zamierzał wrócić do Nykobing, ja zaś spotykałam się przy pierogach z Małgosią, która jechała razem z ich synem, Marcinem. O uzgodnionej porze zmieniałam pojazd i mogłam się udać do domu wraz z całym zdobytym zielskiem.

O dziewiątej rano wyruszyłam spod hotelu i w szesnaście minut później ominęłam zjazd na Rodby, myśląc właśnie, że powinnam uważać, żeby nie ominąć zjazdu na R.0dby. Nikłą pociechą była mi myśl, że bądź co bądź znam Kopenhagę. Peryferiami dostałam się na właściwą autostradę i wówczas nastąpiło coś okropnego.

Samochód zaczął popiskiwać, a na tablicy rozdzielczej świeciło mi małe, czerwone światełko, znak „uwaga”. Jaka uwaga, rany boskie, na co mam uważać?! Niemal się przeraziłam, jadąc, skrupulatnie oglądałam wszystko, co miałam przed nosem, spróbowałam hamulców, w porządku, silnik pracuje jak złoto, światła działają, ki diabeł...?! Benzyna może...?

Spojrzałam na wskaźnik i wyszło mi, że jestem prawie na zerze. Ile ja przejechałam, może ze trzydzieści parę kilometrów, to jak to, podstawili mi samochód z pustym bakiem? Niemożliwe!

Możliwe, niemożliwe, benzynę należało wziąć. Była sobota, w soboty i niedziele Dania prawie nie istnieje, jednakże leży w Europie, jakaś stacja benzynowa musi być czynna, Jezus Mario, czy ja mam jakąkolwiek stację po drodze do Nykobing?! Nigdy na to nie zwracałam uwagi, nigdy na tym odcinku tankowanie nie było mi potrzebne, dokąd ja nieszczęsna dociągnę...?!

Na tle benzyny zawsze z największą łatwością wpadałam w histerię i teraz też wpadłam. Zadzwoiłam do kumpla Witka, powiedział, że oczywiście, na dziesiątym kilometrze za czymś tam jest czynna stacja benzynowa po prawej stronie...

Co zrobiłam i jak pojechałam, do dziś nie mam pojęcia, dość że znalazłam się w plenerach, na cudownie pięknych i najdoskonalej pustych szosach. Znaku żadnego nie widziałam, żywego ducha nie było, miasteczka, osiedla, nic, wiedziałam oczywiście, gdzie ogólnie jestem, Dania to nie Syberia, ale co z tego? Nie badałam kawałek po kawałku całego kraju, szczególnie z punktu widzenia stacji benzynowych! Zapytać kogoś, świetna myśl, kogo...?!!!

Powolutku objeżdżałam rondo na jakimś wielkim skrzyżowaniu, aż pojawiły się kolejno dwa samochody. Pchając im się pod nos, otworzyłam okno i machałam ręką. Świećcie przekonani, że z grzeczności daję im drogę, dziękowali mi uprzejmie i jechali dalej. Zgniewało mnie, ale nie zwyczajnie, tylko jakoś tak rozpaczliwie, z przeciwnej strony pojawił się trzeci samochód, z determinacją zajeżdżałam mu drogę i zatrzymałam się. Ów samochód też, bo mu nic innego nie

pozostało, załatwiłam rzecz skutecznie.

W środku siedziała facetka. Przez otwarte okno zadałam jej pytanie i wyraźnie było widać, jak ona mi na to odpowiada, że nie słyszy. A pewnie, że nie słyszy...

- Otwórz, kretynko, swoje okno, to usłyszysz - powiedziałam z rozgoryczeniem, nie siląc się na krzyki. Tak naprawdę, nie powiedziałam „kretynko”, tylko trochę inaczej, ale nie bądźmy drobiazgowi.

No i proszę, otworzyła. Zadałam jej to samo pytanie, okazała rozsądek, palcem wskazała kierunek i odkrzyknęła, że będzie cztery kilometry. Podziękowałam, odblokowałam przejazd, ruszyłam we wskazanym kierunku z nikłą nadzieją, że może dociągnę.

Na skrzydłach złej godziny leciała klątwa.

Miałam przed nosem licznik kilometrów. Wiem, co on wskazuje, i potrafię go zrozumieć. Odróżniam kilometry od metrów, naprawdę, nie mieszm z tym żadnych kłopotów. A jednak skręciłam w jakąś szosę w połowie drogi, udałam się w szczerze pole i oczywiście żadnej stacji benzynowej tam nie było.

Zdaje się, że udało mi się wykręcić i wrócić do skrzyżowania.

Zatrzymałam się w miejscu, najkategoryczniej zakazanym we wszystkich przepisach ruchu na całym świecie, i postanowiłam sobie, że dalej nie jadę. Tu zostaję na zawsze. Duńczycy się do siebie wzajemnie mało wtrącają, zatem ktoś wreszcie zwróci na mnie uwagę i przyjedzie policja, kiedy już na miejscu kierowcy będzie siedział wysuszony szkielet, ładnie objedzony przez mrówki, bo mrówki są wszędzie. Proszę bardzo. W ogóle nigdy już nigdzie nie jadę, za stara jestem na te podróże, mam dość, wracam do domu i tyłka z fotela nie ruszę!

No tak, ale w Nykobing czeka na mnie Witek z kumplem...

No tak, ale żeby wrócić do domu...

Uprzejmie przypominam, że cały czas byłam w stanie szoku po ogrodzie Alicji, wcale mi nie przeszło. Możliwe, że za ileś tam stron zdobędę się na to, żeby opisać widok i wszystkie okoliczności towarzyszące, na razie wciąż jeszcze mnie odrzuca.

Jednakże ruszyłam. Pojechałam dalej jeszcze dwa kilometry i stacja benzynowa, normalnie czynna, stała jak byk. Dopadłam dystrybutora.

W baku zmieściło się niecałe cztery i pół litra.

Scena trwała krótko, ale niewątpliwie nadawała się do kręcenia na żywo konkursowej groteski, bez żadnych przygotowań, bez scenariusza i reżysera. Nie rozumiałam, co to znaczy. Próbowałam zajrzeć do otworu baku, przytykając oko do błotnika, bo może tam się coś zatkało. Oglądałam wajchę, bo może się zepsuła. Próbowałam na siłę dolać więcej, bezskutecznie.

Rozum odzyskałam, kiedy buntowniczo pomyślałam, że dobre i cztery litry, na czterech litrach do Nykobing chyba dojadę, a jeśli nie, stanę w poprzek i tu już policja musi przyjechać. Oddam się w ich ręce...

Po czym spojrzałam na wskaźnik odrobinę przytomniej i pojęłam, że cały czas patrzyłam odwrotnie. Wskazywał pełny bak, mnie zaś wychodziło zero. Zaćmienie umysłowe, wywołane bez wątpienia przeżytym wstrząsem, bo co jak co, ale wskaźnik benzyny w każdym samochodzie jest dla mnie elementem najlepiej znanym ze wszystkich.

Dojechałam do Nykobing w stanie ulgi zaledwie połowicznej, ponieważ czerwona „uwaga” cały czas lśniła mi przed oczami, bez mała oślepiając. Popiskiwało Wtrwale i monotownie. Ponadto obaj, Witek i kumpel, tłumaczyli, jak mam do nich dojechać, operując rondami, na ostatnim rondzie w

prawo, potem znów w prawo, potem już ich zobaczę... Kierując się wskazówkami, opuściłam całkowicie miejscowość, trafiłam na doskonale mi znaną drogę do Gedser, potem na leśne pagórki, zawróciłam z komórką przy uchu, z wysiłkiem odczytywałam nazwy ulic i drogowskazy, Gedser już znów było przede mną, kiedy wyszło na jaw, że pomylili rondo. Od mojej strony to nie było ostatnie rondo, tylko pierwsze. Licząc od pierwszego, trafiłam i porzuciłam piszczący i błyskający uwagą samochód, zdenerwowana i ciężko przestraszona.

Ani Witek, ani jego kumpel błyskami i piskaniem nie przejęli się w najmniejszym stopniu. Odwiedli mnie od myśli, że mam za to odpowiadać, co chyba sprawiło mi pewną ulgę.

Od niedawna dokładnie wiem, co to było, ta „uwaga”, i mogę od razu wyjaśnić. Zapaliło mi się takie samo ścierwo w ostatnim, obecnie posiadanym, samochodzie, w chwili, kiedy działalność rozumu nie napotykała żadnych przeszkód, pokręciłam wajchę informacyjną, język angielski w tym zakresie okazał mi się bliski i odgadłam. Najzwyczajniej w świecie niedomknięty bagażnik. Tyle że mój nie piszczał.

W Golfie były roślinki. Zapewne z troski o nie trzasnęłam klapą za słabo.

Z Nyk0bing jechaliśmy w pośpiechu, bo okazało się, że kumpel Witka zdobył bilet na wcześniejszy prom i należało skorzystać...

Nie, nie tak. Nie zdobył biletu, zdobył szansę na bilet. W Gedser czekaliśmy w napięciu, licząc samochody przed nami, uda się czy nie? W trakcie oczekiwania Witek znalazł drugi batonik z owych dwóch kupionych w stacji benzynowej, ten z kolei nie był nadgryziony i rozdeptany, tylko roztopiony w upale kompletnie i w ogóle nie wiem, skąd się tam wziął, po wszystkich przepakowywaniach. Z ogłupienia omal go nie próbowałam zjeść, ale Witek z wielką energią wydarł mi go z ręki i wyrzucił do śmieci, twierdząc, że wszystko przez parszywe batoniki, przynoszące pecha, których, do cholery, nigdy przecież nie kupuję. Możliwe, że miał rację, bo potem bilet udało się dostać.

Po zjeździe z promu jechaliśmy normalnie.

Co przeżyłam, to moje. Samochód kumpla nie był samochodem kumpla, tylko pożyczonym od innego kumpla, i należało się z nim obchodzić jak ze śmierzącym jajkiem. Nie miał klimatyzacji, a panował wspaniały początek lata. Nie wolno w nim było palić. Zdaje się, że także pić piwa, bo i po piwie woń zostaje. Przettrzymałam wszystko bez słowa protestu, bo pomyślałam, co następuje:

Ten facet, który przedwczoraj pierwszy raz w życiu zobaczył mnie na oczy, odwała kilkaset kilometrów w upale, niczym do tego nie zmuszony, bo ja rozbiłam samochód.

Odwróćmy role. Ja wiozę idiotę, który rozbił samochód, i on mi usiłuje żreć w samochodzie czosnek albo miętowe cukierki, względnie włącza radio i chce upajać się ogłuszającym rykiem, noszącym nazwę muzyki.

O nie, kochany, nic z tego, żadnej z tych rzeczy nie zniosę. Albo chcesz jechać, albo żreć czosnek z miętowymi cukierkami i głuchnąć. Ja ci robię grzeczność, więc i ty mi zrób grzeczność, rezygnując na czas podróży z ulubionych potraw i doznań.

No to odwrotnie chyba też, nie?

Rezultat jednakże był taki, że kiedy przesiadłam się do Małgosi i Marcina, całą drogę paliliśmy papierosy jak szaleńcy. Piwa sobie nie przypominam, ale klimatyzacja działała.

O drugiej dziesiątej w nocy obie z Małgosią dolewałyśmy wody do foliowych toreb z zielskiem i ziemią przed drzwiami mojego domu. Ustalałyśmy jeszcze miejsce, w którym te roślinki posadzę.

O trzeciej dziesiątej poszłam spać.

W niedzielę od rana czekałam na pana Ryszarda, żeby z nim razem sadzić roślinki. Od samego

początku, od chwili wybudowania domu, pan Ryszard całkowicie dobrowolnie i nawet chętnie uczestniczył w pracach ogrodniczych, zaciekawiony zapewne moimi eksperymentami. Nie protestował przeciwko niczemu, zgadzał się na wszystko, z zainteresowaniem obserwując rezultat.

Przyjechał o dziesiątej i na widok ziemi z ogrodu Alicji powiedział:

- To nie ziemia. To czarne masło.

W południe wszystko już było posadzone, ja zaś musiałam tylko wetknąć pod prasę ogromny i niezwykle dekoracyjny liść, pojęcia nie mam, skąd pochodzący. Liść był tak wielki, że ze wszystkiego wystawał, umęczyłam się jak dzika świnka, znosząc zewsząd najpotężniejsze atlasy, encyklopedie, katalogi i na końcu wreszcie ozdobnego „Pana Tadeusza”.

Nawiasem mówiąc, nie wiem, co się z tym liściem stało i gdzie przebywa obecnie.

Następnie, rozpakowując się, stwierdziłam, że brakuje mi kilku drobiazgów. W samochodzie Małgosi i Marcina został mój aparat fotograficzny, pilot do mojej bramy, wszystkie zapalniczki i atlasy samochodowe. W samochodzie kumpla Witka została moja letnia kurteczka, z Witkiem zaś moja komórka, której, zdaje się, nie miał czym ładować. Nie do każdej ładowarki pasowała.

Zrobiłam bilans i wyszło mi, że zaangażowane w tę imprezę zostały następujące osoby:

1. Grażyna, u której akurat panowała temperatura 38 stopni, która w chwili mojej kraksy śpieszyła się do dentysty, umówiona na określoną godzinę, w garnku zaś miała na ogniu ryż. Ryż jej się przypalił, a zaraz potem wybuchła potworna burza z piorunami.

2. Kumpel Witka, który przeze mnie przejechał dokładnie dziewięćset osiemdziesiąt kilometrów.

3 i 4. Małgosia z Marcinem, którzy przejechali tam i z powrotem tysiąc dwieście kilometrów.

5. Mój plenipotent, pan Tadeusz, który został zaangażowany nie wiem do czego i po co, bo niezbędny okazał się dopiero w poniedziałek.

W poniedziałek zaczęłam od wizyty w banku, żeby dokonać przelewu na konto warsztatu toyoty dla utracenia wątpliwości, czy im w ogóle zapłacę. Różnych papierów miałam zatrzęsienie, od policji, z warsztatu, z serwisu holującego i nie wiem skąd tam jeszcze. Numer konta warsztatu widniał na którymś kawałku tej całej makulatury i byłam całkowicie pewna, że papier powinien być biały, w oczach mi to zostało. Tymczasem jedyny numer bankowy widniał na żółtym. Dopuszczałam własną pomyłkę, chociaż z góry wiedziałam, że niesłusznie, i zrobiłam przelew na numer z żółtego. Na pana Tadeusza zważyłam faks z pokwitowania, bo sama faksu w domu jeszcze nie miałam.

Wtorek spraw samochodowych w sobie nie zawierał, aż się dziwię, za to w środę okazało się, że muszę wysłać pieniądze kumplowi Witka, chyba dla Witka i na benzynę. Wysłałam czym prędzej.

W czwartek okazało się, że jednak numer z żółtego był niewłaściwy i przelałam pieniądze nie do warsztatu toyoty, tylko na konto holującej pomocy drogowej, całkowicie opłaconej od razu. Zadzwoiłam do Grażyny z uprzejmą prośbą, żeby powyjaśniała tam po niemiecku co trzeba, a sama poleciałam do banku i wykonałam drugi przelew, tym razem już na konto toyoty, podyktowane mi telefonicznie. Pan Tadeusz przefaksował następne pokwitowanie, przy czym wskoczyły mu w tę imprezę komplikacje osobiste z jakimś kwitem na studia dla syna i niewiele brakowało, a przez moją kraksę jego syn na studia by się nie dostał.

W piątek poprosiłam Grażynę, żeby zadzwoniła do policji z grzecznym pytaniem, czy nie udostępniliby mi chociaż jednego zdjęcia z katastrofy, bo sama, ciężko obrażona, nie zrobiłam żadnego. Głupi błąd. Grażyna pomyliła numery i zadzwoniła do ofiary w mniemaniu, że to policja, odbyta dość skomplikowaną pogawędkę, zadzwoniła ponownie, ale była chyba nieco wytrącona z równowagi wybuchami szczęścia pierwszego rozmówcy, bo nie udało jej się sprawy załatwić i w

rezultacie zdjęcia nie mam. Pojawiły się jeszcze jakieś komplikacje z idiotyczną zieloną kartą, ale ich szczegółów już nie pamiętam.

Zdumiona pomoc drogowa pieniądze uczciwie odesłała.

W sobotę wyszło na jaw, że w ogóle niczego nie trzeba było płacić, bo wszystko załatwia ubezpieczenie i warsztaty z asekuracją egzystują w pełnej symbiozie finansowej.

O dwudziestej trzydzięści przyjechała Małgosia z córką, Martą.

58

O dwudziestej pierwszej przyjechał Witek elegancko naprawioną toyotą.

Po czym od razu stwierdziliśmy brak przedniej tablicy rejestracyjnej, pozostawionej w drobnych szczątkach na autostradzie, przed wyjazdem z warsztatu zamienionej na tylną. Mówiąc po ludzku, tę z tyłu przykręcili z przodu, bo brak tylnej mniej się rzuca w oczy, a jeśli nawet się rzuci, to i tak zwykle za późno.

Na końcu przystąpiliśmy do czczenia imprezy.

Tak wyglądała krótka podróż do Alicji. Cholerną toyotą.

No i naprawdę powyżej uszu miałam kretyńskiej Toyoty Avensis. Fanaberyjny, złośliwy, nieżyczliwy samochód. Wyje w miejscach kompromitujących bez racjonalnego powodu i rozładowuje sobie akumulator. Trzy po kolei pozwalają się ukraść. Wzywa ta cholera do siebie służbę miejską i zachęca do wywiezienia gdzieś tam. I w końcu rzuca się na obcego faceta na niemieckiej autostradzie. Nie, stanowczo jest to nie do zniesienia!

I ja coś podobnego miałam reklamować...!!!

Zgniewało mnie i kupiłam wreszcie volvo. *ii ii £<*

Pozbyłam się Toyoty Avensis w naturze i na piśmie i mogę wrócić do chronologii. Zapomniałam, o czym w ogóle pisałam. A, o beztroskiej starości na emeryturze...

Nie. Zaraz, tylko spokojnie. Odrobinę chronologii może tu wepchnę.

Nie bez powodu pan Tadeusz zemścił się na mnie swoim utworem o koszarnej i głupkowatej babie, tyle bowiem rozrywek spotykało go z mojego powodu, że właściwie trudno mu się dziwić. Jakos chyba musiał odreagować?

Lotnisko Charles de Gaulle odcierpiałam przy dzieciach, po czym znalazłam się tam ponownie razem z nimi, kiedy przylatywał mój plenipotent, do wojażu niejako zmuszony. Pojawiły się służbowe sprawy do załatwienia, obecność pana Tadeusza w Paryżu okazała się niezbędna, miał przylecieć na dwa dni. No i bardzo dobrze, niech leci.

Zastrzegł się, żeby tanio, żadnych kosztownych luksusów, jeszcze lepiej. Nawet gdyby chciał szastać milionami, nic by z tego nie wyszło, bo przyzwoity hotel w Paryżu w środku sezonu stanowi senne marzenie. Udało nam się zarezerwować mu pokój w małym hoteliku przy rue des Acacias, bardzo blisko naszego lokum, po czym we właściwej chwili udaliśmy się wszyscy razem na lotnisko.

Poprzednie doświadczenia ogromnie mi się przydały, znaleźliśmy przyloty, poziom, wyjście, wszystko co trzeba, ponadto deszcz nie padał i zamieszanie panowało jakby nieco mniejsze. Za to wyjść objawiło się więcej niż jedno i tu zaistniał problem.

Port lotniczy Charles de Gaulle jest raczej ruchliwy, samoloty startują i lądują jeden za drugim, zanim zdążą wypuścić pasażerów z pierwszego, już wypycha ich z siebie trzeci kolejny i diabli wiedzą co akurat wychodzi, Moskwa, Ankara, Madryt, Warszawa czy Kair, miesza się to wszystko ze sobą w ostatniej chwili, jedni znajdują swój bagaż od razu, drugim giną walizki, jedni się śpieszą, drudzy grzebią, robi się z tego melanz kompletny. Nie wiadomo, którądy on wyjdzie, należy się zatem rozdzielić.

No i wtedy uświadomiliśmy sobie, że oni się nie znają wzajemnie, żadne z dzieci nie wie, jak ten Lewandowski wygląda. Zażądali ode mnie rysopisu.

Przez chwilę szczerze żałowałam, że pan Tadeusz nie jest garbaty ani kulawy, że nie ma zęza,

albo chociaż rudych kłaków i licznych piegów, nie sterczą z niego krwiożercze kły... Szkoda, byłoby łatwiej.

- Wysoki - powiedziałam żałośnie. - Nie bardzo gruby, ale i nie chudy, taki całkiem w sobie, żaden wymoczek nie wchodzi w rachubę. Ma brodę.

- Po pas? - spytał z nadzieją Robert. - Jak Wernyhora?

- Nie. Krótszą.

- Łysy?

- Nie. Ma włosy. Takie normalne, jak człowiek, nie jak małpa. Ciemne.

- To po czym właściwie go poznać?

- Po ogólnym wyglądzie...

Rozstawiliśmy się. Powinna była wychodzić Warszawa i możliwe, że wychodziła, ale zarazem plątały się chyba Londyn, Aden i coś z RPA. Zamiast pana Tadeusza pojawiały się fałszywe alarmy.

- Jest! - ucieszyło się któreś z dzieci. - To ten? Odwróciłam się i ujrzałam Murzyna wzrostu prawie dwa metry, na oko ćwierć tony wagi, z czarną, asyryjską brodą, w długiej, obszernej, czerwonożłotej szacie. Zresztą, nie wiem, czy to był na pewno Murzyn, bo jakoś nie widywałam brodatych Murzynów, ale po pierwsze, naprawdę był imponująco czarny, a po drugie, takie anomalie przyrodnicze obecnie się zdarzają... Zaprzeczyłam, nie, to nie jest pan Tadeusz, za gruby, pan Tadeusz jest chudszy. Następny, z długą, siwą brodą, w szacie dla odmiany czarnej... Uściśliłam rysopis.

- Nie. Lewandowski przyleci w spodniach, jestem pewna. Tych w opończach możecie wykluczyć.

Jeszcze kilku okazało się kimś innym. Wysoki, chudy facet z siwą brodą przeciętnych rozmiarów... Kolejny, wszystko się zgadzało, z wyjątkiem odzieży, owszem, brodaty, w spodniach, ale na górze posiadał coś jakby mój kilim ze ściany... W życiu nie uwierzę, że pan Tadeusz przyleciał w moim kilimie!

Ludzie się przeredzili, razem z Robertem zaczęliśmy się rozglądać po tych, co już wyszli, Zosia z Moniką czatowały duży kawałek dalej, wszyscy wpatrzeni w brodatych.

Monika nagle znalazła się obok nas.

- Matka zaczepia obcych mężczyzn - doniosła z niepokojem i zgorzaniem.

W pierwszym momencie zlekceważyliśmy informację, ale Monika była tak pełna obaw, że już po chwili ruszyliśmy w tamtą stronę. Natknęliśmy się na Zosię, zmierzającą ku nam.

- Tam jest jakiś facet - oznajmiła niepewnie. - Nie wiem, czy to Lewandowski, ale kiwa do mnie głową.

- I miny stroi - dołożyła podejrzliwie Monika. - Matka też.

Pan Tadeusz miotał się za szybą nad jedną małą walizeczką, machając do nas ręką z radosnym uśmiechem. Za jego plecami ruszało już kłębowisko z Rzymu, na szczęście zdążył wyjść. Zgadł, że Zosia to Zosia, dzięki czemu Zosia zgadła, że on to on. Nic się nie stało, poza tym, że oczywiście zginęła jego walizka i znalazła się dopiero teraz, po lądowaniu trzeciego kolejnego samolotu, zwykła rzecz, do ginących walizek mamy duże szczęście.

Monice udało się wytłumaczyć, że matka nie zaczepia obcych mężczyzn nagminnie bez racjonalnego powodu.

Prawie od razu po powrocie z Danii wpadłam z głową w scenariusze.

Ściśle biorąc, należałoby powiedzieć, że raczej z nich wypadłam. Po okropnym roku owej



niechcianej i nielubianej pracy, do której, nie wiadomo dlaczego, dałam się namówić Martusi, zapowiedziałam stanowczo, że więcej tego draństwa nie tknę. Pazurami i zębami wyplątywałam się ze szczątków, czepiających się mnie jak rzep psiego ogona, w rozmaitej postaci.

Zdaje się, że mniej więcej w tym okresie rozgrywały się w Krakowie krew w żyłach mrozące sceny na tle kręcenia owego serialu, który obie z Martusią pisałyśmy w Birker0d

» r w towarzystwie zepsutej drukarki. Co się dokładnie działo, nie mam pojęcia, bo w ogóle telewizja, jako taka, jest dla mnie instytucją niezrozumiałą, zarówno pod względem struktury wewnętrznej, jak i widzialnych efektów, w każdym razie Martusia w nerwach strasznych nie jadła, płakała i mdlała, skarżąc mi się w obcym języku. Możliwe, iż był to język polski, ale ze zdenerwowania używała chyba w nadmiarze określeń fachowych i tajemniczych skrótów. Jedyne słowa, jakie pojęłam, to że zarówno reżyser jest do bani, jak i reszta obsady, a ona nie ma na to żadnego wpływu.

Wysoce rozweselająca informacja!

Zarazem Marta Klubowicz starała się o rozpowszechnienie w ojczystym kraju ruskiej ekranizacji polskiego kryminału.

A...! Przy okazji niech tu zamieszczę sprostowanie. Opisując drobne scenki, związane z kręceniem owego serialu z „Nieboszczyka”, popełniłam pomyłkę i nie zwałajmy całej winy na mnie, bo tak zostałam poinformowana. Kto tam co popełnił, dajmy spokój i zarzućmy na to zasłonę milczenia.

Naprawdę byłam przekonana, że Diabła gra Domogarow i bardzo chwaliłam ten wybór, pasował znakomicie. Dopiero po obejrzeniu całości na kasetach we własnym domu dowiedziałam się, że nic podobnego, Diabła gra aktor, pasujący do roli jak pięść do nosa, a Domogarowa zmarnowali kompletnie, ucinając mu głowę w połowie zabawy. Absolutny idiotyzm!

Koniec sprostowania.

Poza wszystkim, dowiedziałam się poufnie czegoś, co natychmiast rozpowszechnię jedną dostępną mi metodą, mianowicie pisząc o tym. Gdyby to było możliwe, chętnie rozgłaszałabym wieść, grając na trąbie i waląc w bęben w środku miasta. Oraz wszelkimi innymi sposobami.

Apolityczna byłam, jestem i, mam nadzieję, pozostanę do śmierci. Co nie przeszkadza mi dostrzegać kretyństwa najrozmaitszych poczynań instytucji podobno państwowych.

Zdaje się, ale wcale nie jestem tego pewna, ekranizacja nieszczęsnego „Nieboszczyka” pojawiła się w naszym kraju. Dubbingowana.

Oglądałam dzieło w rosyjskiej wersji językowej, tłumaczonej mi na bieżąco przez osobę, dla której oba języki były jednakowo znane, nie ma powodu ukrywać, że przez Anię Pawłowicz. Widowisko rozrzewniło mnie zgoła, ponieważ po raz pierwszy ujrzałam ekranizację własnego utworu, mniej więcej zbliżoną do oryginału, i nawet mafia chińska oraz ruskie pieśni ludowe odpracowywane przez brazylijską mafię we francuskim zamku nad Loarą nie zmniejszyły mojego wzruszenia. Po czym, i stąd moja niepewność, wydaje mi się, iż obejrzałam to samo w dubbingu.

Tak mi się trochę coś zrobiło.

Po wyjściu ze zrobienia dowiedziałam się, również strasznie poufnie i natychmiast chciałam to rozgłosić, co niniejszym czynię, że dubbing odbył się następująco:

Po pierwsze, dla zmniejszenia kosztów zaangażowano osoby, czytające reklamy.

Po drugie, dla tego samego efektu, każda osoba odwalała swój tekst bez żadnego absolutnie związku z całą resztą, jednym ciągiem.

Innymi słowy... Jak by tu... przykładowo...

No dobrze. W „Ekstradycji” Sawka mówi grzecznym i uprzejmym głosem:

- Mnie zależy na tym od narkotyków.

Halski na to, zamiast „To ja jestem gość!”, powiada, równie grzecznie:

- To ja może o nim coś wiem. Obaj drętwi.

Gdyby reżyser „Ekstradycji” zechciał umówić się ze mną na rozmowę, rozładowującą stresy, oraz rozmaite emocje, gotowa byłabym odpracować kurczaka z nietypowym nadzieniem, zaprosić go do knajpy w Wilanowie, postawić dowolnego szampana, tylko po to, żeby poczuć się zrozumiana. Nic więcej. Dubbing w „Nieboszczyku” położył utwór do reszty, cokolwiek Ruskie zrobiły, można było to polepszyć albo pogorszyć, ukochana nasza telewizja, która chyba bardzo mnie nie lubi, zepchnęła dzieło na dno.

A, do licha ciężkiego, co najmniej w trzech czwartych grane było znakomicie!

Zaraz. Zdaje się, że wdałam się nie w to co trzeba?

Zarazem wciąż byłam w trakcie urządzania domu.

Nie wiem, kto powiedział do mnie takie głupie słowa, a nie jest też wykluczone, że sama przeczytałam je w horoskopie, zamieszczanym w Tele-tygodniu. Mianowicie miał widnieć przede mną szczęśliwy tydzień.

Tydzień, jak wiadomo, zaczyna się w poniedziałek, ale u mnie zaczął się chyba od środy.

Poniedziałek i wtorek przeleciały dość zwyczajnie. Porządkowałam książki i papiery, papiery w okropnym pośpiechu, żeby zdążyć przed przyjściem Marty, z którą razem miałyśmy odwalić streszczenie odcinków serialu. Brakowało miejsca, śmietnik należało usunąć jakoś sensownie. Ponadto wolałam posprzątać także przed przyjazdem Martusi, która zapowiedziała się na czwartek. Wiadomo było, że do porządkowania żywi nieopanowaną namiętność i z pewnością później niczego już nie zdołałabym znaleźć.

Przyszedł pan Ryszard ze stolarzem i swoim pracownikiem, panem Robertem, należało uciąć regał, zdecydować o ustawieniu półek, zmienić żarówki w łazience, wykończyć rozmaite tak zwane dorobki i w ogóle uzupełniać co popadnie.

W środę roboty wykończeniowe trwały. Przyjechała umówiona Marta Klubowicz i usiadłyśmy do tych streszczeń. Każdy odcinek oddzielnie, nie według mojej książki i nawet nie według scenariusza, tylko efekt końcowy, to co działo się na ekranie. Zaczęłam odczuwać żywą niechęć do własnej twórczości, całkowicie przestała mi się podobać. Pisałyśmy do trzeciej w nocy, ściśle biorąc, ja pisałam, a ona patrzyła mi na ręce i z troską rozważała każde słowo.

- Zwariowałaś? - pytałam chwilami z niesmakiem.

- A ty pamiętasz, dla kogo to piszesz? - odpowiadała mi na to. - Niech ci się przestanie wydawać, że dla ludzi inteligentnych!

Nie udało nam się skończyć, jeszcze trochę zostało, ale należało nieco odpocząć.

W czwartek przyjechała dość wcześnie rano, chyba po dziewiątej, i siedziałyśmy przy robocie do piętnastej. Pojęcia nie mam, co poza tym działo się w moim domu, ale dźwięki wskazywały, że jakieś prace trwają. Zabrawszy wydruk, Marta odjechała, z pewnością głodna, bo nie miałyśmy czasu na takie głupstwa jak jedzenie.

W kwadrans po jej wyjściu przyjechała Martusia, zdenerwowana niebotycznie, przywożąc pierwsze trzy odcinki nakręconego serialu. Obejrzałyśmy to. Następnie zaczęłyśmy się kłócić i kłótnia trwała do drugiej w nocy, przy czym od razu mogę napisać, gdzie tkwiła zgryzota. O Boże, co

ja mówię, zgryzota...?! Milion zgryzot! Czarna rozpacz! Jedno przeraźliwe kretyństwo!!!

Scenariusz w zamyśle i wykonaniu był komediowy, pomijam już to, że zarazem kryminalny, powiedzmy... o! Komedia kryminalna. Tak się to zazwyczaj określa.

Do tej komedii wyznaczono reżysera, kto wyznaczył, nie mam pojęcia, jakaś telewizyjna władza odgórna, Martusia, współautorka scenariusza i producent, nie miała nic do gadania, nie znała człowieka, dowiedziała się tylko, że podobno jest doskonały. Może i był doskonały, ale szybciotko wyszło na jaw, że w swojej doskonałości najdoskonalej wyjałowiony z poczucia humoru. Zdaje się, że nawet słychać z tego, co przed Martusia zostało starannie ukryte.

Reżyser zdecydował o obsadzie aktorskiej. Szczytowym jego osiągnięciem okazała się główna bohaterka, aktorka świetna do ról dramatycznych, tragicznych, Lady Makbet, Medea, Antygona, ale już przy Marii Antoninie bym się zawahała, bo jednak Maria Antonina aż do wybuchu rewolucji prezentowała niezłą frywolność. Jak się gra rolę komediową, nieszczęsna dziewczyna nie miała pojęcia, była gorsza niż Janda w „Pestce”. (Nie ujmując Krystynie Jandzie, która we właściwych dla siebie rolach jest znakomita. Wielka klasa!) Reszta, zdezorientowana doszczętnie, też nie bardzo wiedziała, co robić, przerzucając się od śmiertelnej, zatroskanej powagi do absolutnej groteski, zbliżonej do „Fircyka w zalotach” w amatorskim teatrze prowincjonalnym. Jakby tego było mało, operator wykazał się poziomem, niegodnym nawet „Fircyka”.

Zwracam uprzejmie uwagę, że określiłam charakter dzieła najdelikatniej i najwytworniej, jak zdołałam.

Kłóciłyśmy się zarówno ogólnie, jak i o szczegóły, furia we mnie musiała znaleźć jakieś ujście. On wcale nie był taki zły, ten nasz scenariusz, ale jakikolwiek by nie był, realizacja jego jakoś pobiła bezapelacyjnie, dno tak potężne, że wstyd byłoby ciągnąć sprawę dalej. Martusia snuła jakieś plany przeróbki, telewizja, której jest zupełnie wszystko jedno, co pokazuje widzom, skłonna była nawet pójść na ustępstwa, ja zaś protestowałam dziko i ogniście przeciwko przypisywaniu mi podobnej chały. Na szczęście pójsie na ustępstwa i ciągnięcie dalej napotykało przeszkody organizacyjno-finansowe, zatem szansa na zwycięstwo w sporze przede mną istniała.

O drugiej poszłyśmy spać, dalekie od radosnej świeżości i optymistycznego wigoru.

W piątek...

Zdaje się, że w tym wszystkim działał u mnie stolarz, wykonując półki na kasety wideo. Wykonał je chyba, skoro w piątek Martusia ustawiła na nich kasety. W jakimś momencie przywieźli zamówione foteliki i zadzwonili, że są do odbioru firanki. Foteliki okazały się żółte, dokładnie: żółto-

- czerwone, od czego wzrok mi się zaćmił, bo wybierałam i zamawiałam drewno bardzo ciemne, prawie czarne, z ciemnoczerwoną tapicerką. Piekłac się strasznie, kazałam natychmiast to zabrać i przywieźć właściwe.

Od rana coś zaczęło strasznie wyc, wyło i wyło bezustannie dźwiękiem ciągłym. Odkryłam źródło, wyła kuchenka elektryczna z przyczyn nieodgadnionych. O jedenastej rozpaczliwym krzykiem wezwałam pana Ryszarda, zarazem przytkając wszystkim co popadnie, wyłączyłam w końcu wycie, ale jakiś zegar tam mrugał i pojawiły się obawy, że o którejś godzinie zacznie wyc na nowo. Pan Ryszard przyjechał, stwierdził, że nie wie co to jest, ale na wszelki wypadek nastawiliśmy ów zegar na dziesiątą rano następnego dnia, przy czym nie mam pojęcia, jakim cudem udało nam się osiągnąć ów następny dzień, bo po drodze istniała wszak dziesiąta wieczorem, czyli dwudziesta druga dnia jeszcze tego samego. Może to było tylko pobożne życzenie albo nadzieja, uczucie niezniszczalne. Pan

Ryszard zapowiedział przybycie elektryka, a przy okazji uzgodniliśmy zawieszenie obrazów na ścianach.

Martusia umówiła się na jutro z panią Grażyną z telewizji, osobą kompetentną pod wieloma względami, w sprawie rozstrzygnięcia sporu o poroniony serial. Musiałam chyba z tego wszystkiego zgłupieć doszczętnie, bo dałam się namówić na korektę scenariusza z „Krowy niebiańskiej”. Poświęcałyśmy na to chwile między jednym a drugim kataklizmem.

W sobotę wycie wyrwało mnie ze snu o siódmej trzydzięci. Znow naprzytykałam czym popadło, owszem, skutecznie. Przyszli pan Ryszard z panem Robertem i przystąpili do wieszania obrazów w pracowni, co starałam się korygować z odpowiedniej odległości na zasadzie trochę wyżej, trochę niżej.

Obaj byli zajęci, jeden trzymał, drugi pukał, kiedy schodząca z góry Martusia zemdląła i zleciała z czterech ostatnich stopni. Nad wyraz wdzięcznie, z głową w górze, nogami w dole, łaska boska, że nie odwrotnie, stłukła sobie łokieć porządnie, a głowę trochę. Narobiłam krzyku, rycerze przylecieli, przenieśli ją na mój tapczan, zawsze byłam zdania, że mężczyźni są ogromnie użyteczni, i ułożyli odwrotnie, można powiedzieć do góry nogami.

Osobę zemdloną należy cucić wodą, tyle wiedziałam, w nerwach odkręciłam kran, pohamowałam się nieco, uświadomiwszy sobie, że w szklance mam ukrop, zimna nie chciała się tak od razu pojawić. Pan Ryszard wykazał więcej rozsądku, wyciągnął z zamrażalnika lód, przyłożył Martusi do łokcia i problem cucenia upadł, bo ocknęła się samodzielnie ze strasznym krzykiem. Wówczas pomyślałam o koniaku, nalałam jej zdrową bombę, przyniosłam i kazałam wypić. Martusia nie chciała, bo nie znosi koniaku, płacząc rzewnie, trzymała się za łokieć, pan Ryszard bezlitośnie uszczęśliwiał ją lodem, uległa wreszcie moim naciskom, kiedy powiedziałam:

- Pij natychmiast, bo się zmarnuje!

Zmarnowanie przyzwoitego koniaku wydało jej się takim nietaktem, że zużyła napój. I chyba słusznie, bo dość szybko przyszła do siebie, dostała piwa i na nowo stała się zdolna do pracy. No dobrze, przerywanej jękami, ale jednak.

Obrazy zostały powieszzone. Odwalałyśmy dalej „Krowę niebiańską”, przerabiając ją na życzenie sama już nie wiem czyje, w każdym razie ten ktoś chciał kręcić i Martusia miała wielkie nadzieje.

Gdzieś między siódmą a ósmą wieczorem przyszła umówiona pani Grażyna z telewizji. Nie przypominam sobie, że bym jej dała cokolwiek do jedzenia, aczkolwiek okazała się czarującą kobietą o niezwyklej inteligencji i nadzwyczaj trafnym podejściu do widowisk telewizyjnych. Poglądy wyraziła podobne do moich, trzy próbne odcinki serialu oceniła jako chałę rekordową, odradziła Martusi jakiegokolwiek starania i w ogóle zyskała sobie naszą dozgonną sympatię.

Co wcale nie przeszkadzało, że ja już byłam bliska śmiertelnego zejścia, a Martusia padła kompletnie. Z szalonym wysiłkiem trzymałam oczy otwarte, arytmia we mnie szalała, usiłowałam siedzieć prosto, co wcale nie było łatwe, i przestałam rozumieć ludzkie słowa. Martusia ze swoim łokciem i głową poszła na górę, żeby się położyć, ale podniosła ją z legowiska resztką przyzwoitości. Zeszła na dół. O północy zadzwoniłyśmy po taksówkę.

Chyba około wpół do pierwszej taksówka przyjechała i niedoceniana w tej chwili pani Grażyna wyszła. Poradziłam rozbitej i obolałej Martusi wejść pod gorący prysznic, pocieszając ją zarazem, że jutro będzie gorzej. Usiadłam przy herbacie i sięgnęłam po lekarstwa.

Dwadzieścia po pierwszej pani Grażyna wróciła, bo taksówka niedaleko mojego domu zakopała się w błocie, a ona chciałaby skorzystać z toalety.

To ostatnie nie napotykało żadnych trudności, ale poza tym załęgły się we mnie wprost cudowne pomysły:

Wezmę kluczyki Martusi, odstawię jej samochód, zaparkowany dokładnie przed moją bramą, wyjadę swoim, popchnę taksówkarza zderzakiem, bo linki holowniczej nie mam...

Obydwoje, Grażyna i kierowca, będą spali u mnie. Niby jest gdzie, ale nie posiadam jeszcze dostatecznej ilości pościeli, więc trudno, może im wystarczą koce...

Wezwę serwis, nie wiem, gdzie mam do nich telefon...

Poszłam na górę do Martusi po kluczyki, bo myślałam, że jednak wlaźła pod ten prysznic i jeszcze nie śpi. Wyrwałam ją z pierwszego snu. Na schodach oprzytomniałam.

Zaraz, spokojnie, radio-taxi ma telefon. Niech on, do cholery, ten kierowca, zadzwoni po ich serwis albo sprowadzi jakiegoś kumpla, nie jest przecież niedorozwinięty! Zgłupiałam chyba z tym zderzakiem...

Martusia zeszła na dół. Coś do picia proponowałam pani Grażynie chyba bardzo niemrawo, bo nie chciała. Nie chciała też czekać razem z nami, zapewne towarzystwo rozmazanych bab przestało jej sprawiać przyjemność, wróciła do taksówki. Siedziałyśmy we dwie, wpatrzone jak świnię w okno kuchenne, pełne napięcia. Odjechali tuż przed drugą.

W niedzielę, zgodnie z moją uroczą przepowiednią, Martusia czuła się najgorzej, ale przetrzymywała to dzielnie, nie wymigując się od pracy. Przyjechał Witek po kwit na firanki, bo w końcu należało je odebrać. Gdyby kogoś interesowało, komunikuję, że sama już wszystkiemu nie dawałam rady i, nabywając firanki, zamówiłam ucięcie według wymiarów, zaobrębienie i obszycie, a na dwanaście rozmaitych okien było tego dość dużo.

Kwit na firanki gdzieś zginął. Przy okazji wyszło na jaw, że zginęły też kwity na pozostałe meble, raczej drogie. Nie miałam głowy do szukania, musiałam się wreszcie pozbyć cholernej „Krowy niebiańskiej”, trudno, jak trzeba to trzeba, bądźmy konsekwentni. Witek się uparł, przeszukał skąpo umeblowany dom, znalazł wszystkie kwity, przywiózł firanki.

Następnie przyjechał Tadzio, niezawodny technicznie, i definitywnie wyłączył wycie kuchenki. Możliwe, że nawet odgadł co to było, ale ta informacja, niestety, do mnie nie dotarła. Do późnego wieczora odwalaliśmy robotę, bo trzeba przyznać, że Martusia, bez względu na stan zdrowia i posiadane wady, pracować potrafi, a walnięcie w głowę wcale jej na umysł nie zaszkodziło. Łokieć potrzebny nie był.

W poniedziałek zmiany w „Krowie niebiańskiej” zostały dokonane i wczesnym popołudniem Martusia odjechała, pojękując bardzo słabo. Pani Henia zaczęła wieszać firanki, w czym jej wcale nie pomagałam, bo musiałam załatwiać jakieś lekarstwo, pojęcia nie mam, jakie i dla kogo, w każdym razie w grę wchodziło skomplikowane przesłanie go DHL-em stąd gdzieś albo skądś tu. Wiem, że było to trudne.

Przyszedł pan Ryszard i przyniósł tajemnicze napoje do zmywarki. Poza tym uparcie porządkowałam książki.

We wtorek pojechałam na miasto, głównie do banku. Sądzę, że bez konieczności osobistego pobytu w banku nie ruszyłabym się z domu. Chyba zaskoczyły mnie jakieś zmiany komunikacyjne, bo przejechałam kawałek pod włos w jeden kierunek ruchu. Przy okazji zrobiłam zakupy. Pod sklepem z zapalniczkami duży żołędź zleciał z drzewa i rąbnął mnie w ciemię.

Kiedy wróciłam, okazało się, że firanek brakuje i trzeba dokupić. Nie mogłam znów jechać na miasto, bo przyszedł fachowy ogrodnik, z którym rozmawiałam chyba trochę dziwnie, zwalając mu na

głowę osobliwą dzunglę, jaka zdążyła u mnie wyrosnąć. Część dzungli należało usunąć, a część pieczołowicie zachować, wypisz-wymaluj jak u Alicji. Nie zdążył wyjść, kiedy pan Ryszard przyniósł zaplanowane wcześniej lustro. Uzgodniliśmy lokalizację luksusu.

Możliwe, że obaj wyszli i zaraz potem przyszedł Tadzio. Kuchenka już nie była, ale niepokojącym elementem pozostała zmywarka, którą też wolałam oddać w jego ręce. Tadzio ma bioprądy, sprzyjające urządzeniom technicznym i, wstrząs za każdym razem przeżywam, czyta i rozumie instrukcje obsługi. Uruchomiliśmy tę zmywarę, uroczyście myjąc kilka czystych szklanek i trzy czyste talerze, bo po pani Heni nic brudnego nie było. Przy okazji wyszło na jaw, że ogrodnik zostawił swoją aktówkę, ale zdaje się, że mogła na właściciela poczekać do jutra, w każdym razie nie spowodowała dodatkowych komplikacji i nie zginęła.

Po dziewiętnastej przyszedł doktor, co w obliczu mojego trybu życia w ostatnich dniach było wysoce pożądane.

Tak oto, mniej więcej, wyglądał mój szczęśliwy tydzień. Zastanowiłam się jak, wobec tego, mógłby wyglądać nieszczęśliwy...?

Co roku mam w domu kilka kalendarzy i milion karteczek. Wszystko zapisuję tam, gdzie akurat siedzę, w kuchni, przy biurku, przed telewizorem, przy salonowym stole, rzadziej przy jadalnym, ale też się zdarza, jasne jest zatem, że zarówno kalendarze, jak i karteczki znajdują się w rozmaitych miejscach. Wszelkie terminy: spotkania, wizyty, wyjazdy, załatwiania i różne inne pozapisywane obowiązki siłą rzeczy również znajdują się wszędzie. W dodatku zapiski są skrótowe, na przykład, „wyw. 11 czw. 17.30”, oznacza wywiad jedenastego, czwartek, siedemnasta trzydzieści, przy czym nie ma tam nie tylko roku, ale nawet niekiedy miesiąca. Jedna z oryginalniejszych notatek brzmi: „Lewandowski, psom dać piżamę i koszulę”. Rzecz jasna, bez żadnej daty.

W związku z tym zabrakło mi teraz pomocy naukowych. Za żadne skarby świata nie mogę sobie przypomnieć, co nastąpiło wcześniej, a co później, co po czym i które po którym, i uczciwie się przyznam, że nie chce mi się grzebać w papierach, szczególnie, że te zdezaktualizowane dawno poszły do kominka. Zatem chronologia musi mi wyjść ze zwyczajnej logiki.

Jeśli w bezrozumnej chęci zapoznania się ze sposobem użytkowania pralki dwukrotnie zrobiłam pranie na pusto, to znaczy bez wody i bez bielizny w środku, wyłącznie z proszkiem do prania, oznacza to, że wciąż jeszcze musiało trwać urządzenie domu zaraz po przeprowadzce. Chociaż za drugim razem chyba już z wodą, tylko bez bielizny.

Zdaje się, że nasze centra handlowe i różne firmy, ciężko zakażone minionym ustrojem, wciąż jeszcze traktowały klienta jak rodzaj plagi, lekceważąc, co tylko się dało, w tym instrukcje obsługi. Instrukcję obsługi mojej pralki oczywiście wtrynęłam Tadziovi i nawet on jej nie dał rady. Co prawda, trudno się temu dziwić, wydrukowana i pocięta była tak osobliwie, że na jednych stronach widniały same początki jednych zdań, na innych zaś same zakończenia innych, reszta każdej strony prezentowała nieskalaną biel. Najważniejsze zaś obrazki, które powinien zrozumieć nawet analfabeta, pozbawione zostały swoich dolnych części i podpisów i w ten sposób do dziś dnia nie jestem pewna, czy posługuję się urządzeniem zgodnie z jego funkcjami. Może ona pierze po prostu z litości?

Prawie równocześnie, wszystko w ogóle działało się razem, przeżyliśmy we czworo, Tadzio, Maciek, ojciec Tadzia, Witek i ja, rozrzewniając polską chwilę, kiedy przywieźliśmy z Witkiem ze sklepu zapakowane regały. Należało je rozpakować i złożyć, nadając im właściwą postać według instrukcji obsługi. Nie pamiętam, kto z nas zwrócił uwagę, że odgrywamy oto typową scenę, wręcz,

można powiedzieć, narodową: jeden pracuje, a troje się przygląda. I rzeczywiście, regaty składał Tazio, a myśmy patrzyli.

Tapczan mi przeszedł ulgowo, bo chyba miałam jakiś niezwykły przebłysk rozumu, a może akurat trafiło mnie jasnovidzenie. Przywieźli mi ten tapczan ludzie ze sklepu, nie wypuściłam ich i nie zapłaciłam do końca, uparłam się, że nie zapłacę i nie podpiszę kwitu, dopóki mi nie ustawią mebla we właściwej pozycji. Bez oporu zgodziłam się dołożyć skromną sumę za ustawienie i proszę, okazało się, że brakuje jednej nadzwyczaj ważnej śrubki. Któryś pojechał po tę śrubkę, dostał ją chyba po kumotersku, możliwe, że komuś innemu zabrakło później jednej śrubki, ale ja miałam sprawę załatwioną. Muszę przyznać, że byłam z siebie wyjątkowo zadowolona.

Od chwili ustawienia nowego telewizora zaczęłam przeliczać piloty. Telewizor musiałam nabyć nowy, bo stary nie odbierał. Nie wiem, czego nie odbierał, wiem, że odbierał Polsat, jedynekę, dwójkę, regionalną i TVN, i nic poza tym, ponieważ czegoś tam brakowało w sieci, miałam nawiązać kontakt z satelitą, względnie wręcz przeciwnie, obdarzono mnie tajemniczą Cyfrą plus, nic z tego nie rozumiałam i nie rozumiem, bo ten stary wciąż odbiera Polsat, a ten nowy nie. Za to odbiera potworną ilość obcych mi kanałów. Ilekroć jednak chcę obejrzeć coś na Polsacie, muszę lecieć na górę, do gościnnego pokoju, może to i dobrze, chodzenie po schodach jest zdrowe, ja zaś pozbyłam się schodów na co dzień, więc jeszcze bym się rozchorowała...

W każdym razie liczyłam. Jeden pilot od bramy, drugi od garażu, trzeci i czwarty od alarmu, piąty i szósty od TV i wideo na górze, siódmy, ósmy i dziewiąty od TV i wideo na dole, dziesiąty normalny, samochodowy, doszły jeszcze trzy od klimatyzacji, ale to później, plus komputer, laptop i drukarka, plus telefony i faks, że już nie wspomnę o Internecie, którego się nie dotknę, boby mi ręka uschła.

A przysięgałam, że już niczego więcej nie będę się uczyć...!!!

Kwintesencję całej sytuacji u mnie w domu wyłapała moja wnuczka Monika, kiedy dzieci z Kanady przyjechały na Boże Narodzenie.

- U babci jest jak na dworcu kolejowym - rzekła z lekką zgrozą, być może nieco ogłuszona.

Zrobiłam wtedy święta Bożego Narodzenia, po raz pierwszy w życiu u siebie...

Od razu powiem, że klątwa rodzinna na mnie nie przeszła, żeby nikt nie oczekiwał z nadzieją wydarzeń w rodzaju pożaru domu, wybuchu pieca albo napaści złoczyńców. Nic z tych rzeczy. Wybuchy były, owszem, ale później, na Sylwestra...

Też niech będzie od razu.

Przed Sylwestrem Robert z Witkiem pojechali do sklepu i kupili zimne ognie. Zdaje się, że złe przeczucia były tylko moim udziałem, Zosia miała nadzieję, że Witek przyhamuje Roberta, Małgosia sądziła, że Robert Witka, nie miałam złudzeń, ale z lekkomyślnej ciekawości puściłam rzecz na żywioł. Ostatecznie, pierwszy raz w życiu miałam uczestniczyć osobiście w takiej ognistej imprezie.

Wyszło coś okropnego! Wykupili pół sklepu i nawet te fajerwerki okazały się bardzo efektowne, tyle że uciechę sprawiły całej ludności okolicznej, a nie nam. Zniszczyły mi część trawnika i śmiertelnie wystraszyły wszystkie koty, a rozrywały się nad domem, więc nic nie było widać. Okap zasłaniał. Trzeba było oglądać je z daleka, prawie spod żywopłotu, zimno było jak piorun, grzęzło się w śniegu, palta, swetry, buty, gdzie te buty zmieniać, śnieg z ogrodu przeniósł się częściowo do salonu. Do bani taki mroźny spektakl.

Ale ładne było, a ja, chwalić Boga, nie jestem drobiazgową.

Przy tych świętach objawiły się we mnie w całej pełni cechy mojej matki i mimo licznych wizyt

rodziny nerwowo szukałam później jakiegoś hodowcy świń, bo koty pozostałościom nie dały rady. Przy nader wydatnej pomocy pani Heni zrobiłam potworną ilość pierogów z kapustą i grzybami, klusek z makiem, śledzi w najrozmaitszej postaci, sałatek postnych, jarzynowych, krewetkowych; owocowych, przygotowałam do pieczenia drób, przy którym zaczęłam marzyć o kompanii wygłodniałego wojska, nabyłam różne produkty luksusowe w postaci szynki, borówek, suchej kiełbasy, żeberka, schabiku, tortów, tu makowy, tu orzechowy, szał ciał i uprząży ułał się ze mnie bez opamiętania.

Stara wariatka.

Chociaż może nie do końca. Obie z panią Henią wykorzystywałyśmy każdą męską siłę roboczą, jaka nam się nawinęła pod rękę, i na takie, na przykład, kręcenie maku ręczną maszynką do mięsa napatoczył się pan Tadeusz. Przestraszył się nieco w pierwszej chwili, bo komunikat o kręceniu maku skojarzył mu się z ucieraniem maku w makutrze, zamajaczyło odległe wspomnienie z dzieciństwa, i na widok maszynki doznał takiej ulgi, że ukręcił wręcz ze śpiewem na ustach. Pan Ryszard narwał się na obsadzanie choinki, ale

tej radości już się spodziewał, nie przeżył zatem żadnych wstrząsów.

Tylko żadnych ciast nie piekłam. Nie cierpię drożdżowego ciasta, w obliczu śmierci głodowej zjem, oczywiście, bez żadnego wstrętu, ale uchetać się przy czymś, czego nie lubię? Aż z tak wysoka na głowę nie upadłam.

No i ryby, jako takie, zostały ograniczone. Po rybach Jagody Gotkowskiej rozbawiłam się do tego stopnia, że nie powiem, gdzie mam smażone karpie, bo i tak każdy zgadnie. Po rybie w galarecie, donoszonej przed przeszło wiekiem... no dobrze, półwiekiem... Teresie do szpitala na Solcu, nie ma takiej siły, która skłoniłaby mnie do produkcji ryby w galarecie. W tym miejscu wystąpił pan Ryszard.

Jeśli pan Ryszard będzie miał do mnie pretensje za ujawnienie jego osoby i poczynań, zabiję go po prostu. Albo nie! Zwiążę i uwiężę... zaraz, dziwne słowo mi wyszło, no, nie słowo, zestawienie słów. Będzie uwięziony, o! Zwiążę i zostanie uwięziony gdzieś w moim domu, a uwalniany tylko w chwilach, kiedy rąbnie następna żarówka, bo ktoś ją przecież musi zmienić. Jeść i pić dostanie.

Zabezpieczywszy się groźbą, mogę pisać dalej.

Pan Ryszard uwielbia gotować. Nie jest to jego zawód, z zawodu jest świetnym wykonawcą budowlanym, fachowcem, wyjątkowo rozsądnym, wybudował mój dom, dba o nieruchomość, ale nie przewidział jednego, mianowicie moich pomyłek i mojej głupoty. Tam, gdzie puściłam sprawę luzem, odżegnując się od posiadłości krzykiem nie przesadnie wytwornym, zrobił, najzwyczajniej w świecie, najtaniej. Owszem, było to rozumne i logiczne, ale, niestety, miał do czynienia, zdaje się, z trudną klientką i teraz ta taniość wychodzi bokiem zarówno jemu, jak i mnie. Jeszcze o tym będzie, bo wypadło dość śmiesznie.

Pan Ryszard w pewnym stopniu zarażony jest cechami mojej rodziny po kądzieli, jeśli już coś robi, to na duży grzmot. Korzystam z tego po cichutku w dziedzinie, na przykład, kotletów mielonych, które uwielbiam, a których nie tylko nie chce mi się osobiście robić, ale które także, w moim wykonaniu, z reguły okazują się gorsze niż wszystkie inne. Nie znam przyczyn, nie uczyniłam dostatecznej ilości prób, żeby znaleźć własny błąd, dość, że cudze zawsze lepsze. Zrobiwszy za dużo, pan Ryszard obdarza swoją produkcją osoby zainteresowane, ja zaś staram się zachowywać w miarę możliwości elegancko, ukrywając dziką zachłanność. Obawiam się, że nieudolnie.



Na święta pan Ryszard również przyrządza rozmaite potrawy, w tym ryby, od niego zatem dostałam smażonego karpia, niezbędny Teresie. Trudny to temat i może do niego wrócę, ale gdyby nie Teresa, na karpia nikt z nas nawet by nie spojrział. Ryby faszerowane w galarecie, owszem, chętnie spożywane, też od pana Ryszarda z jakiegoś miejsca, gdzie je zamawia. No i pasztet...

Dygresyjka. Dawno nie było.

Kiedyś, przed laty, mój starszy syn Jerzy... nie wiem, chyba przestanę operować starszymi i młodszymi synami, mam jakieś takie ludzkie wrażenie, że wszyscy wiedzą, który jest który i już mi się to starszeństwo znudziło. Zaczynam pisać do Czytelników jak do osób doskonale znajomych i na przykład kretynstwem byłoby mówić do Ani albo do Marty, mój starszy syn, Jerzy. Albo mój młodszy syn, Robert. Przestraszyłyby się chyba, że zwariowałam.

Zatem Jerzy powiedział do mojej matki, że uwielbia pasztet. Jej pasztet szczególnie. Wcale nie kłamał, była to prawda. Wobec tego moja matka, dysponująca czasem dowolnie, zaczęła produkować pasztet częściej i chyba wzięła zdrowy rozpęd, popadając w przesadę.

W jakimś momencie, uchwyconym przeze mnie tylko dlatego, że znalazłam się w środku gry w dwa ognie, uzyskałam informację, od mojej matki raczej łzawą i pełną urazy, że Jerzy nie zjadł pasztetu i nie przyszedł po więcej, chociaż miał przyjść i on tu czeka (pasztet, nie Jerzy) i co to ma, znaczyć, a od Jerzego, raczej bardzo zakłopotaną, ale w pełni zrozumiałą:

- Matka, ja naprawdę bardzo lubię pasztet Janeczki i powiedziałam to, i zjadłem z przyjemnością nawet parę razy, ale ile można zjeść pasztetu...?!!!

Zgodnie ze skłonnościami mojej matki, rzeczywiście byłby karmiony pasztetem codziennie. Owszem, bardzo dobrym, ale wiadomo przecież, że tym sposobem można człowiekowi obrzydzić arcydzieło. Całkiem tak, jak w czasach pańszczyźnianych w którymś terenie podgórskim chłopci zbuntowali się prawie do granic rewolucji, bo pan, wciórności, jak świnia ostatnia, karmił ich pstrągami i pstrągami...!!!

Powyższą informację uzyskałam we wczesnej młodości bezpośrednio od rodzonych syna jednego z owych zbuntowanych chłopów. Zważywszy wiek, miał prawo być nawet świadkiem buntu.

Coś mi się dygresyjka rozrosła, nie o bunty chłopskie chodziło. Miałam raczej na myśli pasztet.

Pan Ryszard zatem robił pasztet i nie jestem pewna kiedy, wcześniej czy później, przyszedł z potężnym kawałem przysmaku, nieco stropiony.

- Niech pani spróbuje - zaproponował. - Pomyliłem się i takie coś mi wyszło.

Spróbowałam bez oporów, bo chęci otrucia mnie jakoś w panu Ryszardzie nie dostrzegałam, i rzeczywiście. Pasztet był doskonały, ale miał w sobie jakiś oryginalny posmaczek, raczej zdecydowanie nietypowy. Zaczęłam się zastanawiać, niejako rozgryzając smak, ale pan Ryszard zniechęca się nade mną nie miał w planach.

- Pomyliłem się - powtórzył smętnie. - Robiłem równocześnie szarlotkę, to znaczy wcześniej ją robiłem, i do jabłek dosypałem cynamonu, on został pod ręką, ten cynamon, i bezwiednie dosypałem go do pasztetu. Chyba z rozpędu. No? I co pani o tym myśli?

Trudno powiedzieć, co myślałam, ale próbując, zeżarłam połowę. Inne osoby, w moim domu bywające, zeżarły resztę, specjalnie sobie nie krzywdując. Pan Ryszard jednakże z cynamonu stanowczo zrezygnował i robił pasztety normalne.

Znów nie w tym rzecz.

Teresa, powiadomiona zapewne w dawniejszych latach przez moją matkę o upodobaniu Jerzego do pasztetu, po powrocie do Polski...

Ciekawa rzecz, czy gdyby to było spotkanie autorskie, bezpośrednio, twarzą w twarz, czytelnicy (małą literą czytelnicy! Zwyczajni ludzie, tacy sami jak ja!) pozwoliliby mi na chwilę milczenia, poświęconą zgrzytaniu zębami. Bez głupich pytań, co mi się stało. A czy ja wiem, może kiedyś napiszę, co mi się od tego wszystkiego stało i ktoś to wyda pośmiertnie...?

A może tak się rozwścieczę, że napiszę za życia..?

Ale to już tylko z ciekawości. Co z tego wyniknie. I z całkowitą pewnością, że zaraz potem umrę, bo, do licha, nie ośmieliłabym się żyć...

Odnoszę nieodparte wrażenie, że dygresyjka nie tylko się rozrosła, ale jeszcze pęcznieje. Ciągłe jesteście przy pasztecie.

Teresa zatem, wróciwszy do kraju, zaczęła robić pasztet, głównie dla Jerzego. Owszem, też bardzo dobry, ale z reguły niedosolony. Sama go prawie nie jadła, za to obdarzała rodzinę i zdarzało się, że miałam w domu kilka paczek pasztetu, bo ktoś zapomniał zabrać albo wyjechał, albo ja sama zapomniałam wręczyć pożywienie właściwej osobie. Ostatnio zrobiła pasztet kompletnie bez soli i z tym już, muszę przyznać, ciężko było sobie poradzić.

Pasztet zatem dostałam od pana Ryszarda, bez cynamomu, i nadzwyczajnie wszystkim smakował. Rzecz jasna, nie w Wigilię, ponieważ tradycja rodzinna wymaga, żeby na kolację wigilijną spożywać potrawy postne i cześć pieśni, bez względu na aktualne wierzenia osób, ich stosunek do religii, kościoła oraz inne fanaberie. W tym miejscu jestem twarda i do widzenia. W czymś się w końcu wychowałam, zaakceptowałam to i nikt mi nie będzie mieszał w głowie. Ani na talerzu.

Oczywiście poza wyjątkiem w postaci Wigilii u państwa von Rosen, a kogo to ciekawi, niech sobie przeczyta w trzecim tomie „Autobiografii”. Nie mam cierpliwości do tych wszystkich powtórzeń.

Zdaje się, że powinnam wrócić wreszcie do tekstu bieżącego, mianowicie do pierwszych świąt Bożego Narodzenia, urządzonych przez mamunię w jej własnym domu.

Oceniając na oko, dość długo moje dzieci na to czekały, nawet jeśli to była tylko połowa moich dzieci. Policzę. No, mam kłopot. Od jakiej chwili? Od urodzenia tych dzieci? Załóżmy, że ta połowa, uczestnicząca w świątach, omijając Jerzego, którego wtedy nie było w kraju... tak mi się wydaje, gdzie wyjechał, pomijając już drobnostkę w postaci wojny, w jakiej wówczas byliśmy... O, ja nie wiem, ale chyba wszyscy już powinni się zorientować, że to nie była łatwa i taka więcej anielska rodzina.

Chyba wobec tego policzę Roberta. Ostatnia wspólna wigilia u mojej matki odbyła się w osiemdziesiątym roku, potem zaczęły się różne komplikacje, abstrahując oczywiście od odległości, oni w Kanadzie, my tu... w każdym razie na rodzinną Wigilię dzieci czekały, żeby nie skłamać, osiemnaście lat. Krócej czekał Jerzy. Znajdował się w Polsce, w czasie nieobecności Roberta były Wigilie na Niepodległości, w pieczarkarni, w Konstancinie...

Nie mam wpływu na to, że moi synowie postanowili się rozwieść z pierwszymi żonami. Nie moja sprawa. Wszystkie moje synowe bardzo lubiłam, byłam zdania, że dokonywali doskonałego wyboru, z następnymi synowymi, mam nadzieję, jestem w pełnej przyjaźni, moja matka zrobiła wszystkim tę przykrość, żeby umrzeć... Skąd niby, na litość boską, mogła się wziąć rodzinna Wigilia?

No i ta pierwsza, wreszcie, wracająca do tradycji, odbyła się u mnie. Choinka zaczepiała o sufit, ogrodenie grawitowało ku amerykańskim dekoracjom, w domu zaś pożywienie czekało na tabun głodomorów.

Ku mojemu śmiertelnemu zdumieniu nic się nie stało, poza tym, że uroczyście przywieziona

Teresa uparła się wracać do domu zaraz po kolacji, na pół godziny przed przybyciem zamówionej taksówki, i zażądała, żebym ją natychmiast odwiozła.

Odbiegły mnie wówczas chrześcijańskie uczucia.

- Teresa - powiedziałałam bardzo złym głosem - pierwszy raz w życiu spędzam Wigilię u siebie w domu i pierwszy raz od prawie pięćdziesięciu lat nie muszę nigdzie jechać. I nie jadę!

- To niech mnie Robert odwiezie.

- Mowy nie ma. Robert przyjechał z Kanady wczoraj po osiemnastu latach nieobecności i nie ma pojęcia, gdzie mieszkasz. Po ciemku na pewno nie trafi. Siedź na tyłku jak człowiek i nie zawracaj głowy, taksówka będzie za pół godziny.

Przesiedziała te pół godziny tak, że powietrze zgęstniało. Taksówka pojawiła się z nieskazitelną punktualnością i nie ma tu co ukrywać, że upodobanie Teresy do wczesnego chodzenia spać wszystkim wydało się cechą wysoce ujmującą.

Na marginesie: następnego roku, przy kolejnej Wigilii, taksówka długo czekała pod bramą, a starszej o rok Teresie wcale się nie śpieszyło do wyjścia i chętnie by jeszcze dłużej została. Nie jestem w stanie przewidzieć zachowań własnej rodziny.

Natomiast cholerna smażona ryba, której nikt nie chce, musi być obecna właśnie z uwagi na Teresę. Brak smażonej ryby obraziłby ją śmiertelnie, pewnie natychmiast by wyszła i, mimo wieku, ruszyła do domu piechotą, choćby na stole stały faszerowane *sandacze*, węgorze w galarecie, śledzie i sardynki. Chyba następnym razem usmażę po prostu mrożone filety, nabywane dla kotów.

A tak przy okazji odpracuję może resztę Teresy. No, nie całą resztę. Część.

Nie da się ukryć, że po swoich dziewięćdziesiątych urodzinach, wyprawionych jej hucznie w eleganckiej knajpie w Wilanowie, ogłuchła prawie doszczętnie. Nie sądzę, żeby jedno z drugim miało jakiś związek, bo w końcu na urodzinach żadne trąby nie grały i nikt nie strzelał z katuszy, ale faktem jest, że przedtem słyszała więcej.

Mój ojciec również był głuchy i znów pojąć nie mogę zjawiska, bo przecież żadne więzy krwi ich nie łączyły, ojciec był zwyczajnie szwagrem Teresy i z innej rodziny się wywodził, a jednak zaraza przeszła z jednego na drugie. Ojciec za skarby świata nie chciał używać aparatów słuchowych i Teresa też nie chce.

Efekty są rewelacyjne.

Z dobrego serca pięć razy w tygodniu bywa u niej Małgosia, która musiała chyba popełnić kiedyś jakieś straszne grzechy i teraz pokutuje, zasługując sobie na zbawienie wieczne. O jej grzechach nic nie wiem, a na zbawienie, moim zdaniem, zasłużyła sobie już dawno, bo Teresa nie zalicza się do osób łatwych w pożyciu.

Małgosia dba o jej pożywienie, pilnuje lekarstw, pomaga w zabiegach toaletowych i w ogóle świadczy usługi, których już lepiej nie precyzować. Ponadto uczestniczy w rozrywkach, co, można powiedzieć, rozeszło się szerokim echem.

Teresa mianowicie z upodobaniem rozwiązuje krzyżówki, domagając się od Małgosi podrzucania co poniektórych haseł. No więc Małgosia podrzuca, z tym że zazwyczaj głucha Teresa siedzi w swoim salonie, Małgosia zaś znajduje się w kuchni, w łazience, w którymś z pozostałych pokoi, w każdym razie w pewnym oddaleniu. Ryczy zatem z potężnym natężeniem, żeby Teresa usłyszała.

Już po paru tygodniach tej rozrywkowej działalności Małgosia zorientowała się, że sąsiedzi, spotykani w windzie czy w wejściu, spoglądają na nią jakoś dziwnie i kłaniają się z przesadną gorliwością. Niektórych nawet w ogóle nie znała, ale skoro się kłaniali, odpowiadała grzecznie.

Czas jakiś to trwało, nawet dość długo, aż wreszcie sąsiadka najbliższa, z Teresą prawie zaprzyjaźniona, nie wytrzymała i puściła farbę.

- Pani Małgosiu - rzekła z troską. - Co tam się u pani Teresy dzieje, że takie straszne krzyki się rozlegają? I w dodatku takie jakieś dziwne? Bo przecież panie się chyba nie kłóczą?

Przez chwilę Małgosia trwała w osłupieniu, po czym nagle odgadła sedno rzeczy.

Pewnie, że osobliwie te dźwięki brzmiały, skoro Małgosia na krzyżówkowe pytania Teresy odpowiadała z odleglejszych rejonów mieszkania przeraźliwym krzykiem:

- Fortepian!!!

- Estrada!!!

- Makowiec!!!

- Portugalia!!!

- Warcaby!!!

A przerażeni sąsiedzi wzdrygali się nerwowo nie tylko na tym samym piętrze, ale także wyżej i niżej. Nie widząc innego wytłumaczenia, bo jako kłótnia było to raczej nietypowe, uznali Małgosię za wariatkę i dlatego tak jej się elegancko kłaniali. Wariatów, jak wiadomo, drażnić nie należy.

Po czym Teresa uświetniła ślub Jerzego z Mariolą i tym razem padło na mnie.

Ślub był cichy i skromny, tylko najbliższa rodzina, w parafii panny młodej, po tamtej stronie Wisły, w całkiem sympatycznym budynku, który znałam, bo brał tam ślub także i Tadzio, z Agnieszką. Ulicy oczywiście nie pamiętam, ale to bez znaczenia. Osób było niewiele, rodzice panny młodej, jedna przyjaciółka rodziny, matka pana młodego i jego cioteczna babka, Teresa. Małgosia i Witek występowali w *charakterze* świadków.

Kto niby miał siedzieć z Teresą, jeśli nie ja?

No i ślub się zaczął. Pani mer... jak Boga kocham, do dziś nie umiem znaleźć właściwego określenia dla osoby, dającej ślub cywilny, we Francji jest to proste, mer, ale u nas? Pani ksiądz...? Pani (albo pan) urzędnik...? Czy ktoś to wie?

Dla uproszczenia niech będzie pani mer. Rozpoczęła wstępne przemówienie. Już po kilku zdaniach Teresa szturchnęła mnie w łokieć.

- Czy ona coś mówi? - spytała pełną piersią i niecierpliwie.

- Cicho! - syknęłam przenikliwie, żeby do niej dotarło. - Mówi!

Po chwili szturchnęła mnie ponownie.

- Czy ona jeszcze ciągle mówi?

- Cicho bądź! Mówi!

Po czym kolejno i w taki sam sposób odpracowała pytania następujące:

- Czy oni coś mówią?

- Czy to już ten ślub?

- Czy to już koniec?

(„Czy to już koniec?” spytała trzy razy.)

- Czy ona znów coś mówi?

. Pani mer w tym momencie składała nowożeńcom życzenia. Małgosia mogła wreszcie odblokować mięśnie twarzy, bo przedtem omal nie pękła, starając się zachować powagę. Nastąpił koniec ceremonii, wszyscy zaczęli wychodzić.

Teresa była jedyną osobą, która przyszła w płaszczu. Oddała ten płaszcz do szatni, gdzie wisiał sobie prawie samotnie, w towarzystwie tylko jednego czyjś okrycia. Oczywiście musiała odebrać

ten płaszcz i włożyć na siebie.

- Gdzie Małgosia? - spytała z oburzeniem.

- A po co ci Małgosia? - spytałam wzajemnie, tyle że głośniejszy i bardzo podejrzliwie.

- No jak to, przecież musi mi pomóc się ubrać!

Świat mi się przed oczami nieco zamazał i chyba przestałam dobrze widzieć. Ostatecznie, odziedziczyłam miły charakter po przodkiniach.

- Nie musi. Małgosia jest zajęta. Niech ci chłop pomoże, od płaszczy są chłopcy, proszę bardzo, tu chłop stoi!

Naprawdę nie miałam zielonego pojęcia, że wskazuję jej właśnie ojca panny młodej. Przy chwilowym zaćmieniu wzroku wiedziałam tylko, że stoi ktoś w spodniach i słusznego wzrostu, skojarzenie z płcią męską w takim wypadku następuje automatycznie.

Teresie zamiana bardzo się spodobała, a ojciec panny młodej natychmiast elegancko spełnił obowiązek. Małgosia przestała być niezbędną.

Przyjęcie weselne miało się odbyć w restauracji Tradycja przy Belwederskiej, ale Jerzy zbyt późno dokonywał rezerwacji, przeniesione zostało zatem do filii na Nowym Świecie. Nowy Świat dla prywatnych samochodów jest niedostępny, Witek zdjął wiatraka z dachu, żeby było wytwornie, no i wszyscy musieli wjechać od tyłu.

Wcale nie wiedziałam, że zaplecze Nowego Świata do tego stopnia zostało zaopatrzone w ochronę, strażników i rozmaite barierki. Wpuszczono nas jednakże i wkroczyliśmy do lokalu tylnym wejściem, przez jakieś korytarzyki i zakamarki.

Teresa złapała jednak Małgosię i szły na czele. Powitała nas kelnerka, służąc za przewodnika, szłam za nimi, jakoś długo i daleko, po drodze ujrzałam przygotowany stół, ale one szły dalej, pomyślałam, że może to jest jakieś inne przyjęcie i furt posłusznie szłam, za mną zaś szła cała reszta orszaku. No i wszyscy razem znaleźliśmy się w wychodku.

Tamten przygotowany stół to był jednak nasz. A Teresa z Małgosią dążyły za prowadzącą kelnerką, ponieważ Teresa życzyła sobie na wstępie zwizytować toaletę. Wszyscy szli za mną w przekonaniu, że tak trzeba, w wychodku zrobiło się okropnie ciasno, chociaż był duży. Wielką pociechę stanowiła myśl, że przynajmniej wiemy, gdzie jest.

Więcej już nic głupiego nie nastąpiło.

Ciekawa rzecz, swoją drogą, że wszystkie śluby moich synów muszą dla mnie wypadać jakoś dziwnie...

No dobrze, wracam do tematu. Nie wiem, którego, ale zaczyna mi być wszystko jedno.

**-& & &**

Owa taniość zlekceważonej na jakiś czas budowli, o której nietaktownie napomknęłam, zemściła się krwawo na panu Ryszardzie i na mnie, a zaczęła od klimatyzacji.

Uparłam się, że chcę mieć w domu klimatyzację. Głupie gadanie, jaka to ona jest szkodliwa, jak się od niej dostaje katarów, zapalenia płuc i nie wiem czego tam jeszcze, nie robiło na mnie wrażenia. Już od blisko piętnastu lat stykałam się z klimatyzacją w samochodach i w budynkach, w sklepach, hotelach, mieszkaniach i jakoś niczego od niej nie dostałam, za to z upału parę razy omal trupem nie padłam. Żądam klimatyzacji i koniec!

Siedemnaście razy pytano mnie, czy rzeczywiście chcę mieć klimatyzację i ostrzegano, że jest bardzo droga. Odpowiadałam na to, że mogę nie mieć podłogi, ścian, sufitów i kuchni, tynków na ścianach i talerzy, ale klimatyzacji chcę. Za osiemnastym razem chyba mi wszyscy wreszcie uwierzyli, a w każdym razie tak mi się wydawało.

Nie wnikałam w szczegóły i nie oglądałam projektu, nie moja sprawa, niech się fachowcy martwią. Jakiś tajemniczy agregat postawiono mi na zewnątrz, tajemnicze rury pojawiły się w garażu, a cały dom upstrzony został kratkami wentylacyjnymi. Co gorsza, w wyniku różnych okropnych

komplikacji wszystko to zostało zdemontowane, a potem zamontowane na nowo.

I znów nie mogę sobie przypomnieć, w jakim momencie postanowiłam ten komfort uruchomić. Niewątpliwie było lato, a może późna wiosna, bo nie usiłowałam przecież chłodzić domu w zimie. I środa, bo pani Henia akurat u mnie nocowała, a nocowała zazwyczaj ze środy na czwartek, tak jej wypadało z zajęć.

Mętnie mi się wydaje, że coś zostało nastawione na jakąś godzinę i ruszyło samo z siebie automatycznie, możliwe jednak, że ogólnie zostało włączone i też samo z siebie przystąpiło do sztuk dodatkowych. W każdym razie żadnego fachowca pod ręką nie było, obie z panią Henią zostałyśmy same.

Ryk straszliwy rozległ się na zewnątrz, w kącie przy moim domu, wewnątrz ryczało nieco ciszej i jakby równiej. Późno już się zrobiło, zapadł wieczór, pani Henia poszła na górę i wróciła z komunikatem, że w pokoju gościnnym nie sposób wytrzymać, bo dodatkowo jakaś blacha warczy brzękliwie. Zadzwoiłam do pana Ryszarda, przypomniął mi, że mówił przecież, jak agregat chodzi, musi ryczeć. No dobrze, ale aż tak...? Mieszkałam już w klimatyzacjach i nic mi nigdzie nie ryczało, nawet na Kubie! No bo tam agregaty były poukrywane w różnych piwnicach i kotłowniach, a u mnie stoi na wierzchu.

Uparłszy się przy klimatyzacji, wręcz byłam gotowa wytrzymać ten ryk i przyzwycząić się do niego, ale okazałam się w tym odosobniona. Pani Henia miała dosyć dziwny wyraz twarzy i wyraźnie widziałam, jak się zastanawia, czy nie wziąć się za jakąś robotę, bo szanse na sen nie istnieją. Nieliczni sąsiedzi, bo domy w okolicy dopiero zaczynano budować, wytrzymali pół godziny, po czym przyszli do mnie z grzecznym pytaniem, czy to tak całą noc będzie. Ktoś tam napomknął, że ma małe dzieci.

Poddałam się, postanowiłam wyłączyć luksusy. Znów zadzwoniłam do pana Ryszarda. Ryk dochodził go przez komórkę, nie musiałam niczego długo wyjaśniać, powiedział, że mam wejść do garażu i tam na końcu jest taka tablica, a na niej taki guzik. Garaż był całkowicie zapchany samochodem, do żadnych tablic nie miałam dostępu. Z wysiłkiem i komórką przy uchu precyzyjnie przycisnęłam się po drzwiczkach i błotnikach, omal sobie nogi nie zламаłam własnym zderzakiem, zdołałam w końcu dosięgnąć ustrojstwa, zdaje się, że guzików było więcej, ale pan Ryszard jakoś wyjaśnił, który to ma być. Zdaje się, że czerwony. Ryzyk-fizyk, wcisnęłam.

Straszliwe ryki umilkły.

No tak, ale razem z rykami przepadła szansa na chłodzenie. Co prawda, w obliczu katastrofy akustycznej nie zauważyłam, czy skądkolwiek leci jakieś zimno, ale jeśli nie ryczy, nie będzie leciało z pewnością.

Coś mi tu poniekąd nie grało.

Czy ja kiedykolwiek twierdziłam, że mam łagodny charakter? Nie, prawda? Nie mam. Łatwo zgadnąć, że runęłam w awantury, przy których ryki agregatu mogły się wydawać cichutkim pomrukiem.

Nie tak od razu cała sprawa została załatwiona. Okazało się, że, po pierwsze, pan Ryszard pierwszy raz w życiu robił klimatyzację w prywatnym domu i na wszelki wypadek trzymał się ściśle projektu, a że dwa razy to montował tam i z powrotem, to już nie jego wina, no, chyba że wytkniemy mu te oszczędności... Po drugie, projekt klimatyzacji wcale nie był projektem klimatyzacji, tylko projektem wentylacji mechanicznej, bo ta klimatyzacja taka droga i kto ją zakłada w prywatnym domu...? Po trzecie, z tym agregatem coś nie bardzo, on chyba starego typu... Że nie najdroższy, to

pewne. Różnych po czwartych i po piątych już nie pamiętam, ponieważ furia zaćmiła mi umysł.

Możliwe, iż moje awantury straciłyby nieco uroku, gdyby nie podróż do Łącka, do stada ogierów, z Witkiem i Martą, jego córką, zakamieniałą koniarą. W drodze powrotnej wstąpiliśmy do jakiejś restauracji, nie wiem dlaczego, bo zatrzymywać się na takiej trasie...? Prawdopodobnie byliśmy po prostu okropnie głodni. No i w tej restauracji działała klimatyzacja.

Działała sobie cichutko, bezszmerowo i skutecznie. Różne urządzenia też znajdowały się na zewnątrz, tak jak mój agregat, wpatrywaliśmy się w nie z bliska, przykładaliśmy do nich ucho, ocenialiśmy rozmiary lokalu, przyrównując je do powierzchni mojego domu, zachowywaliśmy się chyba trochę niczym istoty obłąkane. Od głośnych uwag zdołałam się powstrzymać, poglądy ujawniałam kameralnie, powetowałam to sobie po powrocie. Może i wypadła im ta klimatyzacja trochę drogo, ale czy ja się domagałam oszczędności...?!

Dopiero kiedy na kolejne Boże Narodzenie przyjechały kanadyjskie dzieci, rozwikłano problem ostatecznie, bo w końcu Robert przez parę lat siedział w urządzeniach sanitarnych, i to właśnie w chłodnictwie. Okazało się, że fachowcy od tych rzeczy u nas istnieją, w mgnieniu oka została założona właściwa instalacja, przybyły mi trzy piloty i przepadł dostęp do dwóch gniazdek elektrycznych, ale nie bądźmy drobiazgowi, ważne, że działa i wydaje z siebie szumek cichszy niż ten z komputera. I wcale nie kosztowało tak potwornie drogo.

Agregat i rury znikły z ludzkich oczu, została tylko orgia krutek wentylacyjnych, przez które teraz w zimie wieje.

Niestety, instalacja oświetleniowa doznała podobnego losu, po długim oporze otoczenia uzyskałam informację, że coś tam jest z poborem mocy, ten mniejszy kosztuje taniej, ludzie na ogół chcą taniej, zatem, skoro ja się akurat wyłączyłam, zrobiono jak dla ludzi. Możliwe, że używam niewłaściwych określeń, ale cała ta dziedzina od urodzenia jest mi obca i na starość jej się uczyć nie będę. Skutek, w każdym razie, jest przerażający, potrzebuję światła, pcham się do światła, przy czterdziestowatowych żarówkach zaczynam rozmyślać o samobójstwie, wkręcam zatem mocniejsze, a mocniejsze rąbią jedna za drugą.

Kłamię bezczelnie, wcale nie ja wkręcam. Pan Ryszard. Obiecałam mu solennie, że będzie tak wkręcał, aż mi sprowadzi naprawdę dobrego elektryka, bo moja dusza twierdzi, że błąd jest do naprawienia. Rozum nie ma nic do gadania, w tym miejscu nie działa, ale dusza upiera się przy swoim.

Czasem się zastanawiam, jakim cudem ten człowiek jeszcze ze mną wytrzyma...?

W kwestii chronologii powolutku zaczynam tracić nadzieję, coraz wyraźniej widzę, że nie uda mi się jej zachować. Nie, to nie, trudno, wobec tego spróbuję trzymać się tematów, to trochę łatwiejsze.

Przed chwilą napisałam, że gryp i katarów nie dostaję, za to omal nie umarłam z upału.

Zgadza się. Moje idiotyczne spacerunki w tropikach wystąpiły już wcześniej i okazały się drobiazgiem w porównaniu z doświadczeniem ostatnim, ze wspaniałym rokiem dwa tysiące trzecim. Zanim jednak do niego dojdę, muszę ruszyć temat znacznie obszerniejszy, niejako ogólny, mianowicie podróże, o których zaczęłam już wcześniej i powstrzymałam się, sądząc, że zdołam je pominąć. Okazuje się to niemożliwe.

Moje podróże dzielą się na służbowe i prywatne. Prywatnych jest więcej, za to niektóre służbowe dostarczają wrażeń niezapomnianych. Pierwszą Moskwę już odpracowałam, jako następna rozrywka wystąpił Frankfurt.

Przed Frankfurtem, licząc od początku roku, pojechałam na Mierzeję dla zdrowia, spragniona



odrobiny świętego spokoju, co udało mi się uzyskać z drobnymi zakłóceniami. Zdaje się, że Jagodzie i Waldemarowi wygryzłam jakichś gości i zaczęłam się wyklócać o zupełnie kretyńskie zarządzenia, zatruwające życie miejscowym rybakom, a w dziedzinie dróg dojazdowych do portu także i mnie. Wróciłam po Wielkanocy.

W lecie przyjechały kanadyjskie dzieci i razem udaliśmy się w wojaż wakacyjny do upatrzonego w ubiegłym roku hotelu Flaubert, w Trouville. Oczywiście przez Grażynę w Stuttgarcie, przez Paryż z Michałem i Jolą, przez... Zaraz, znów myślę.

Ominięłam najbardziej wietrzne wakacje, które nastąpiły wcześniej, kiedy mieszkaliśmy w Cabourg. Był to z pewnością lipiec i Robert pytał mnie z lekkim rozgoryczeniem, czy w tej części Francji kiedykolwiek pojawia się lato. Prawie cały czas lał deszcz, ze zmiennym natężeniem, ale wytrwale, szalał dziki wicher, szkwał leciał za szkwałem, o żadnych kąpielach i plaży nie było mowy, wobec czego poszliśmy na turystykę. Skoro już jesteśmy tak blisko, obejrzymy sobie chociaż Mont St. Michel.

Pojechaliśmy do St. Michel. Już bardzo blisko góry i klasztoru ruch na drodze zamarł i stanęły wszystkie samochody, ponieważ z boku wylazło małe stadko kóz i pomaszerowało w poprzek. Dokładnie na środku jezdni jedna koza zatrzymała się i zaczęła karmić kozłatko. Nikt nie miał pretensji, za to ruszyły aparaty fotograficzne.

Robert oczywiście też wyskoczył, Monika za nim. Nie wiem jak oni to zrobili, bo siedziałam przy kierownicy, wpatrzona w kozy, ale za plecami usłyszałam nagle straszny krzyk:

- Otwórz drzwi!!! Otwórz drzwi!!! Otwórz te drzwi!!!

Zgłupiałam do tego stopnia, że otworzyłam swoje i wicher omal mi ich nie wyrwał z zawiasów, nie jestem pewna, czy przedtem w zdenerwowaniu nie zablokowałam w ogóle wszystkiego, krzyki za mną i obok trochę się różnicowały, wcale nie tracąc dramatyzmu. Okazało się, że Robert sięgał po coś do samochodu, a Monika zamknęła przednie drzwiczki z ręką ojca w środku. Istny cud, że nie odcięła mu palców, zdezorientowana kompletnie, bo krzyk Zosi: „Otwórz drzwi!”, a ją słyszałam najlepiej, nie stwarzał jasnego obrazu sytuacji. Robert zresztą też coś krzyczał, Monika również, moja pełna zdumienia informacja „no przecież otworzyłam” zginęła w ogólnym zamieszaniu, w dodatku nie mogłam ich zamknąć, bo wiatr przeszkadzał.

Szczyt kretyństwa wykazałam, usiłując spytać Roberta, dlaczego sam tych drzwiczek nie otworzył. Ręce miał na krzyż, jedną przytrzaśniętą w środku, w drugiej coś trzymał i niczego nie mógł dosięgnąć, uświadomiłam sobie głupotę pytania i dostałam potwornego ataku śmiechu. Zdaje się, że przerażona i zapłakana Monika uznała babcię za absolutnego potwora.

Ale kozy na zdjęciu wyszły.

Odgórnice zostałam ukarana stratą materialną. Głupie pomysły trzymają się mnie kurczowo bez względu na wiek, zaproponowałam zatem Monice, żebyśmy poszły zbierać muszelki, a nieodrodna wnuczka babci przyjęła propozycję chętnie. Okoliczności były wprost wymarzone, siedzieliśmy w knajpce przy plaży, szkwały szły takie, że wszystkie meble z zewnątrz, parasole, stoliki, krzesła, zostały wciągnięte do środka, co we Francji rzadko się zdarza, deszcz popadywał i zbieraniu muszelek sprzyjał tylko odpływ. Woda odeszła na osiemset metrów, proszę bardzo, po piasku można sobie spacerować.

Zdaje się, że w tym spacerze byliśmy osamotnieni, nikomu więcej taki idiotyzm do głowy nie przyszedł.

Miałam na sobie nieprzemakalną kurtkę z kapturem, kaptur na głowie, wiatr usiłował zerwać ze

mnie całe to odzienie, ale przeszkodziły mu rękawy. Zawróciliśmy, z nadzieją patrząc pod nogi i zbierając mokre śmieci, po kolejnym uderzeniu szkwału poczułam, że coś mam nie tak, kaptur na głowie owszem, tkwi, tylko pod kapturem dziwnie. Usiłowałam to pomacać.

- Monika, czy ja mam na głowie perukę? - spytałam z niepokojem.

Monika obejrzała mnie z pewnym trudem, bo pod wiatr i deszcz.

- Nie wiem. Chyba masz. A może nie?

- A nie widziałaś, żeby leciała? Rozejrzyj się. Gdyby leciała, to ku tobie.

Monika rozejrzała się posłusznie i bez skutku. Przyspieszyłam powrót, wciąż macając głowę, Zosia i Robert zerwali się od stolika. Chyba w końcu zsunęłam kaptur i spróbowałam do niego zajrzeć.

- Dzieci, czy ja mam na głowie perukę? - ponowiłam żalosne pytanie.

Tym razem Zosia dostała takiego ataku śmiechu, że nie mogła się uspokoić. Było to do tego stopnia zaraźliwe, że gęsto siedzący w knajpie obcokrajowcy, którzy z pewnością nie znali polskiego języka, poszli za jej przykładem. Całe bistro wyło i kwiczało, ocierając sobie łzy z oczu, ja zaś chyba dołożyłam jeszcze, przetrząsając całą kurtkę i wyrażając obawy, że teraz ktoś wyłowi z morza ten mokry kołtun i gorączkowo zacznie poszukiwać dalszego ciągu topielca. W każdym razie niepojętym sposobem perukę diabli wzięli i całe szczęście, że miałam zapasową.

Mówię przecież, że to był wietrzny rok, a jeśli nie cały rok, to przynajmniej lipiec.

W czasie tych samych jeszcze wakacji... jakieś rozrywkowe one były... spowodowaliśmy całkiem niezłą rozróbę w środku Paryża. No, niech będzie, prawie w środku, tuż koło place de FEtoile, na avenue Carnot.

Mieszkiwaliśmy w tym Paryżu rozmaicie, to w jednym hotelu, to w różnych, chociaż obok siebie, wówczas zagnieździł się wszyscy razem w Regence Etoile przy avenue Carnot, bo poprzedniego roku dzieci stwierdziły, że tam jest klimatyzacja. Stoi ten hotel prawie w połowie ulicy, może nawet w jednej trzeciej, licząc od góry.

Jak wiadomo, wszystkie ulice odchodzące od Łuku Triumfalnego podążają w dół, Łuk tkwi, można powiedzieć, na pagórku. Wracaliśmy wieczorem od strony avenue des Ternes, idąc ku górze, zapewne po zjedzeniu kolacji gdzieś w pobliżu, bo gdyby było daleko, nie szlibyśmy piechotą. Ciemno się już zrobiło, zatem wieczór musiał być późny. Blisko wejścia hotelowego, w odległości dwóch samochodów, poczułam, że coś śmierdzi.

Zwróciłam dzieciom uwagę na woń, wszyscy ją poczuli, popatrzyliśmy pod nogi. Samochody stały zaparkowane sznurem, wzdłuż chodnika, spod jednego, przy samym krawężniku, wypływał cienki strumyczek jakiejś cieczy i wesolutko ciurkał sobie w dół.

Zatrzymaliśmy się i przez chwilę rozważaliśmy rodzaj aromatu. Benzyna...? Płyn hamulcowy...? Olej silnikowy...? Woda z chłodnicy...?

Benzyna i olej wyszły na prowadzenie, strumyczek przybierał na sile i płynął coraz dalej. Popatrzyłam za nim.

- Nic nie poradzimy - stwierdził Robert. - Wycieka mu z tego strupla, przecież nie będziemy zatykać, więc co nas obchodzi?

- Nie obchodzi, akurat! - prychnęłam ostrzegawczo. - Ty popatrz, gdzie to płynie. O cztery samochody za nim stoi nasz.

W ciągu trzydziestu sekund mój punkt widzenia zyskał pełne poparcie. Jasne, ciecz łatwopalna płynie ku naszemu, za chwilę do niego dotrze, przejdzie obok jakiś zakatarzony kretyn, smrodu nie

poczuję, rzucię peta... Eksplozja doleci aż do świętego Ferdynanda!

- No, tak to nie - zgodziły się ze mną dzieci. - Trzeba coś zrobić.

W recepcji hotelowej dyżurował jeden młodzieniec, który w pierwszej chwili nie docenił wagi problemu i nie wykazywał żadnej chęci działania. Zaparliśmy się wszyscy zadnymi łapami, dwie sztuki z nas mówiły po francusku, młodzieniec władał angielskim, zmasowanego, dwujęzycznego ataku nie wytrzymał, poszedł popatrzeć i powęszyć.

Strumyczek nie przybierał bardzo na sile, ale za to płynął wytrwale.

Dalszy ciąg wygodnie obserwowaliśmy z naszych okien, bo pokoje mieliśmy od strony ulicy, na pierwszym piętrze, akurat nad ciekącym samochodem. Zgoła łoża prezydencka. Przyjechała straż pożarna, policja, służba drogowa i śmieciarze, nie wszyscy razem, tylko kolejno, przy czym pierwsza była chyba policja. Zamieszanie zrobiło się imponujące, służba drogowa zaczęła się przymierzać do wyciągnięcia tego pudła z ciasno zaparkowanego sznura, straż pożarna odkręciła hydrant uliczny i jezdnią runął górski potok, gliny odpędzały nielicznych już przechodniów, górski potok poniósł ciec znacznie dalej niż sama by dotarła, na końcu wezwani śmieciarze usypali wzdłuż ulicy potężny wał piasku, a z samochodu furt ciekło z uporem.

Jako ostatni, mniej więcej o wpół do drugiej, pojawił się właściciel pojazdu i tu doznaliśmy satysfakcji największej.

Policja go znalazła po numerze rejestracyjnym i okazało się, że, łajza głupia, wcale nie mieszka w najbliższej okolicy, tylko gdzieś dalej, w ogóle z innej dzielnicy przyjechał, a tu sobie uwił ciepłe gniazdko, zajmując miejsce parkingowe przed hotelem. Wyrwali go ze snu, wyciągnęli z łóżka, zgłupiał z tego zupełnie, latał jak z pieprzem i dobrze mu tak! A pod własnym domem parkować nie łaska? A nie tu, gdzie panuje ciężki gniot, szczególnie w okresie turystycznym, ludzie miewają bagaże, jeżdżą, zwiedzają, robią zakupy i nie mają się gdzie podziać razem z samochodami.

Zabrała w końcu jego przeciekające pudło pomoc drogowa, bo nie pozwolono mu zapalić silnika.

Cały czas zmierzam do tego Frankfurtu.

Zważywszy, iż, jak widać, wakacyjne podróże myślę, ile mogę, należy po prostu uznać, że z którejś wróciłam i nastąpiło to dość późno, co najmniej w końcu sierpnia, jeśli nie w początku września. I zaraz potem okazało się, że w październiku do Frankfurtu muszę jechać, chociaż miałam cichą nadzieję na wyłganie się jakimś psim śwędem.

Pojechałam oczywiście przez Stuttgart, bo miałam *zabrać* ze sobą Grażynę, jako tłumaczkę poniekąd prywatną oraz dla jakichś rozmów o tłumaczeniach niemieckich. Wyjechałyśmy ze Stuttgartu do Frankfurtu w przeddzień, miałyśmy mnóstwo czasu i wcale mi nie przeszkadzało, że całą drogę odbywam w radykalnym korku, z przeciętną szybkością pięciu kilometrów na godzinę. Grażyna, która nie cierpi ostrej jazdy, była nawet z tego bardzo zadowolona i twierdziła, że nareszcie odbywa podróż z szybkością, która wydaje się jej bezpieczna.

Potrzebna byłam w tym Frankfurcie jak dziura w moście.

Był to podobno polski rok i Polska na targach książki miała status honorowego gościa. Na całe szczęście nie mam pojęcia, kto organizował ową gościnność od naszej strony i nie pamiętam żadnego nazwiska, bo inaczej niewątpliwie byłabym ciągnana po sądach za obelgi i oszczerstwa. A tak mogę spokojnie powiedzieć, że załatwiali to jacyś kretyni bez taktu i wychowania, obrani z rozumu. W chwili naszego przyjazdu nie było w ogóle nikogo, a w dodatku brakowało zamówionego pokoju i nikt nic nie wiedział.

O sobie nie zamierzam się czepiać, jak powiedziałam, mogło mnie tam w ogóle nie być i nic by

się nie stało. Ale Szymborska i Miłosz? Nobliści?! I, bez urazy, zdaje się, że trochę starsi ode mnie...?

Ulokowano tych honorowanych polskich pisarzy gdzieś na dalekich peryferiach Frankfurtu, każdemu wręczając uprzejmy komunikat na piśmie, iż na tereny targowe może sobie dojechać, wyruszając około ósmej rano autobusem, jadącym do dworca kolejowego, tamże, na tym dworcu, ma się przesiąść na szybką kolej miejską, dojechać do którejś tam dzielnicy miasta, znów się przesiąść, pojechać kawałek dalej, po czym już wsiąść do autobusu, który dowiezie go do głównego wejścia na targi. O jakiejś wpół do jedenastej może już podjąć swoje literackie obowiązki.

Już widzę panią Szymborską i pana Miłosza, jak szaleją po przystankach, peronach i autobusach. Innych pisarzy, zresztą ze sobą włącznie, też widzę. Podobne widoki, jak sędzę, oglądali wszyscy, bo rozwiązano sprawę w ten sposób, że zamówiono taksówki. Pomysł sam w sobie nie najgłupszy, ale realizacja wspięła się na szczyty idiotyzmu, ponieważ dwie osoby, jadące w tym samym czasie w to samo miejsce, dysponowały oddzielnymi pojazdami. Nie można ich było wepchnąć razem do jednego samochodu? Zmieściłyby się i trzy sztuki, nikogo o stukilowej nadwadze tam nie zauważyłam, a jeśli nawet osoby umówione były na jakieś spotkania z półgodzinną różnicą, to i cóż takiego? Tyle czasu tam się marnowało, że i godzina stanowiła mały pryszcz.

Być może organizatorzy podejrzewali, że pisarze nienawidzą się wzajemnie i, korzystając ze zbliżenia w jednym samochodzie, poprzegryzają sobie gardła? Nic o takich zjawiskach nie wiem.

Przy wejściu na targi, po drugiej stronie ulicy, wznosiły się hotele całkiem przyzwoitej kategorii, nie stwarzające żadnych problemów komunikacyjnych. Ogólnie w pobliżu hoteli nie brakowało, Frankfurt pod tym względem nie przypomina, na przykład, Szamotuł. Na grzeczne pytanie, dlaczego, do diabła, nie ulokowano gdzieś tam, w centrum, tych czczonych gości honorowych, uzyskałam odpowiedź, że nie było miejsca. Nie zrozumiałam, co słyszę. Wyjaśniono mi zatem dokładniej, acz z lekkim zakłopotaniem, że zbyt późno dokonywano rezerwacji.

Nie zrozumiałam jeszcze bardziej. Organizatorzy nie wiedzieli o terminie otwarcia targów? Nie wiedzieli o udziale polskiej grupy? Nie orientowali się, kto tam właściwie przyjeżdża, pisarze w wieku powyżej średniego czy młodzi sportowcy? Bywając we Frankfurcie co roku, nie mieli pojęcia o użytkowaniu hoteli? A może te trzy i cztery gwiazdki wydawały im się za drogie? I co, te kilometry, kretyńsko przejechane taksówkami, wypadły im taniej?

Pełne zachwyty insynuacje pana Lewandowskiego, jakobym na spotkaniu z kilkunastoma osobami, po większej części nie znającymi języka polskiego, okazała podziwu godzien temperament, o tyle mają sens, że byłam straszliwie wściekła, jakiś tam temperament zatem musiał ze mnie wyskoczyć. Wątpię, czy przyniósł komukolwiek jakąkolwiek korzyść.

Pomijam już fakt, że tuż obok stoiska, gdzie nie wiadomo po co siedziałam, znajdował się przedstawiciel największego niemieckiego wydawnictwa, doskonale mówiący po polsku, i nawet nie zostaliśmy sobie przedstawieni. Gdyby podobny wersal nastąpił, moje rypanie tam i z powrotem przez jedną trzecią Europy nabrałoby może odrobiny sensu... Chociaż...? Czy ja wiem? Może przeciwnie, nie spodobałabym mu się okropnie z twarzy...?

Zwracam uprzejmie uwagę, że tu oto pojawia się pierwsza jaskółka mojego stosunku do osobistych występów i zapewniam, że jaskółka rozrośnie się w stado latających strusi. Nie ma znaczenia, że strusie nie latają, już ja się postaram, żeby ostro frunęły!

Przy okazji, raz na całą autobiografię, chcę zauważyć, że obecnie samolotem nie latam. Nie wiem, czy już o tym pisałam, czy nie, ale nie szkodzi, chętnie powtórzę.

Otóż linie lotnicze nie budzą we mnie obecnie ani sympatii, ani zaufania. Miesza się to ze sobą, więc wszystko jedno, w jakiej kolejności podam szczegóły. Po pierwsze, wydzierają człowiekowi wszystko, co miewa przy sobie w sposób tak naturalny, że w ogóle o tym nie pamięta, zapalniczki, narzędzia do manicure, pilniczki do paznokci, pęsetki, co tam komu przydatne, po czym to wszystko przepada na zawsze, bo nie oddają. Po drugie, już samym zabieraniem sugerują bomby i terrorystów, co nie stwarza najlepszego wrażenia, szczególnie, że terroryści istotnie pchają się drzwiami i oknami. Po trzecie, zabraniają palić, a ja może nie mam ochoty rzucać palenia akurat w czasie lotu. Po czwarte, nie chcą mnie za darmo wozić pierwszą klasą, w pozostałych zaś jest ciasno jak piorun i już niejedyn raz obcy facet spędzał nocne i dzienne godziny na moich kolanach, wduszając mnie w fotel. Po piąte, wcale mi nie gwarantują, że nie nawali im ciśnienie, co może mnie wykończyć bez wielkiego trudu. Po szóste, obie strony podróży, początek i koniec, zabierają tyle czasu, że na trasach krótszych nieco niż z Okęcia do Australii prędzej dojedzie się samochodem. Po siódme, ustawicznie gubią bagaże. Po ósme wreszcie, kto, do diabła, komu płaci, ja im czy oni mnie? Nie będą mi niczego zakazywali ani do niczego mnie przymuszali za moje własne pieniądze! Nie latam i cześć!

Jasne, że przez Stuttgart do Frankfurtu pojechałam samochodem, z przystankiem, jak zwykle, w Bolesławcu.

Po czym ruszyłam w drogę powrotną. Ile wysiłku zużyłam, żeby ominąć Würzburg, który mi leżał dokładnie na trasie, ludzkie pojęcie przechodzi. A ominąć go chciałam za wszelką cenę, bo już miałam doświadczenia z wiodącym obok miasta odcinkiem autostrady i każdemu z serca radzę też go omijać. Dwadzieścia trzy kilometry przejeżdża się w ciągu dwóch i pół godziny, a i to jeszcze tylko wtedy, kiedy ma się fart i nie nastąpi gdzieś tam jakiś wypadek. Pochodzi to stąd, że na tym właśnie kawałku pięć autostrad zbiega się w jedną i bij człowieku głową w ścianę.

Pół Niemiec przejechałam dla uniknięcia obrzydliwości i już od Bayreuth zaczęło się robić ciemno. W dodatku padał deszcz. Po całej wściekłości i zdenerwowaniu z chwili na chwilę czułam się coraz gorzej, najprawdopodobniej rozkwitała we mnie spuszczone ze smyczy arytmia, a kto wie czy i nie coś gorszego. Doszłam do takiego stanu, że gdyby po drodze pojawiło się cokolwiek, hotel, motel, gospoda, zatrzymałabym się tam bez chwili namysłu.

Zarezerwowany miałam hotel na skraju Bolesławca, nie ten co zwykle, nie pamiętam dlaczego. Może w tym stałym był jakiś zjazd, przyjęcie, wycieczka...? Nawet i lepiej, obecny znajdował się bliżej, ale czort bierz rezerwację, brakowało mi siły, byłam pewna, że zaraz umrę, samochód jechał z litości, starałam się tylko nie przeszkadzać mu zbytnio. Gapiłam się rozpaczliwie na wszystkie drogowskazy, niestety, przemierzałam byłą NRD i wokół mnie rozciągały się wyłącznie malownicze lasy. Poza tym nic, nawet stacji benzynowej!

Z konieczności i pod przymusem dotarłam do granicy i z konieczności pojechałam dalej, bo trudno było wymagać od celników, żeby mnie u siebie przenocowali. Gdzie niby? W magazynie towarów przemycanych? Znalazłam hotel, pociechę w nim stanowił całkowity brak schodów, ale za to parking był oddalony od wejścia. Ktoś, pojęcia nie mam kto, z pewnością jednak osobnik płci męskiej, przewiół mi walizkę do pokoju i wówczas, zajrzawszy do torebki, stwierdziłam, że nie mam komórki.

Po kiego diabła była mi ta komórka tak przeraźliwie potrzebna, też nie potrafię sobie przypomnieć, ale wiem, że absolutnie i bezwzględnie musiałam zadzwonić do Warszawy. W dodatku z jakichś powodów pilnie, nie jutro, a jeszcze dziś. Pomyślałam, że zostawiłam ją w samochodzie na fotelu pasażera, no to nie ma siły, jeszcze głębiej przekonana, że umrę, majestatycznym i powolnym

krokiem udałam się na ten parking, tak strrrraaaaasznie odległy, chyba ze sto metrów.

Komórki na fotelu nie było.

Uznałam, że cięży nade mną klątwa i umrzeć muszę koniecznie. A skoro muszę, to już właściwie bez znaczenia, w jakim miejscu, tu czy kawałek dalej.

Mimo wszystko dotarłam z powrotem do hotelu, przeszukałam torebkę porządnie i znalazłam komórkę. Ze złości na siebie samą zrobiło mi się trochę lepiej.

Wówczas okazało się, że ta komórka nie działa.

Jakaś osobliwa mieszanina rozkwitła mi w środku, równocześnie przygnębienie bezdenne i dzika wściekłość, zdechlizna całkowita i wulkaniczna furia, przecież mówiłam, do tysiąca piorunów, żeby mi załatwić automatyczne przestawianie sieci na każdej granicy, zgodziłam się za to zapłacić, przecież, do cholery, jestem w Polsce...!!!

Właścicielami hotelu były dwie osoby, małżeństwo młodsze od moich dzieci, czyli pokolenie elektroniczne. Resztę uroczego wieczoru małżonek z tej pary, porzuciwszy przedsiębiorstwo i przekazawszy je w ręce żony, spędził nad moją parszywą komórką, usiłując nakłonić wstrętą sukę do pracy. Podobno znajdowałam się za blisko granicy i ta idiotka nie zauważyła jeszcze jej przekroczenia. W końcu osiągnął cel i triumfalnie wręczył mi działający przyrząd, za co niech mu Pan Bóg da zdrowie i cały ocean pomyslności.

Wyszłam z tego żywa, jak widać, ale więcej do Frankfurtu nie jadę.

Chociaż, z drugiej strony, pewną osobistą korzyść odniosłam.

Na jakimś party, przyjęciu, spotkaniu, nie wiem nawet, jak to nazwać, w ogromnym holu, wśród przybywających gości, siedziała pani Szymborska otoczona wielbicielami, fanami i dziennikarzami. Tłum się kłębił wokół niej, odpowiadała na sto pytań równocześnie, co przy takich okazjach jest rzeczą normalną, jednej sekundy spokoju nie miała, istne piekło i, znając ten ból, patrzyłam na scenę ze szczerym współczuciem oraz w podziwieniu, że w ogóle to wytrzymuje. A pewnie, nie dość, że gość honorowy, to jeszcze noblistka.

Jakoś gwałtownie odbiegła mnie chęć otrzymania nagrody Nobla. Nie, dziękuję, już nie chcę. W życiu nie przypuszczałam, że takiej ulgi dostarczy mi brak zaszczytu!

Skoro już jestem przy podróżach służbowych, a uparczywie pcham się do śmierci z upału, niech odpracuję Poznań.

Oczywiście odbywała się impreza, Majówka z Książką, w maju, co okazało się dość istotne, i przynajmniej wiedziałam, po co tam jestem. Dla ludzi. Dla Czytelników. Skoro chcą dostać autograf i zamienić parę słów, okazują sympatię, inspirują, i w ogóle czytają, należy im się. Dla osobistej przyjemności i uciechy czytających ludzi proszę bardzo, mogę siedzieć i podpisywać się, aż mi ręka zdrętwieje.

Na marginesie: byłabym niezmiernie wdzięczna wszystkim, szczególnie co młodszym Czytelnikom, gdyby przestali mi podtykać kartki w kratkę. Wręcz błagam o to! Gładkie, niech będzie, ale nie w kratkę! Nie wiem dlaczego, ale składanie podpisu na kartkach w kratkę jest niesłychanie uciążliwe, wytrąca z rytmu, stwarza jakąś okropną niewygodę, zbija z pantałyku. Może nikogo więcej, ale mnie z pewnością. Błagam! NIE w kratkę!

No i w tym Poznaniu panowała piękna pogoda, ciepło, słońeczko, impreza odbywała się zatem na świeżym powietrzu. Ale, jak napomknęłam, był maj.

Nikt jeszcze w tym momencie nie wiedział, że pojawiła się u nas plaga meszki. Meszka majowa, doskonale znana w Kanadzie, w tajdze syberyjskiej, w paru jeszcze innych miejscach świata, tym

razem postanowiła zwizytować Polskę. Grupowo, w większej masie.

Od razu na początku, ledwie znalazłam się przy stoliku w stoisku, nadleciała tego gęsta chmura. Wszyscy, rzecz jasna, wiedzieli co to jest, wszyscy znali meszkę majową z ukąszeń sporadycznych, wszyscy zapalili papierosy, żeby świństwo odpędzić, ale nikt nie docenił niebezpieczeństwa. W gęstym dymie usiadłam do podpisywania książek.

Meszka miała więcej rozumu niż ludzie i znalazła sobie pole działania. Dym snuł się nad głowami, a nie po ziemi, pogryzła mnie zatem raz koło razu tam, gdzie nic jej w tym nie przeszkadzało, mianowicie na nogach. Nogami się nie podpisywałam, nie wierzgałam, nie tupałam nawet, miała zaraza święty spokój. Ukąszeń meszki w pierwszej chwili się nie czuje, komary są pod tym względem przyzwoitsze, nie miałam zatem pojęcia o nieszczęściu.

Dopiero po powrocie do Warszawy stwierdziłam, że jest niedobrze, od kolan w dół chwyciła mnie gangrena, czarna ospa może, tajemnicze zatrucie, osobliwie zlokalizowane, swędzące nieznośnie, rozrastające się jakoś dziwnie. Przypomniała mi się plaga z połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to pojawiła się u nas, nie wiem na jakim obszarze, w całym kraju czy tylko w stolicy, malutka czarna muszka, której jedno ukąszenie wpędzało ludzi do szpitala, ja zaś miałam szczęście i wyleczyłam ową przypadłość, za poradą lekarską, roztworem nasyconym sody oczyszczonej i kilkoma godzinami bezruchu, bo niby jak można trzymać na sobie okład leczniczy wśród podskoków i skłonów. Nawet byłam zadowolona, z konieczności siedziałam nad filiżanką substancji leczniczej i czytałam książkę. Przeszło po dwóch dobach.

Tym razem jednak było gorzej, soda nie pomagała. Pojechałam do dermatologa i zdziwiła mnie troska, jakiej nie zdołał ukryć, był wyraźnie zaniepokojony. Kuracja zawierała w sobie kilka składników, w tym antybiotyk, i była nieco uciążliwa, bo wymagała zegarka w rękę, jedno po dwudziestu minutach, drugie co dwie godziny i tak dalej, na szczęście wszystko zewnętrzne, żadnych trucizn spożywać nie musiałam.

Po tygodniu nie tyle zaczęło mi przechodzić, ile zatrzymało się w rozwoju, ale nie czułam się doskonale. Zmarnowałam sobie całe, przepiękne wesele starszego syna pana Ryszarda.

Ślubna impreza odbywała się na początku lipca i był to pierwszy wypadek, kiedy spotkałam się z powtarzaną później wielokrotnie akcją charytatywną. Państwo młodzi na zaproszeniach uprzejmie prosili, żeby, zamiast kwiatów i prezentów, przynosić zabawki i maskotki dla biednych dzieci. Oddźwięk był natychmiastowy, osobiście widziałam sześć wielkich worów z zawartością, która mogła w szal szczęścia wprawić całe tabuny dzieci nie tylko biednych, ale nawet tych bogatszych, a zdaje się, że worów było więcej.

Ale nie o wory akurat chodzi. Co mi do głowy strzeliło, żeby na ślub i wesele jechać taksówką, a nie własnym samochodem, pojąć nie mogę, musiałam mieć jakieś zaćmienie umysłu. Przecież mój był klimatyzowany! A tu upał panował wściekły, gorąco jak piorun, i na zewnątrz, i we wszelkich pomieszczeniach, wszystko doskonale zorganizowane, z wyjątkiem temperatury. Gdybym się mogła gdziekolwiek bodaj trochę ochłodzić, skorzystałabym z imprezy wręcz zachłannie, tymczasem zajęta byłam głównie pluciem sobie w brodę i opanowywaniem wściekłości na samą siebie. Nie doczekałam do końca, okropny stan fizyczny zmusił mnie do wyjścia wcześniej i w dodatku przeszło pół godziny czekałam na taksówkę.

Nie wiedziałam jeszcze wtedy, ile z tych przyjemności zawdzięczam meszce.

Przyjechały dzieci, udaliśmy się w wakacyjny wóz do Trouville, znów do Flauberta, który posiada dwie niezaprzeczone zalety, taniość i lokalizację. Tak cudownie usytuowany hotel powinien

być wściekle drogi, tymczasem on jest tani z racji starości. Wiekowe meble, komody z szufladami, które nie dają się otworzyć, a otwarte nie pozwalają zamknąć, winda o rozmiarach, zmuszających do wożenia bagażu na raty, brak restauracji, a nawet kawiarni, brak, rzecz jasna, klimatyzacji, parking teoretycznie na cztery samochody, praktycznie zapchany ośmioma... A przy tym wdzięk i urok staroświeckości. No, łazienki normalne, pokoje dość duże... Chociaż, prawdę mówiąc, nie wiem, jak wyglądają pokoje od tyłu, nie oglądałam ich, może są mniejsze.

Staroświeckość wyszła nam bokiem. Uczulona na grzyby Zosia od pierwszego momentu zaczęła coś węszyć. Hotel był odnawiany, jej zdaniem także odgrzybiony, nasycony jakimś środkiem o stęchłej woni. Woń snuła się istotnie, ale nie wydawała się przesadnie wstrętna, poza tym ledwo wyczuwalna, gdyby nie stosunek Zosi do grzybów, czy może raczej grzybów do Zosi, nie zwrócilibyśmy uwagi. Wszystkich, z wyjątkiem mnie, poboлеваła głowa, ja zaś czułam się beznadziejnie niemrawo.

Zaraz po przyjeździe weszłam do morza. Pogoda była prawie bezwietrzna, fale ledwo pochłupywały, odpływ albo przypływ był w połowie, weszłam do wody po kolana i łaska boska, że razem ze mną weszła Monika, bo bez niej chybabym się utopiła. Nagle potknęłam się, usiadłam na dnie, no i cóż takiego, tysiące razy tak siadałam dla przyjemności, ale teraz okazało się, że nie mogę się podnieść. Te byle jakie, małe fale miały więcej siły ode mnie, nie pozwalały na nic, zalewały mi twarz, zdecydowanie łatwiej było się położyć niż wstać. Zdumiona Monika zorientowała się w sytuacji, sama sobie nie wierząc, złapała mnie za rękę i podciągnęła do góry. Coś było niedobrze, z trudem utrzymywałam się na nogach i w czym? W tej płytkiej zupie?

Zaczęłam wracać na brzeg i zniecka rąbnął mnie ból głowy. Ale jaki...! Straszliwa obręcz, ściskająca czaszkę, bez mała odbierająca przytomność.

Od przeszło czterdziestu lat, od owych migren z czasów młodości, nie wiedziałam co to jest ból głowy. Ten mi energicznie przypominał zjawisko, z tym, że przebijał wszystkie minione migreny, był bez porównania okropniejszy. Półżywa dotarłam do plaży, zaniepokojone dzieci zaproponowały mi natychmiast środek przeciwbólowy, ale nie chciałam, moja antylekomania jest twarda, a przy tym ból powolutku zaczął mijać. Po kilkunastu minutach znikł.

Pomyślałam, że może to był szok termiczny, ale jaki znowu szok termiczny w wodzie o temperaturze dwadzieścia parę stopni? Żeby w Bałtyku, to jeszcze... No dobrze, może na starość doznaje się szoków termicznych od byle czego?

Drugi raz objawiło się to samo, kiedy weszłam pod ciepły prysznic, no nie, tu już w szok termiczny nie uwierzyłam. Lodowato zimny albo wściekle gorący, proszę bardzo, możliwe, ale ledwo ciepły...? Bzdura. Ból utrzymał się dłużej.

Za trzecim razem złamałam się, po półgodzinie udręk zeżarłam kanadyjską pigułkę, przekonanie, że mi zaszkodzi, znikło w obliczu doznań, gorzej się już poczuć nie zdołam, a jeśli, na przykład, rozboli mnie brzuch, przynajmniej odwróci uwagę od głowy. Nic mnie nie rozbolało, a głowa przeszła.

Zastanawialiśmy się wszyscy, co to jest i skąd się bierze, Zosia uporczywie trzymała się grzybów, produkt grzybobójczy musi być szkodliwy i nie ma inaczej, wszystkich głowy nie całkiem może boleć, ale pobolewają. Strujemy się na śmierć, jeśli zostaniemy tu dłużej.

Skróciłam pobyt, wróciliśmy do Paryża, nie pamiętam szczegółów pobytu, bo ciągle byłam niewydarzona, ale upiorny ból odczepił się definitywnie. Ślady po meszce prawie ze mnie zniknęły, a pod koniec sierpnia powolutku zaczęłam przychodzić do siebie.



Po czym okazało się, że nie ma siły, we wrześnie muszę jechać do Moskwy.

Wyraźnie widzę, że tu powinnam wykonać skok do tyłu, bo Moskwa, jako taka, to nie jest żadne fiu-bździu, tylko poważna sprawa.

W chwili wprowadzania się do nowego domu, wśród wszystkich związanych z tym perypetii, dowiedziałam się, że przyjeżdżają rosyjscy wydawcy i musimy zrobić konferencję. Uzgodnić różne rzeczy, ustalić warunki, podpisać umowy i nie wiem co tam jeszcze, bo na wszelkie próby wyjaśnienia mi sedna sprawy strasznie głuchłam. Jeśli nawet coś do mnie dotarło, zapominałam o tym natychmiast. Bez trudu rozumiałam tylko, że przybędzie kilka istot ludzkich i wszystko załatwimy, a ja się w paru miejscach podpiszę. Tyle umiem.

Wprowadzona byłam nie do końca, czy może tylko urządzona nie do końca, w każdym razie salonowe meble już

posiadałam, kanapę, fotele, stół i firanki. Jadalnego stołu nie jestem już pewna, ale chyba go jeszcze nie miałam.

Wiadomo było, że żadnego przyjęcia nie robię, spotkanie jest służbowe, kawka, herbatka, miniprzekąseczka i cześć. W roli przekąseczki miał wystąpić bób, który, łaska boska, ugotowałam już wcześniej, dwa opakowania.

Dokładnie w momencie wkraczania pięciu osób w progi mojego domu zgasło światło. Szlag trafił prąd na tym zaczątku osiedla, a był to prąd budowlany i zdaje się, że nikt na niego nie miał wpływu. Ciemno już było kompletnie, pora roku zbliżona do zimowej, ale do drzwi jakoś wszyscy trafili, dalej zaś gośćmi zajął się pan Tadeusz, boja zaczęłam szukać świec.

Równocześnie uświadomiłam sobie, że żadnej kawki i herbatki nie będzie, ponieważ czajnik mam elektryczny, a w nim zimną wodę. Możliwe, że rozpałam ogień w kominku, ugotowanie jednakże na tym ogniu czegokolwiek odpadało z braku odpowiednich naczyń. Świec jeszcze nie zdążyłam kupić, posiadałam w domu sztuk sześć i ani jednej więcej, i aż dziw bierze, że je wszystkie znalazłam.

W ten sposób niezmiernie ważna konferencja i podpisywanie niezmiernie ważnych umów odbyło się u mnie przy sześciu świecach, zimnym bobem i czerwonym winie, był to bowiem jedyny napój, jakim dysponowałam. No, także wodą z kranu, ale wydała mi się nieodpowiednia, szczególnie w zestawieniu z bobem. Ciemności wprowadzały lekką dezorientację, co spowodowało przewrócenie jednego kieliszka z winem, nie dam głowy czy i nie butelki, oraz wylanie tego wina na moją beżową, skórzaną kanapę, na podłogę i trochę na moje buty, ale buty to był mały pikuś.

Uroczyście zapewniam, że naprawdę przyczynę incydenciku stanowiło macanie w ciemnościach po stole, nie zaś bójka pomiędzy uczestnikami spotkania. Nikt się z nikim nawet nie kłócił, wszyscy byliśmy w pełnej przyjaźni, bo ewentualne kontrowersje zostały odpracowane już wcześniej, gdzieś tam, beze mnie, ja tylko wyrażałam zgodę na różne ustalenia i doprawdy wyrażałam ją chętnie. Gorzej znacznie wypadła ekspiacja sprawcy wylania, obaj z panem Tadeuszem rzucili się wycierać, prawdopodobnie własnymi chustkami do nosa, bo skąd niby w tych ciemnościach miałam wziąć jakieś ścierki i tym podobne utensylia. Rozmazywali to czerwone wino gdzie popadło, między innymi łapiąc mnie za nogi, i doprosić się nie mogłam, żeby przestali.

Natychmiast po wyjściu gości światło się zapaliło. Gdyby firma, która sprzedała mi meble, jeszcze istniała, chętnie reklamowałabym ją za darmo, z beżowej kanapy bowiem zeszło wszystko pod wpływem wody i odrobiny mydła tak, że najmniejszy ślad nie pozostał. Prawdę mówili, że ta skóra jest doskonale zmywalna.

Bardzo możliwe, że drugi wyjazd do Moskwy był właśnie wynikiem pozornie niewinnej konferencji...!

Tym razem pan Tadeusz znalazł się w piekle blisko mnie, tyle że w nieco odmiennym departamencie.

Nauczona okropnymi doświadczeniami, z góry zażądałam programu pobytu. Dostarczono go nam, dlaczego nie. Ciasny był, ale, z trudem bo z trudem, do przyjęcia, co nie przeszkadzało mi od razu popaść w złe przecucia.

I słusznie.

Od razu, na wstępie, powiadomiono nas, że dookoła Moskwy palą się torfowiska, palą się już długo i nie ma sposobu, żeby je ugasić. Prawdziwość informacji łatwo było stwierdzić, ponieważ wszystko zasnuwał szary dym, ponadto substancja pełniąca obowiązki powietrza sprawiała dziwne wrażenie i utrudniała oddychanie, oddychało się ciałem stałym, nie zaś lotnym. Zresztą, może on i był lotny, ten pył, ale jako tlen nie zdawał egzaminu i osoby przyzwyczajone do czystszej atmosfery nie dawały mu rady, norweski pisarz odjechał do szpitala z zawałem. Zdolna byłam jeszcze pocieszyć się myślą, że normalnie oddycham tym czymś, co wisi nad Warszawą i dostarcza bez wątplenia dużej odporności, oglądałam to na własne oczy, tkwię w samym środku i byle pożar mi niestraszny, a taki Norweg nad fiordami, to gdzie on ma pyły, nieszczęsny? Słodko nie będzie, ale spróbujemy przetrzymać.

Dowiedziano nas do hotelu i, jak dla mnie, kolejnym punktem programu stało się zgrzytanie zębami, któremu zawinił pan Tadeusz i nie zamierzam go oszczędzać. Uprzedziłam go i bardzo się boi, ale nic już nie może poradzić.

Po wieczorze, nocy i poranku, spędzonych w pociągu (przypominam, że samolotami nie latam), nie przewidziano ani chwili na odpoczynek, mimo to fanaberyjnie uparłam się umyć, odświeżyć i przebrać, bo dziennikarze, fotoreporterzy i telewizja czyhali już dookoła niczym stado rozzartych wilków. Zresztą, między nami mówiąc, bez nich też bym się zapewne przy tym myciu uparła.

Cztery razy wywlekano mnie z łazienki dla omówienia i załatwienia różnych spraw, o których pojęcia nie miałam. Przy piątym razie zbuntowałam się, gdzie, do cholery, jest pan Tadeusz, mój agent, który mnie tu przywłókł, językiem włada i ma załatwiać wszystko?!!!

A otóż okazało się, że pan Tadeusz daje właśnie ujście swojemu osobliwemu upodobaniu. Mianowicie myje się, pluska i odświeża w łazience...

Nie wiem, czy wyszedł dobrowolnie, czy wyciągnięto go siłą, w każdym razie rychło trafił w zasięg pazurów rozzartej harpii, szczególnie, że zarazem dostarczono nam nowy, skorygowany program naszych obowiązków. Naszych jak naszych, niestety, bardziej moich.

- Panie Tadeuszu, kto tu zwariował? - spytałam złowieszczo. - Pan, oni, czy może ja?

Pan Tadeusz się zdenerwował, bo też istotnie trudno było sobie wyobrazić, że podzielę się na kilka części lub też siłą woli w ciągu sekundy przeniosę na inne miejsce, odległe o parę kilometrów. Rozpoczął próby odkręcania, ale już widziałam, że źle mu idzie.

Z wielkim wysiłkiem w kwadrans później przybrałam przyjemny wyraz twarzy dla ruszających do szturmu dziennikarzy.

Dalej sukcesywnie ogarniały mnie rosnące w szybkim tempie uczucia. Rozpacz, przygnębienie, wściekłość, przekonanie, że z życiem z tego nie ujdę, równie silne przekonanie, że już mam pomieszanie zmysłów, niesmak, protest ogólny przeciwko wszystkiemu, także głód i pragnienie. Nie miałam co pić. Coca-cola odpadała w przedbiegach, różne słodkie napoje tym bardziej, wytrawnego

wina nie było, herbata nie zawsze dostępna i nie najlepsza w świecie, woda mineralna jakaś dziwna i wcale nie jestem pewna, czy w ogóle istniała, pozostawało mi piwo. Ile w końcu można tego piwa wyłopać? Owszem, lubię je, przywykłam do niego, ale nie do tego stopnia, dziw, że mnie szlag nie trafił, jednakże piłam je z rozpaczy. Właściwie na rozpacz jest to napój całkiem niezły.

Zdaje się, że już od tego skomplikowanego poranka jęła rosnać wysoce pochlebna opinia o panu Tadeuszu, pogłębiona w dniach następnych. Wyszło tak:

Ktoś znajomy przyszedł do recepcji i spytał o pana Lewandowskiego. Panienki rozpromieniły się i nie wiem, czy nie zachichotały.

- A, ten polski Casanovą! - wykrzyknęły z uciechą i wyraźnym podziwem.

Znajomy zdziwił się nieco i, zaintrygowany, spytał o źródło poglądu. Personel, jedno przez drugie, wyjaśnił mu natychmiast.

Otóż zjeżdża facet na dół, tu już czeka na niego piękna kobieta z kwiatami i promienną twarzą, pan Tadeusz zabiera ją na górę, po dwudziestu minutach zwozi na dół, gdzie czeka następna piękna kobieta z kwiatami i takąż twarzą, pan Tadeusz zabiera ją na górę, po półgodzinie zwozi, tu już czeka piękna kobieta jak wyżej... Chwilami rotacja przebiega szybciej, wystarcza mu kwadrans, dziewczyny jedna za drugą, najwyraźniej wściekle chętne, rany boskie, jak ten człowiek daje im wszystkim radę? I w takim tempie...?! Kto mógł przypuszczać, że Polacy są zdolni do tak potężnych, wulkanicznych ogni?!

Niewykluczone, że pan Tadeusz podniósł wyżej poprzeczkę opinii o całym naszym narodzie, a bruźdzącym nam niekiedy panem Putinem kieruje zwykła zazdrość.

Bez oporu przyznaję, że istotnie, ruskie dziennikarki w czambuł odznaczały się wielką urodą, wszystkie przyjeżdżały z kwiatami i znów zaczęło w hotelu brakować wazonów, jakieś przepisy zaś wzbraniały im jechać po wywiad na górę bez osoby towarzyszącej. Tłumacz był niezbędny bez przerwy, na pana Tadeusza te obowiązki spadły, ujeździł się windą za wszystkie czasy, ale nie sądzę, żeby wymienione właśnie chwile wspominał jako najtrudniejsze.

Zginał mi gdzieś ten skorygowany program wizyty, więc nie jestem w stanie przypomnieć sobie szczegółów, wiem tylko z całą pewnością, że było to piekło na ziemi. Ludzie owszem, ludzie sprawili, że cały pobyt zyskał jakiś sens, akurat w tym miejscu pan Tadeusz w swoim wywiadzie napisał świętą prawdę. Nie mam pojęcia, komu podpisywałam książki, bo tak samo jak poprzednim razem nie miałam kiedy podnieść głowy do góry i popatrzeć na Czytelników. Telewizja, dobrze, niech im będzie, chcą się gapić na swojego autora, też dobrze, ich prawo, osobiście znam piękniejsze widoki, ale każdy ma swój gust, w ostateczności wywiady, setki zdjęć, mogę zrozumieć, natomiast radio...?

Radio wydało mi się największym idiotyzmem. Po pierwsze, nie znoszę swojego głosu i żadna ludzka siła we mnie nie wmówi, że na kimkolwiek może sprawić sympatyczne wrażenie i komukolwiek mógłby się podobać, po drugie zaś, treść i forma wcale nie są moje. Nie ja przecież mówię do tych słuchających ludzi, tylko tłumacz. Przenigdy najlepszy nawet tłumacz nie odda wiernie tekstu z marszu, na bieżąco, bez namysłu i zastanowienia. Takie słowo złapie, jakie mu podleci, i już to będzie co innego. Więc na jaki plaster komu moje głędzenie przez radio w Rosji po polsku?

Przy kolejnym radiowym występie odmówiłam usług, po czym wielkiego szacunku nabrałam dla syberyjskiego wydawcy.

Co dokładnie było przedtem, nie pamiętam, pewne jest, że nie wachlowano mnie liściem palmowym na łożu, usłanym różami bez kolców, musiał to być chyba fragment występów

telewizyjnych, bo wykończył mnie operator, domagający się przejścia tu, przejścia tam, wsparcia się na murku, pokonania paru schodków (Schodków...! Oszalał chyba...), tu się zatrzymać, tam obrócić... Modelkę niech sobie zaangażuje, a nie starą grupę, ciężko schetaną!

O, proszę. Jeszcze teraz szlag mnie trafia.

I później zaraz to radio. Usiadłam na jakimś kamiennym słupku i oświadczyłam, że do żadnego radia nie jadę, mam dosyć, wyjaśniłam, co na ten temat myślę, nie biorę udziału w ewidentnym kretynstwie, mowy nie ma, z wszelkich sił mnie wyzuto i żądam chwili odpoczynku. Konsternacja zapanowała całkowita, dlaczego to radio miało być takie strasznie ważne, pojęcia nie mam, ale podobno było, nakłaniano mnie do zmiany zdania gremialnie i z całej siły, rosyjska wydawczyni zrobiła się blada, chociaż komórki od ucha nie odrywała, pan Tadeusz opowiadał jakieś bzdety o kompromitacji, wolę kompromitację niż śmiertelne zejście, tłumacz nieśmiało przysięgał, że on wszystko wiernie i dokładnie, bez skutku. Ogłuchłam i skamieniałam razem z tym słupkiem.

I tu wystąpił syberyjski wydawca, jedyny rozumny człowiek, który widocznie miał przebłysk natchnienia. Mężnie oznajmił, że jak nie, to nie. Skoro pani Chmielewska nie chce, audycji radiowej nie będzie, ma baba prawo, ciężki żywot tu wiedzie, jest zmęczona, nie musi i nikt presji na nią wywierał nie będzie. a

Ł A, skoro nie muszę...

Jasne, że znalazł jedyny argument, który mógł na mnie podziałać. Jeśli nie muszę, a im tak zależy, wobec tego mogę. Trudno, zmobilizuję się z grzeczności. Podniosłam się ze słupka, ponuro wyrażając zgodę na bezsensowne udręki, syberyjskiego wydawcę polubiłam jeszcze bardziej niż przedtem i tylko ciekawi mnie, czy ci wszyscy inni docenili ogrom i potęgę jego natchnienia.

Przetrzymywałam, ile mogłam, a nawet jeszcze trochę więcej, przy czym muszę przyznać, że najbardziej dokopywały mi dwa elementy, raczej słabo ze sobą związane.

Jedno, to przerażająca konieczność przebierania się co najmniej dwa razy dziennie z racji urozmaiconych obowiązków, bo co innego autografy w księgarni, a co innego bankiet w ambasadzie. No i telewizja musi przynajmniej udawać, że pokazuje osobę w różnych sytuacjach, a zatem w innym stroju. Od tej rewii mody ciemno mi się w oczach robiło, bo nie cierpię tego od dzieciństwa i przy mierzeniu każdej kiecki, szytej na zamówienie, przeżywałam katusze, a zniecierpliwienie gryzło mnie w wątrobę.

Nie wiem, czy gdziekolwiek o tym napisałam, ale na starość mogę się już chyba przyznać do obrzydliwych właściwości organizmu. Otóż nie mogę stać i mam to po mojej matce, ona też nie mogła. Stać, tak zwyczajnie stać, czyli trwać nieruchomo w pozycji pionowej na nogach. (Na rękach nie próbowałam.). Kręgosłup od tego łupie, a wszystkie organy wewnętrzne sprawiają takie wrażenie, jakby gwałtownie dążyły w dół, ku ziemi, porzucając właściwe dla siebie miejsce pobytu. Zmęczenie ogarnia większe niż przy rąbaniu drzewa i to w tempie błyskawicznym, co musiałam wyjaśnić, żeby dało się zrozumieć drugi element tortur.

Drugie zatem, to nadmiar młodych i pięknych kobiet dookoła nas. Zawisać nie wchodzi w rachubę, gdyby pan Tadeusz był homoseksualistą, o co go w najmniejszym stopniu nie posądzam, szkodliwy okazałby się nadmiar młodych i pięknych mężczyzn. Skoro wywiad za wywiadem, spotkanie za spotkaniem leciały na styk, a każde gdzie indziej, z oczywistej konieczności byłam w tej Moskwie wożona, prowadzana i pchana w odpowiednim kierunku, niezdolna kompletnie do zapamiętania, co ma być, gdzie i kiedy. Samochód czekał, ściśle biorąc różne samochody, i niech się wszyscy cieszą, że nie wepchnęłam się przez pomyłkę do pojazdu komuś całkiem obcemu.

No i ja też czekałam. Przy każdej zmianie lokalizacji, przy każdym wejściu gdzieś albo wyjściu skądś, stałam i czekałam jak ten pień, aż pan Tadeusz rzetelnie i z całego serca obcałuje wszystkie owe młode i piękne kobiety. Facetów nie całował, to mu trzeba przyznać, ale wedle mojego rozeznania media w Rosji składają się prawie wyłącznie z płci pięknej. Ta płeć mnie dobiła. Nie wiedząc, co ma być dalej, nie mając się z kim porozumieć, bo tłumacz też nie wiedział, a wydawczyni rosyjska komórka miała do ucha przyrośniętą, przestałam tak kawałkami najmarniej z półtorej godziny i w końcu zrobiłam panu Tadeuszowi dwie karczemne awantury, jedną kameralnie, w hotelu, drugą zaś publicznie, w restauracji. Hotelowa była owszem, na temat stania, w porządku, restauracyjna natomiast wyskoczyła ni przypiął, ni wypiął.

Jedną jedyną prywatną sprawę chciałam załatwić przy okazji tego służbowego wyjazdu. Już dość dawno temu zgubiłam rubin z pierścionka po mojej ciotce i zależało mi, żeby ten rubin odkupić. Nie był to żaden klejnot koronny, zwyczajny kamyk szlachetny, takie, można powiedzieć, oczko, nieduży, ale za to idealnie czysty, i prawdziwy, nie syntetyczny, bo przed wojną syntetycznych nie produkowano. Ku mojemu zdumieniu okazało się to niesłychanie trudne, wszystko, na co trafiałam, było zanieczyszczone albo spękane beznadziejnie, szkoda mi było czasu na penetrację całego kraju w tak głupim celu i pomyślałam, że może w Rosji dostanę. W końcu najpiękniejsze rubiny pochodzą z Uralu.

Z wysiłkiem godnym Herkulesa i przy milczącej dezaprobacie otoczenia wyrwałam kwadrans z czasu przeznaczanego na posiłek i zażądałam dowiezienia mnie gdzieś tam, gdzie takie rzeczy można znaleźć. Dowieziono mnie do sklepu jubilerskiego prima sort, przy czym dowiezienie polegało na objechaniu wkoło potwornie wielkiego skrzyżowania i ów sklep mogłam zobaczyć z miejsca, gdzie przedtem stałam, ale ja już nie byłam w stanie rozumieć, co widzę. W dodatku na drugą stronę skrzyżowania wiodło przejście podziemne ze schodami. O, nie! Odmówiłabym przyjęcia carskiej korony, gdyby trzeba było docierać do niej po schodach!

W sklepie były wyłącznie gotowe wyroby, pokazano mi najpiękniejsze rubiny w pierścionkach i nie potrzebowałam nawet lupy, żeby stwierdzić to samo co u nas. Spękane w środku. W dodatku tak wściekle drogie, że kilkakrotnie upewniałam się, czy nie dokładam gdzieś jednego zera. Rozzłościło mnie to dodatkowo, zrezygnowałam z wszelkich zakupów, chociaż proponowano mi wizytę w jakiejś szlifierni, do której nie można było wejść bez specjanego zezwolenia, w nosie już miałam szlifiernie i wszystkie drogie kamienie świata, umrę, jeśli nie odpocznę!

No to dla odpoczynku trzeba coś zjeść. Restauracyjka znajdowała się obok, bardzo ładna i pusta, zażyczyłam sobie bliny z kawiozem, proszę bardzo, oczywiście, nie ma przeszkód, ale bliny podają wyłącznie na piętrze i trzeba iść po schodach...

Głodna tygrysyca z małymi to było w tej chwili przy mnie, jak sądzę, milutkie i łagodne stworzonko. Zrezygnowałam z blinów, mogę jeść sam kawior. I w tym momencie pan Tadeusz naraził mi się straszliwie, ponieważ zaproponował, żebym wybrała miejsce.

Jak wiadomo, w lokalu, gdzie jest więcej wolnych stolików niż jeden, żadna kobieta miejsca wybrać nie potrafi, stąd zakorzeniony od lat obyczaj, że miejsce wybiera mężczyzna. Tu, niestety, wolne było wszystko. Dostałam szału i zelżyłam nieszczęsnego pana Tadeusza skandalicznie, w obecności paru osób, z których co najmniej dwie rozumiały po polsku.

Zemścił się na mnie w dwa dni później, na ostatnim spotkaniu, nie kończąc go w przewidzianym terminie, tylko pozwalając mi przez półtorej godziny wyzipywać z siebie resztki ducha. Samej skończyć nie wypadało, zastanawiałam się, czy po prostu nie zemdleć. Albo jeszcze lepiej,

zwyczajnie paść trupem.

Co do bankietu, pan Tadeusz w swojej książce mocno przesadził, ani Beata Tyszkiewicz, ani ja nie latałyśmy po sali z rozwartymi ramionami, spotkałyśmy się normalnie na balkonie, jak ludzie. Do picia dawali słodkie wino, słodkie koktajle, słodkie lemoniady i od samego widoku tych napojów coś mi się w środku zrobiło, więc niemożliwe, żebym sprawiała wrażenie osoby sympatycznej. Tylko fotograf był prawdą, chociaż nic nie wiem o pozowaniu i wątpię, czy jakakolwiek siła mogłaby mnie do niego skłonić. Do pozwania mam na myśli, nie do fotografa. To znaczy owszem, do fotografa też.

Mam nieodparte uczucie, że samo wspomnianie moskiewskiej wizyty przyprawia mnie o coś w rodzaju pomieszania zmysłów.

Zadawano mi tam właśnie wszystkie pytania, wymienione na wstępie, ale oni nie czytali „Autobiografii”, więc można ich, ostatecznie, usprawiedliwić. Gdzieś w połowie tych wszystkich wywiadów tłumacz z litości zaproponował, że już on sam będzie odpowiadał, bo wie co, a ja niech sobie odpocznę. Tylko dzięki niemu jakoś te ataki wytrzymałam.

Ale złośliwie zdradzę, dwie osoby wysiadły, właśnie tłumacz i rosyjska wydawczyni, która mnie wrębała w ten nieludzki program. Tłumacza ratowała w domu żona, przerażona jego stanem, wydawczyni *zaś* odpuściła sobie jeden cały dzień, bo już dłużej nie mogła. Ja, niestety, takiego dnia nie miałam i naprawdę zdumiona jestem, że uszłam z życiem.

Aż zaczęła się podróż powrotna.

Wszystko co przedtem, dym z płonących torfowisk, brak napojów, tłumy dziennikarzy, występy telewizyjne, wściekły pośpiech wszędzie, przeczekiwanie umizgów pana Tadeusza, brak snu, późno się kończy, a rano muszę być czynna, awantury, resztki dawnej kłótni o „Wszystko czerwone”, skandalicznie (nie przeze mnie!) obrażona tłumaczka, to byio małe piwo. Apogeum nastąpiło w podróży powrotnej.

Jeszcze w dniu wyjazdu złapali mnie przy śniadaniu w restauracji hotelowej, ale akurat przytrafili się dziennikarze, którzy nie pytali o głupoty, tylko jakoś sensowniej, ponadto byli płci męskiej, więc pan Tadeusz żegnał ich z mniejszą tkliwością, jeszcze jakiś fotoreporter się plątał, jeszcze załatwiali jakieś ostateczne uzgodnienia, panował młyn, ale udało nam się wśród korków zdążyć na pociąg.

No i ten pociąg sobie ruszył i jechał.

Gdzieś w połowie drogi do kraju panu Tadeuszowi błysnęła rozsądna myśl.

- Może wypełnimy teraz te graniczne papiery - zaproponował z troską.

Serca do wypełniania jakichkolwiek papierów nie miałam nigdy, ale poparłam pomysł. Jadąc w tamtą stronę, o papierach zapomnieliśmy i o coś nas się na białoruskiej granicy czepiali, chyba o te papiery właśnie, i nawet nabrałam nadziei, że nas może nie przepuszczą, ale tak dobrze nie było. Wobec tego teraz, dla świętego spokoju, mogliśmy wypełnić.

Pan Tadeusz zabrał się do roboty.

- Numer paszportu panią poproszę - rzekł delikatnie. Sięgnęłam po torebkę i zaczęłam szukać paszportu.

- Nie mam - oznajmiłam beztrósco.

- Proszę?

- Nie mam paszportu.

- Niemożliwe! Niech pani sprawdzi!

- Przecież sprawdzam. Jak mówię, że nie mam, to nie mam.

I w tym momencie strzeliło we mnie przypomnienie.

- Niech pan poszuka swojego - podsunęłam jadownicę.

Pan Tadeusz rzucił się do nerwowego grzebania po kieszeniach, ale doskonale wiedziałam, co znajdzie. Wiedziałam też, gdzie się podziały nasze paszporty.

W chwili przyjazdu pan Tadeusz oddał je w hotelowej recepcji. Nie interesowały mnie, nie zajmowałam się nimi, ale byłam pewna, że więcej ich na oczy nie widziałam. W owym ostatnim porannym zamieszaniu, w pośpiechu, tłumacz zaproponował, że on nas zastąpi i przekaże recepcji nasze klucze, co też uczynił. Ale z całą pewnością nie przyszło mu do głowy, żeby się upominać o dokumenty gości, i tym sposobem paszporty w tej recepcji zostały.

Nie przejęłam się tym w najmniejszym stopniu. Jechać z Rosji do Polski przez uparcie komunistyczną Białoruś bez paszportu, wielkie meczyje. Nie ja pcham ten pociąg, o paliwo się martwić nie muszę, do żadnych wysiłków się nie nadaję, więc z pewnością żadnych nie wykonam, arytmia we mnie szaleje jak stąd do Nowej Zelandii, swoje zadanie spełniłam uczciwie, z cholernym radiem włącznie, no, może rozczarowałam ruską telewizję, nie łamiąc sobie zęba na sztucznych owocach, ale to już byłaby chyba przesadna grzeczność... Nic więcej nie muszę i niech sobie pan Tadeusz robi co chce, a ciekawa jestem nawet, co zrobi.

Pan Tadeusz w pierwszej kolejności zrobił się strasznie blady, widocznie myśl o białoruskim mamrze nie wzbudziła w nim entuzjazmu. Czekałam spokojnie na ciąg dalszy, ale jakoś nie następował, poza jedną drobną zmianą, mianowicie mój agent i plenipotent zaczął wyglądać tak, jakby lada chwila miał się rzucić pod koła tego jadącego pociągu. Nie spodobał mi się taki efekt. Drgnęło we mnie chrześcijańskie miłosierdzie, westchnęłam ciężko, pomilczałam chwilę z naganą, po czym ruszyłam akcję.

Jedyne przyrządy pomocnicze, jakimi dysponowaliśmy, to były komórki, łaska boska, że naładowane. Zielonego notesu z numerami telefonów przy sobie nie miałam. Ponadto była niedziela, a ściśle biorąc, zaczynała się noc z niedzieli na poniedziałek.

Jedyny zaś sensowny numer, wklepany w komórkę, to był telefon do mojego byłego komisariatu policji na Mokotowie, tego, który nie tak znów dawno strzegł parszywej Toyoty Avensis i który dostał ode mnie pamiątkowe długopisy.

I tu oto właśnie ten numer okazał się bezcenny!

Zadzwoniłam. Dali mi numer oficera dyżurnego komendy głównej. Oficer dyżurny dostarczył numeru osoby, dyżurującej w MSZ. Osoba dyżurująca, płci żeńskiej, czytała moje książki i nawet jej się spodobały, co od razu wyszło na jaw. Przejęła się bardzo.

Chrześcijańskie obowiązki uznałam za spełnione i wetknęłam komórkę panu Tadeuszowi.

Szczegółów dwustronnych negocjacji postarałam się nie poznać, w każdym razie rozpaczliwe apele poleciały w obu kierunkach, do Ruskich i do nas. Od czasu do czasu musiałam odbierać jeden z dzwoniących przyrządów i uprzejmie informować, że pan Tadeusz za chwilę będzie dostępny, sądzę, że gdyby mu wówczas wyrosły trzecie ucho i trzecia ręka, i nawet pozostały na zawsze, byłby szczęśliwy.

Rezultat wypadł imponująco, a polski konsul w Brześciu okazał się dyplomatą najwyższej klasy, w Brukseli powinien siedzieć, a nie na białoruskiej granicy! O godzinie czwartej piętnaście nad ranem, w eleganckim garniturze, w białej koszuli i krawacie, powitał nas na peronie dworca kolejowego w Brześciu tak, jakby pięknieszego początku tygodnia w życiu nie umiał sobie nawet

wyobrazić.

Co działo się dalej, nie mam pojęcia. Opuszczając dworzec, niestety po schodach do góry, po jednym stopniu, zastanawiałam się z mizerną ciekawością, jaką też decyzję pan Tadeusz podejmie, zostawi mnie w białoruskim szpitalu czy może mojego trupa za nogi przewlecze do ojczyzny i dopiero tam porzuci. Wielkiej różnicy mi to nie robiło. Następnie siedziałam w konsulacie, dotarłszy tam jednak żywa, i pożerałam lekarstwa, usiłując zachować w nich jakiś umiar i sens, a oni coś tam gdzieś obok załatwiali.

Wiem tylko, że wszyscy nakłamaliśmy straszliwie, z konieczności rzecz jasna, a nie dla rozrywki, ponieważ wyznanie prawdy, że nasze paszporty zostały w hotelu, wykluczyłoby dalszą podróż. Musielibyśmy czekać w Brześciu, aż ktoś tam w Moskwie je odbierze i nam dostarczy. Nie wiadomo, jak długo by to trwało. Należało przysiąc, że zostały ukradzione w ostatniej chwili, i zwalić winę na ruskich złodziei, bo tylko tym sposobem mogliśmy jechać dalej, przekraczając granicę na papierach zastępczych. Ruskim złodziejom z pewnością było wszystko jedno.

W rezultacie dotarliśmy do Warszawy dyplomatyczną furgonetką. Na peryferiach miasta zaczęłam już odzyskiwać zdolność do wydawania z siebie głosu i pożałowałam, że nie wiozę żadnego przemytu. Pan Tadeusz też nie wiozł. Szkoda, jedyna okazja zmarnowana!

Drobnostki w postaci przywiezienia później naszych paszportów przez pomyłkę do Wrocławia, zamiast do Warszawy, są już zgoła niegodne uwagi.

Awanturę o zaniechanie zrobiłam dopiero w domu po odzyskaniu sił, bo zainteresowało mnie w końcu, jak to się mogło stać. Różne pomyłki można popełniać w rozmaitych krajach, ale akurat Rosja nie jest najlepszym miejscem do gubienia dokumentów.

No i wyszło na jaw, że pan Tadeusz zostawił paszporty w recepcji wcale nie na zawsze, tylko na skromne pół godziny, po półgodzinie miał przyjść i je odebrać, ja zaś miałam się sztafirować do występów. Mnie z całej siły przeszkadzano, a pan Tadeusz, zamiast wrześcić się pazurami w obowiązki służbowe, pluskał się w łazience. Z przyczyn niewyjaśnionych i z pewnością irracjonalnych tego pluskania uczepliłam się jak rzep psiego ogona, co jest o tyle dziwne, że w żadnym stopniu nie jestem przeciwniczką używania wody i nawet mydła, a gdyby ktoś chciał, niech się wręcz kąpie w oślim mleku. Możliwe, że to z zawiści, ja bym też chciała wtedy stracić świat z oczu pod gorącym prysznicem.

W każdym razie, zajęty ablucjami, do recepcji nie poleciał, a później kompletnie o tym drobiazgu zapomniał, oddającemu klucze tłumaczowi zaś takie zapomnienie nawet nie zaświtało nigdzie. Recepcji zapewne również nie.

Kategorycznie, stanowczo i z wielkim ogniem pan Tadeusz poprzysiągł, że za żadne skarby świata i nigdy w życiu nie będzie mnie już namawiał na podróż do Moskwy.

W listopadzie dowiedziałam się, że właściwie wszystkiemu zawiniła poznańska meszka. To znaczy, bądźmy sprawiedliwi, nie meszka układała plan mojej wizyty w Moskwie i nie ona spowodowała ten przeraźliwy gniot, zajęła się tylko moim zdrowiem, siłami i samopoczuciem.

Kanadyjskie dzieci, bardzo wstrząśnięte, doniosły, że tam u nich, gdzie meszka szaleje co roku, stwierdzono, iż kontaktu z nią należy starannie unikać. Gryząc człowieka, wpuszcza jakiś tajemniczy jad, wstrzymujący krzepnięcie krwi, żeby się spokojnie i bez przeszkód pożywić. Jad jest szkodliwy dla zdrowia. Jego nadmiar powoduje chorobę, której nie wszystkie objawy pamiętam, ale jednym z nich jest obrzęk mózgu, bez wątpienia połączony z bólami głowy i połowa osób na to umiera, a połowa nie. Znalazłam się w tej drugiej połowie, z czego wynika, że zdrowie mam, wbrew pozorom,



kamienne i nawet w połączeniu z torfowiskami meszka nie dała mi rady. Przy okazji zrozumiałam skrywany niepokój dermatologa.

Niemniej jednak więcej na takie eksperymenty narażać się nie mam ochoty.

122 a - A - -&

Wciąż uporczywie pcham się do upału i dojść do niego nie mogę. Właściwie trudno się dziwić, związany jest ściśle z podróżami i te podróże tak wchodzą mi w paradę.

Jeszcze po drodze był Kraków. Jakoś nie mamy szczęścia do siebie, Kraków i ja. Lubię Kraków, ale okazuje się, że uczucia nie mają tu nic do rzeczy. Poprzednio moją wizytę odcierpiał na sobie prezydent miasta, a także Martusia, którą pozbawiono premii, tę ostatnią odcierpiałam sama na sobie.

I znów, żeby mnie kto zabił, nie mam pojęcia, po co tam zostałam wypchnięta, co zresztą, w odniesieniu do upału, stanowiło dokładną odwrotność.

Jakoś chyba zimą albo późną jesienią kulturalne imprezy się odbywały, głównie zaś coś na temat kryminałów. Nie wiem co... A, zaraz. Wiem co, teoretycznie. Znalazłam umowę, z której wynika, że miał to być występ na festiwalu kryminalnym, polegający na wygłoszeniu wykładu na temat pisania powieści kryminalnych. Nie wygłaszałam tam chyba żadnego wykładu, natomiast nagrodą Wielki Kaliber zostałam zaszczycona.

Niech pękne, jeśli jakikolwiek wykład na taki temat wygłosiłam, nie przypominam sobie ani jednego słowa, pomijając już to, iż tego rodzaju twórczość do żadnego wykładu się nie nadaje. No, chyba tyle, że po pierwsze, musi mieć jakiś sens, a po drugie, powinna być moralna, mianowicie przestępca ma zostać złapany i ukarany. Na tym koniec mojej wiedzy, to niby co ja tu mam wygłaszać?

Wiem, że spotkanie towarzyskie kilku osób było bardzo miłe, zdaje się, że nawet dwa spotkania, ale jestem zupełnie pewna, że beze mnie nic ze swego uroku by nie straciły. Nie umiem zatem odgadnąć, w jakim celu najpierw zostałam przewleczona przez kilkadziesiąt metrów ulicy niedostępnej dla ruchu kołowego, prościutko pod dziki wicher, znakomity do zaduszenia na śmierć każdego krążeniowca, następnie zaś wpędzona do średniowiecznych piwnic po bardzo nierównych, kamiennych schodach, w prawie kompletnej ciemności. Wiem, że to romantyczne i nastrojowe, i ogólnie lubię budowle zabytkowe, szczególnie rodzime, ale na Kynast czarnym szlakiem włąziłam pięćdziesiąt lat temu i całkiem mi wystarczy. Upieram się, że starych, zramolałych grop po kazamatach włączyć stanowczo nie należy!

Do tematu ogólnie jeszcze wrócę, ponieważ bardzo mnie gnębi.

Chyba jednak nie bardziej niż upał.

W gruncie rzeczy całe to piekło spowodował Robert. Przyjeżdżali z Kanady jakoś wcześniej, lipiec we francuskich kurortach nie zdawał egzaminu, dostarczał przeżyć raczej północnych i nie bardzo letnich, sama chciałam usatysfakcjonować własne dziecko osławioną, słoneczną pogodą, w rok po meszce zatem, w upiornym roku 2003, dokonaliśmy niezbędnych rezerwacji na kawałek lipca i sierpień. W Trouville, rzecz jasna, w hotelu Le Flaubert.

Złośliwość losu zadziałała. Poglądy na temat Kanady wyrażałam już chyba kilkakrotnie, kraj, który niegdyś wydawał się rajem, obrzydł mi już doszczętnie przez, chętnie i mściwie przypomnę: pogodę letnią, trzydzieści osiem stopni Celsjusza i tysiąc procent wilgotności, milion zakazów, zupełnie kretyńskich, które musiałam sobie pozapisywać, bo nie byłam w stanie ich zapamiętać, przerażające ograniczenia urlopowe dla pracowników tak fizycznych, jak umysłowych, nie wiem gdzie na świecie spotykane, ale chyba nigdzie, idiotyczne utrudnienia dla najlepszych nawet

studentów.

Proszę, proszę, mogę uściślić. Po drugim roku studiów moja wnuczka na wakacjach wisiała na słuchawce przez dwie doby, nie mogąc uzyskać programu na rok następny, z którego to programu obowiązana była wybrać przedmioty dla siebie, przy czym dokonanie wyboru po powrocie na studia, rozpoczynające się pierwszego września, jak szkoły średnie, kładło ją radykalnie. Za późno, przepadło. Nie dostarczono studentom owego programu po zakończeniu roku, nie dostarczono w tydzień później, ale dotrzymania terminu przez nich domagano się bezapelacyjnie. Podobno tak oryginalnie działała administracja.

Owszem, zgadzam się, fakt, iż Monika wybrała sobie, wyjaśniając w polskim przekładzie autoryzowanym, projektowanie programowania komputerów, co może nawet i rozumiem, ale nie chciałabym, żeby mi się przyśniło w nocy, jest jej osobistą sprawą. W Kanadzie ten kierunek jeszcze nie jest karalny. Kretyńskie trudności organizacyjne natomiast, paskudzenie i skracanie każdych wakacji, powinno być karalne dla sprawców. Żeby nie było nieporozumień, jako student Monika leci w czołówce i właśnie odpukuję w niemalowane driewó.) potworną ilość insektów z meszka majową na czele, prawie równą jej ilość chorobliwie grubych ludzi przy równoczesnym wtykaniu wszystkim do gęby obrzydliwego, rzekomo zdrowego, pożywienia.

Oko bieleje i coś się robi! Jak ono zdrowe, to ja jestem arcybiskup.) jednego Murzyna, który mnie wpędził do Imigration, herbatę z cukrem i z cebulą, bezdennie idiotyczne przepisy ruchu, szalony urodzaj na karaluchy, połączone z woniami czosnku i czegoś jeszcze zgniłego, czego nie znam.

O, nie wdaję się w politykę, tylko zwyczajnie usiłuję wyjaśnić coś, czego sama nie rozumiem, mianowicie skrócony urlop mojego syna. Spragniony był tego sierpnia, proszę bardzo, zahaczył o cudowne, upalne, słoneczne chwile i z konieczności odjechał do Kanady, zostawiając w tym rajku mnie i Monikę.

Zaraz, moment. Zanim dojechaliśmy do rajku...

Starannie przemyślana wcześniej organizacja podróży wakacyjnej polegała na tym, że zostawiliśmy sobie dużo czasu w celu zwiedzania zamków nad Loarą. Dzieci zniemacka zainteresowały się historią, dla mnie tematem przyjemnym, chociaż niedostatecznie pamiętanym, niemniej jednak tu Franciszek I, tu Diana de Poitiers, tu Katarzyna Medycejska, tu jeszcze szczątki Ryszarda Lwie Serce, tu królewskie sanitariaty, a tam efekty akustyczne... No, popatrzeć, obejrzyć...

Na popatrzeniu się skończyło.

Czy w Blois znów popadywał deszczyk? Blois, ja i deszcz stanowią w moim umyśle jakieś nierozłączne zjawisko. Byłby to chyba jedyny deszcz tego lata, ale mam wrażenie, że czepiał się mnie specjalnie. Pojęcia nie mam, jak trafiliśmy na zamek księcia de Chevreuse, ale stosunki pomiędzy księciem, jego małżonką, Anną Austriaczką i kardynałem Richelieu okazały się dostatecznie atrakcyjne, żeby bodaj ten zamek sfotografować.

Nie dawało się podjechać bliżej, zamek widoczny był w oddali na górze albo wcale, deszcz do spacerów nie zachęcał. Prowadził Robert, pilotowałam go śladami historii, zatrzymał się gdzieś, w jakiejś uliczce, nie pamiętam gdzie, musiałabym sprawdzać po mapach drogowych, a nie chce mi się, za co najmocniej Czytelników przepraszam.. Przed bramą, później sprawdziliśmy, że straży pożarnej... Wskoczyli obydwój, Robert i Monika, Robert robił zdjęcie swoim nowym, ukochanym aparatem, Monika trzymała otwarty parasol. Kiedy nagle uświadomiłam sobie, że Robert miota się z aparatem po jednej stronie ulicy, a Monika z otwartym parasolem stoi po drugiej, zdaje się, że

przystałam władać ludzką mową i zatroskana mężem i dzieckiem Zosia na chwilę wpadła w panikę, pewna, że jej teściowa zwariowała.

Odczepili się od księcia de Chevreuse, wsiedli, a ja jeszcze nie mogłam się uspokoić.

Nic nie poradzę. Śmieszność sytuacji, groteska, jakieś sedno zawartego w tym przecudownego idiotyzmu, nie uświadomionego kompletnie, przypadkowego, wpływają na mnie w sposób nie do opanowania. Przez całe życie.

A może tylko dzięki temu ja się jeszcze jako tako trzymam? Może to są właśnie te antystresy, które, w przeciwieństwie do skracających egzystencję stresów, przedłużają życie?

No dobrze, czort bierz stresy. Jeśli istotnie ów deszczyk wtedy popadał, rychło pozostało po nim tylko wspomnienie. Ruszył upał. Zamki oglądaliśmy po amerykańsku, z daleka, z miejsca, gdzie udawało się podjechać, Robert z Moniką niekiedy wysiadali w celu zbliżenia się do budowli, raz też wysiadłam w celu wyjęcia z bagażnika butelki wody mineralnej, namacalnie stwierdziłam, że temperatura czterdzieści trzy stopnie powyżej zera nie sprawia mi nadzwyczajnej przyjemności, i szybko wsiałam z powrotem.

Jedyne miejsce, jakie zdecydowaliśmy się porządnie obejrzeć, to muzeum Leonarda da Vinci w Amboise, w zamku du Cios Luce, gdzie był łatwy dojazd i nieco mniej turystów. Większość czasu spędziliśmy w ogromnej, obskurnej i ponurej, ale całkowicie ucywilizowanej toalecie, ponieważ panował tam nie tyle może chłód, ile odrobinę mniejszy upał. Robert wykonał zdjęcia wszystkiego, co z dorobku mistrza zostało zrekonstruowane, po czym zdjął koszulę i zdaje się, że nie on jeden. Bardziej już się nie dawało rozebrać, ale nikt tam przeciwko negliżowi nie protestował. Odżyliśmy dopiero w samochodzie i, pętając po pięknym, francuskim kraju, dojechaliśmy na miejsce.

Już lipiec w Trouville kończył się upalnie, sierpień rzucił się na nas jeszcze gorzej.

Zostałyśmy z Moniką akurat w najgorętszym miejscu Europy, nawet w Hiszpanii i na Lazurowym Wybrzeżu było chłodniej! Z prasy dowiedziałam się, że z gorąca umarło wówczas we Francji około sześciu tysięcy ludzi, przeważnie w starszym wieku, po kumotersku uzyskałam informację, że było takich dziesięć tysięcy i niewiele brakowało, żebym do nich dołączyła.

‘1., -

Ł

Ocean mi chlupał pod nosem, parasol miałam wynajęty na cały pobyt, no i co z tego? Na plaży, w cieniu, dawało się wytrzymać najwyżej do godziny jedenastej, w dodatku morze nie uwzględniało sytuacji na lądzie i raz było blisko, a raz daleko. Jeśli trafiło się na przyływ, w porządku, sama radość, siedzieć w wodzie i z głowy, jeśli jednak ruszał odpływ, koniec pieśni, trzy czwarte kilometra w jedną stronę pod tropikalnym słońcem.

Raz poszłam na odpływ w ciągu ubiegłych lat, bo w przeciwieństwie do Roberta, do pięknej pogody miałam ślepy fart, i w łagodnych falach było bardzo przyjemnie, niestety jednak, musiałam wrócić. Droga powrotna zamajaczyła mi Saharą, mimo wilgoci pod nogami. Ostrzegłam teraz Monikę, młodsza wprawdzie ode mnie o dwa pokolenia, ale niech przynajmniej wie, na co się naraża.

Nie wytrzymała, poleciała, odsiedziała w wodzie co najmniej godzinę, ochłodziła się doskonale i wróciła. Ostatnie metry przelazła jakoś powoli.

- Babciu, miałaś rację - wyznała. - Ciężko się wraca...

Pocieszyłam ją, że przed wieczorem woda przyjdzie i będzie mogła znów się ochłodzić.

Około drugiej w nocy upał zaczynał się zmniejszać, a o czwartej nad ranem było całkiem

przyjemnie. Jedyne dwa chłodne miejsca, jakie istniały w okolicy także i w dzień, to mój samochód i kasyno, bo nic innego klimatyzacji nie posiadało.

Do kasyna miałam sto pięćdziesiąt metrów, sprawdziłam porządnie. Żeby tam dojść pod wałącym z błękitu słońcem, a jakoś tak te ulice wiodły, że cienia nigdzie nie było, siedziałam przez dwadzieścia minut w samochodzie na parkingu i usiłowałam zmarznąć. Wychodziło średnio, ale potem już udawało mi się dotrzeć do wejścia jako tako żywa.

Trudno się dziwić, że wakacje spędzałyśmy głównie w kasynie i nawet nie wypadło mi drogo, bo pod koniec pobytu wygrałam i odbiłam właściwie wszystkie koszty...

A, właśnie! Miałam o tym napisać, zdaje się, że obiecałam i jakoś mi umknęło. Napiszę teraz, dygresyjka do tyłu.

Robert zamierzał zmienić samochód i Zosia w przyływie beztroskiej lekkomyślności oznajmiła, że mu kupi nowy. Ochłonawszy, zastanowiła się, skąd weźmie pieniądze, ale nic jej tak od razu do głowy nie przyszło. Przyjechali do Polski, bo stąd zaczęliśmy letnią podróż, poszliśmy do mojego ulubionego kasyna, każdy zajął się rozrywką i oporna wobec hazardu Zosia uznała, że z samej przyzwoitości powinna udawać, że też w coś gra. W pierwszym lepszym automacie powolutku zaczęła wrzucać po trzy pięćdziesięciogroszówki, uznawszy, że przegranie piętnastu, a nawet trzydziestu złotych jeszcze jej w desperację nie wpędzi.

Po krótkiej chwili popukała mnie w ramię.

- Nie wiem co zrobić - powiedziała, okropnie zakłopotana. - Zdaje się, że zepsułam automat.

Odwróciłam się, bo grała gdzieś za moimi plecami, i popatrzyłam. No rzeczywiście, zepsuła! Trafiała jackpota, osławione trzy jajka, nad zastopowaną maszyną świeciła suma, siedemdziesiąt cztery tysiące złotych.

Tym sposobem na samochód Roberta zabrakło jej zaledwie dwa tysiące dolarów z groszami, które spokojnie mogłam dołożyć w Trouville, a i tak mi się koszty wakacyjne pokryły...

Już sam upał wystarczał, żeby człowieka wykończyć, i w ogóle nie rozumiem, po co mu doskoczyła na pomoc następna przyjemność, mianowicie hałas. Chyba nigdy w życiu do owej chwili nie egzystowałam w tak przeraźliwych decybelach i nawet trudno mi zaopiniować, kiedy się zaczynały, a kiedy kończyły, występowały zaś wszędzie.

No dobrze, liczymy od rana. O wschodzie słońca zaczynały mewy i sen robił się jakiś taki trochę zakłócony. Około wpół do siódmej wyjeżdżała na plażę potężna machina, sprzątająca śmieci i wyrównująca piasek, i warczała. Dźwięk nasuwał na myśl paradę traktorów, względnie czołgów. Zaraz potem, ząbując się z maszyną, obsługa lokali wzdłuż promenady zaczynała ustawiać stoliki, kł-zesła i parasole, przy czym wciąż przeraźliwie darły się mewy. Mewy były najwytrwalsze i z reguły udawało im się doczekać dzieci, które zaraz po śniadanku dziarsko wkraczały do akcji.

Na plaży, jak na plaży, ludzie, tranzystorki, dzieci, mewy, pociąg... bo pociąg to za duże słowo... turystyczny, przejeżdżający co godzinę, rzekłabym zwykle dźwięki. Pewne, że nie błoga cisza. Później zaś kasyno.

W kasynie, jak wiadomo, panuje rzęgot ustawiczny i potężny, wzmożony muzyką, służącą specjalnie do ogłupiania graczy, co wychodzi jej całkiem niezłe. Brzmi to dość monotonnie i na upartego można się przyzwyczaić, jak do młyna albo do tkalni, wieczorem jednakże, około dziesiątej, następowało coś strasznego. Miały to być, jak sędzę, występy artystyczne. Na estradę z przerażającym wrzaskiem wylatywały młode panienki i zaczynały tańczyć kankana.

Obie z Moniką, zamierzając zjeść kolację, tuż przedtem w panice szukałyśmy miejsca,

oddalonego od głośnika, przynajmniej na skraju jego zasięgu, bo na wprost można było ogłuchnąć i zwariować, nie wiem w jakiej kolejności. Panienki darły się, ile sił w płucach, bez względu na rodzaj ćwiczeń gimnastycznych, a podkład muzyczny rąbał na pełnych obrotach. Jeśli się to przetrzymało, normalny kasynowy rzęgot wydawał się ukojeniem.

Około pierwszej w nocy knajpy pod hotelem układały się do snu, co brzmiało tak, że kiedyś wyszłam na balkon, sprawdzając, czy ktoś nade mną nie rozwala dachu. Wyraźnie słyszałam trzaskające, gruchotane dachówki. Mewy już nie przeszkadzały, żelazne łomoty zatem rozlegały się szerokim echem, wspomagane okrzykami... a! Byłabym zapomniała. Jeśli spożywało się posiłek w restauracyjce, pojawiała się dodatkowa przyjemność, mianowicie kilku muzyków, po jednym na dwie knajpy, a czasem po jednym na jedną, grało na rozmaitych instrumentach nawet ładnie, ale możliwie głośno. I długo.

Następnie zapadała cisza nocna, polegająca na tym, że po promenadzie wciąż chodzili ludzie, głównie młodzież, pełna życia i wesela, wśród licznych okrzyków i śmiechów, a niekiedy wręcz przeciwnie. Co najmniej trzy razy jacyś się ostro kłócili, prezentując południowy temperament, ale zdaje się, że nie ciągle ci sami, różni. I tak pi razy oko do trzeciej z groszami.

O wpół do siódmej rano zaś wyjeżdżała na plażę sprzątająca maszynaria...

Którejś nocy usłyszałam bębny murzyńskie i niepotrzebnie pan Tadeusz to opisał, źle mu wyszło, w końcu nie on to przeżył, tylko ja, nie odebrał właściwie moich wrażeń, skrócił, streścił i wypaczył. Nie życzę mu źle, ale niechby z raz coś takiego na sobie odpracował.

Cisza nocna już zapadła, ludzie się prawie rozleźli do domów, dzięki czemu wyraźniej się zaznaczyło to bum-bum, bum-bum, bum-bum. Wzmogło działalność, w żebra wchodziło, a nie wyłącznie w uszy, dobiegało skądś z plaży. Wyjrzałam, ciemno jak w ... tego... no, całkiem ciemno, plaży nie widać, morza nie widać, ulicę widać, ale na niej nic się nie dzieje. Siedzą gdzieś, skur... jak by tu elegancko... świńskie ryje powiedzmy, i wał w bębny, tam-tamów im się zachciało, z Kamerunem gawędzą!

Różne rzeczy przyszły mi do głowy, wśród nich najbardziej ponętna była jedna myśl. Posiadam duży scyzoryk, wezmę go, zejść na dół, znajdę parszywców gdzieś na plaży, dziabnę w te cholerne bębny, porznię im na drobne kawałki! I niech któryś spróbuje zaprotestować, może mi się ręka opśnie i nie w bęben trafię, tylko trochę obok...

Nie zesłam jednak, nie chciało mi się. Nazajutrz na plaży w normalnym hałasie usłyszałam nagle znajomy, uroczy dźwięk, tuż blisko, bum-bum, bum-bum, bum-bum, bum-bum. Pociemniało mi w oczach, błyskawicznie pomyślałam o scyzoryku, który został w pokoju hotelowym, rozejrzałam się dookoła i wykryłam źródło dźwięku. Otóż nie, żaden łajdak, obojętne w jakim kolorze, nie walił w bęben, w ogóle nie było bębna, natomiast trzech facetów młodych, ale całkowicie dorosłych, silnie opalonych, chociaż wcale nie rasy czarnej, w upojeniu słuchało sobie radia. Siedzieli na piasku, na kocach, coś tam robili, nie wiem co, bo ciemność w oczach upośledziła mi zdolność widzenia, a radio stało obok nich i grzmiało tam-tamami.

Poczułam, jak lęgnie się we mnie szaleństwo. Obok siedziała na leżaczku Monika, elektronicznie wykształcona.

- Monika, powiedz mi - poprosiłam - czy jak do tego radia naleje się wody, to mu zaszkodzi?

- Zaszkodzi - zapewniła mnie Monika, od razu żywo zainteresowana.

Rozejrzałam się ponownie. Może jakieś dziecko ma wiaderko, pożyczę je sobie, nabiorę wody, wracając, potknę się przy ich obozowisku, cała woda pójdzie na instrument muzyczny. Jak na złość,

dziecka z wiaderkiem nigdzie w okolicy nie było.

- Słuchaj, a jak się do niego nasypie piasku?

- Też zaszkodzi.

Łopatka. Dziecko z łopatką! A skąd, cholerne dzieci miały kaczuszki, łabędzie, krokodyle, piłki, łopatki żadne. Nienormalne czy co?

Poszłam do wody bez przyrządów pomocniczych. Przechodząc obok facetów, zatrzymałam się na chwilę i popatrzyłam na nich i na radio. Króciutko.

Nie wiem, w jakiej postaci promieniowały ze mnie uczucia i co wyrażał mój wzrok, ale wszyscy trzej nagle zamilkli, spojrzeli na mnie i w mgnieniu oka przyciszyli radio. Już go w ogóle nie było słychać.

Weszłam do morza, wyszłam i wróciłam pod parasol. Monika, która obserwowała scenę, zapłonęła zachwytem.

- Babciu, jak ty to zrobiłaś? Już ich wcale nie słychać!

- Nie wiem. Popatrzyłam na nich.

- Pokaż, jakim ty wzrokiem na nich popatrzyłaś! - błagała.

- Tak na poczekaniu nie da rady. Już ochłonęłam w tej wodzie.

Odżałować nie mogła, że nie widziała mnie od przodu i z bliska. Musiałam jednak zaprezentować coś grubszego, bo już do końca naszego pobytu bębny murzyńskie ani razu się nie odezwały.

Przytrafił się jeden chłodniejszy dzień, przed południem było zaledwie trzydzieści cztery stopnie, czym prędzej wykorzystałam chwilę na zakupy. Zależało mi na kupieniu calvadosu w samym sercu jego ojczyzny, poszliśmy do sklepu z alkoholami, tam zaś, zgodnie z obyczajami, sprzedawca zrobił nam degustację. Do małych kieliszek nalał trunku dwudziestoletniego, dwudziestopięcioletniego, czterdziestoletniego... Należało spróbować.

Monika, do wysokoprocentowego alkoholu raczej słabo przyzwyczajona, popatrzyła na mnie z przerażeniem.

- Nic, dziecko, pij! - poleciłam bezlitośnie. - Zimno dzisiaj, może przetrzymamy.

Jak widać, udało nam się wyżyć, a calvados wybrałam bardzo trafnie.

Na myśl, że w Polsce mam cichy i chłodny dom z klimatyzacją, coś mi się w środku robiło i ogarniała mnie desperacja. Byłabym stamtąd uciekła, gdyby nie Monika, która wciąż jeszcze miała wakacje i zabukowana była na koniec miesiąca, nie mogłam jej przecież zostawić w paryskim piekle. Nie mogłam także zabrać ze sobą, bo samolot miała z Paryża. Tu zaś przynajmniej pod nosem chlupało morze.

Jakoś uparcie spadało na mnie osobliwe szczęście do ekstremalnych temperatur, aczkolwiek, na kolanach przysięgam, nigdy nie pchałam się do żadnych szkół przetrwania!

Następnego roku diabli nas zanieśli do Wiednia.

Monika wcale nie miała wakacji. Mówiłam, że te jej studia robiły i robią na mnie dziwne wrażenie, ale nie będę się czepiać, bo możliwe, że postanowiła odwalić ile może, a oprócz tego jeszcze trochę, i stąd brak czasu na niewinne rozrywki.

Przyjechała za to na wiosnę, w okolicy pierwszego maja, razem z narzeczoną. Niejaki T.J., czyli Tidżej, do którego to imienia już się wszyscy przyzwyczaili, razem z nią studiuje na tym samym roku i wspólnie z nią robi coś, czego nawet nie silę się zrozumieć i nie życzę sobie, żeby mi ktoś próbował wyjaśnić. W każdym razie jest to komputerowe.

Ze względu na młodzież znów pojechałam do Poznania, bezwzględnie zdecydowana nie

wychodzić na świeże powietrze, bo cholera wie czy ta meszka już tam na mnie nie czeka, wzięłam bierny udział w połączeniu z Europą i zabłądziłam na autostradzie, a tak naprawdę chciałam dzieciom pokazać Gniezno, Gopło, Strzelno, Trzemeszno i w ogóle tak zwane korzenie. Niczego im nie pokazałam poza katedrą w Gnieźnie, w dodatku bez Drzwi Gnieźnieńskich, które akurat były w renowacji, ponieważ okazało się, że natychmiast muszę wracać z uwagi na zaszczyt, jakim sprawiono mi niespodziankę.

Słowo daję, gdybym wiedziała, co mnie spotka, nakichałabym na młodzież i korzenie, i do żadnego Poznania nie dałabym się nakłonić. Owszem, robiłam kiedyś trasy na durch przez Polskę tam i z powrotem, ale byłam wówczas o trzydzieści pięć lat młodsza, w co może trudno uwierzyć, niemniej jednak jest faktem, a poza tym szosy były mniej zatłoczone i o żadnych koleinach nikt nie słyszał. Najwyżej smoła pryskała. Teraz Poznań, Majówka z Książką, autografy, pogawędki z ludźmi, wywiadziki, Europa, Gniezno... no i wyjazd z Gniezna na autostradę w przeciwną stronę, bo nawet i to potrafię... po czym natychmiastowy powrót do Warszawy, w wielkim pośpiechu, i zaraz potem uroczystość...

Nie mogę przecież, do licha, otrzymując Krzyż Oficerski, wyglądać jak ostatnia zmaza, powłócząca nogami! Bo niby co, tak mnie ten Krzyż przygnębił...?

Wszystko razem z upływem czasu staje się odrobinę zbyt męczące.

Dodatkową przyjemność sprawiła mi rodzina Tidżeja w Kanadzie. Nie uwierzono mu, kiedy opowiadał, że od razu przy pierwszym zwizytowaniu Polski znalazł się w Pałacu Prezydenckim całkiem legalnie, jako gość, i dopiero zdjęcia udowodniły jego prawdomówność, wprawiając wszystkich w osłupienie.

W każdym razie, złapawszy wolny tydzień w maju, Monika wakacji już nie miała i w letnią podróż udaliśmy się we troje, Robert, Zosia i ja. Przez Wiedeń, bo wrocławska autostrada już nam doszczętnie nosem wyszła.

Nie chcę się wdawać w politykę, nie cierpię politycznego bagna, ale, swoją drogą, ta wrocławska autostrada mnie ciekawi. Intryguje nawet. Jakim cudem przez przeszło pół wieku, od czterdziestego piątego roku prawie do tej pory, do ostatnich lat, panowało na jej temat kamienne milczenie? Zbudowana została, nie ma tu co ukrywać, przez Niemców i za wolnej naszej ukochanej ojczyzny najmniejszym remontem nieskalana. Pralka, jaka tam pralka, zdewastowana tara do bielizny, „Cena strachu” się kłania, samochody się na niej rozlatywały i mięso człowiekowi od żeber odpadało, piekło, nie szosa! Nie zliczę, ile razy czyniłam na niej rozmaite sztuki, usiłując odkryć najmniej szkodliwą szybkość, poczynając od dziesięciu kilometrów na godzinę, kończąc na dwustu, poprzez wszystkie pośrednie, nic nie pomagało. Nie wstyd nam?

A ciekawi mnie niezmiernie, kto też w ciągu tych wszystkich lat za to odpowiadał? Urzędy miewaliśmy rozmaite, prezesów, dyrektorów, ministrów, w końcu nawet prezydentów, zarządy dróg, gospodarzy miast i województw, dużo tego i co? Nikt z tych wszystkich ludzi nigdy w życiu nie jechał wrocławską autostradą? Nie wózkiem dzieciennym, nie na wrotkach, chociaż i na wrotkach pewnie by sobie zęby naruszył, nie konno, tylko zwyczajnym samochodem? Nigdy żaden sejm, żaden zarząd, żadne ministerstwo, żadna władza państwowa nie przydzieliła upiornej trasie żadnych pieniędzy?

Co śmieszniejsze, nie tylko trasie. W intrygujący sposób z autostradą w pełni koresponduje nawierzchnia wrocławskich ulic. Też im władza nie przydzieliła?

A jeśli przydzieliła, to co się z tymi pieniędzmi stało...?

Cokolwiek się stało, wrocławska autostrada sprawiła, że w urlopowy wojaż do St-Malo ruszyliśmy przez Cieszyn i Wiedeń.

I oczywiście panował upał.

No przecież od początku czepiam się tego upału i wreszcie oderwać od niego nie mogę! Jeden nie lubi myszy, drugiego brzydzą pająki, mnie na starość wykańcza upał. Nad wodą to jeszcze pół biedy, w suchych terenach wyżynnych wysiadam gruntownie.

Już w Cieszynie było gorąco. Zupełnie wyleciało mi z głowy, że znalazłam się w górach, no, nie Himalaje może, i nawet nie Tatry, ale zawsze, Beskid Śląski też nie od macochy, samą mnie zatem zdumiał nagły wybuch furii. Ni z tego, ni z owego wpadłam w szał w obliczu niewinnego parkowania pod rotundą, którą dzieci chciały obejrzeć, na szczęście szału nie stłumiłam, zbytnio mi zatem nie zaszkodził. Odpracowawszy wspaniały wybuch, zastanowiłam się nad przyczynami idiotycznej wściekłości, odgadłam je rychło, trochę rozumu mi wróciło, ostrzegłam przed sobą dzieci i Lilkę, rodzina mnie znała i nic się nie stało. Wiadomo było tylko, że czym prędzej należy zmierzać ku nizinom.

Niestety, Austria, to nie holenderskie depresje. W pierwszej kolejności znaleźliśmy się w Wiedniu.

W Wiedniu tak znowu często nie bywałam, wszystkiego raptem dwa razy, ale oba pobyty były nader intensywne i silnie urozmaicone robotami drogowymi, w pamięci zostało mi trochę widoków sensownych i trochę melanzu. Umiałam rozpoznać Dunaj, Prater i nawet trafić do Kerntnerstrasse.

I tu nastąpiła klęska. Zarezerwowany na chybił-trafił hotel, wytworny i blisko kasyna, znajdował się gdzieś tam daleko, odgrodzony od nas murem czegoś by innego, jak nie robót drogowych? Także deptakiem dla pieszych, którego kiedyś nie było, także jakimiś zmianami, w których nie mogłam się połapać, i bij człowieka głową w ścianę, dojazdu do niego nie ma i cześć.

Jak to się mogło stać, że akurat wtedy pożerałam siekany sznycelek w serwetce śniadaniowej...?

W pamięci moich dzieci ów sznycelek pozostał na zawsze. W mojej kołaczce się parę innych drobnostek, ale przypuszczam, że przed końcem tego etapu podróży musieliśmy wstąpić gdzieś na jakiś posiłek, którego nie zdołałam spożyć w całości. Owszem, sznycelki to były, tak znakomite, że postanowiłam im nie darować, jeden zjadłam, a drugi ukradkiem zapakowałam w ową serwetkę i zabrałam ze sobą.

No i w obliczu pełnej niemożności dotarcia do hotelu odezwało się we mnie natychmiast podróżnicze doświadczenie.

- Łapiemy taksówkę i niech on nas dopilotuje do wejścia. Niemożliwe, żeby czterogwiazdkowy hotel nie miał dojazdu dla gości, nikt z bagażami przez cały Wiedeń nie lata.

Łapiemy taksówkę, doskonale. Nikt z nas niemieckiego języka nie znał, ale istnieją słowa międzynarodowe, które pozwalają się jakoś dogadać, a taksówki rozpoznać łatwo. Owszem, stały. W jakimś ciasnym zaułku bez wylotu, gdzie w obliczu sznura samochodów po jednej stronie ulicy zawracanie na wolnej reszcie wymagało niezłych akrobacji. Praworzadnie i grzecznie dopchaliśmy się aż do pierwszej i od razu zrobiliśmy zamieszanie.

Kierownicą pierwszej taksówki okazała się zażywna blondyna, jakoś dziwnie mało nami zainteresowana. W uzgadnianiu naszych potrzeb wzięli udział prawie wszyscy kierowcy, ona zaś najmniej, jednakże wsiadła do swojego wozu i zaczęła zawracać. Zatem chyba przyjęła zlecenie? Zawróciliśmy za nią, nie zwracając już uwagi na rozmaite niemieckie okrzyki.

Odkoczyła nam od razu i musieliśmy ją ganiać. Żeby nie stracić jej z oczu, Robert przejechał



czerwone światła. Grzała zdrowo, wcale na nas nie czekając, aż nabraliśmy obaw, że nie pilotuje nas, tylko po prostu przed nami ucieka bez mała w panice. Osobliwe.

W kłębówisku samochodów straciliśmy pewność, że gonimy właściwy i tylko widok dobrze odżywionej blondyny za kierownicą pozwolił nam żywić nadzieję. Ale zaraz, chwileczkę, obok blondyny siedział chyba pasażer?

Ruszyły niespokojne rozważania.

- Może to wcale nie ona?

- Tylko kto? Siostra bliźniaczka? I też jeździ na taksówce?

- No dobrze, jeśli ona, to skąd wzięła pasażera?

- A na pewno go ma? Może nam się tylko wydawało?

- Jeśli ma, to nie ona!

Zaświtało nam coś w głowie, kiedy miasto uległo zakończeniu i pojawiły się przedmieścia. Niemożliwe, żeby do hotelowego wejścia jechało się tak przeraźliwie okrężną drogą!

- Ona nas wcale nie pilotuje, tylko ucieka w przekonaniu, że ją gonią szaleńcy - zaopiniował Robert. - Pasażera wzięła na postoju, tam się ktoś pętał.

Zgodziłam się z jego poglądem, zarządziłam odwrót i łapanie innej taksówki, pierwszej, jaka nam się napatoczy, bez względu na odległość od centrum. Napatoczyła się błyskawicznie, za kierownicą zaś, dziwnym trafem, również siedziała zażywna blondyna. Zaniechaliśmy wnikliwego sprawdzania, czy rzeczywiście wszyscy kierowcy taksówek w Wiedniu są zażywnymi blondynami, wykorzystaliśmy jej czerwone światło, wyskoczyłam z samochodu i rzuciłam się ku niej, teraz już zdecydowana wsiąść i dopilnować właściwych działań. Dzieci twierdzą, że wyglądało to tak, jakbym leciała w celu wetknięcia jej siłą do gęby resztek kotlecika w serwetce, nie wiem, możliwe, że machałam ręką, w której trzymałam pożywienie. W każdym razie zdążyłam, a kotlecik wykończyłam sama.

Tajemniczym językiem wyjaśniłam jej sytuację, z zaistniałym nieporozumieniem włącznie, dzięki czemu odbyła całą drogę nadzwyczajnie rozweselona. Okazało się, że mieliśmy rację, dojazd do hotelu był, nawet z parkingiem, tyle że od tyłu.

Zaczęliśmy zwiedzać Wiedeń, a upał rósł. Z Schönbrunnu zrezygnowaliśmy z góry, zdając sobie sprawę z braku czasu, dwa dni, cóż to jest! Prater tak, Prater koniecznie, poza nim co pomniejsze atrakcje, wśród nich zaś, niech to piorun spali, muzeum motyli.

Motyle mnie dobiły.

Najgłupiej w świecie uznaliśmy, że nie będziemy jeździć sobą, tylko taksówkami. Każdy taksówkarz doskonale zna drogę, o parkowanie się martwić nie musi, wjedzie tam, gdzie prywatnemu nie wolno, prawie same korzyści. Nawet klimatyzację miewają. W dodatku doskonale wiedziałam, gdzie mają postój przed Praterem.

Pomijając już to, że pomyliłam kierunki i wyszliśmy dokładnie z przeciwnej strony niż ten cholerny postój, w związku z czym należało oblecieć całość dookoła, a teren jest duży, to jeszcze w drodze do motyli uczyniłam najgłupszą uwagę w życiu.

- A te motyle okazały się żywe i będą latały nad głowami - rzekłam w mniemaniu, iż robię sobie świetny żart.

Zła godzina otacza mnie chyba specjalną opieką.

Motyle rzeczywiście okazały się żywe. W drodze do nich, na parkowej alejce, ledwo zapiąc, ociekaliśmy potem, weszliśmy zaś następnie w rzetelny tropik. Bo to były motyle tropikalne i w

oszlonym pawilonie stworzono dla nich odpowiedni klimat, prawdziwą podzwrotnikową dżunglę. Latały oczywiście i nad głowami, i przed nosem, były bardzo piękne, składały i rozkładały skrzydła, kryły się w bujnej roślinności, wyfruwały z niej, same atrakcje barwne i uroczne. Pobyt w kolorowym piekle miał tę dobrą stronę, że po wyjściu stamtąd temperatura na zewnątrz wydała nam się prawie przyjemna.

Albo klimat się zmienia, albo trzydzieści lat temu łatwiej znosiłam wybryki pogody.

Chyba samej sobie na złość wymyśliłam wtedy wakacje w St-Malo. A przy okazji Carnac, menhiry, dolmeny, wszystko owiane tajemnicami druidów, trzeba to w końcu zobaczyć na własne oczy, a może któraś tajemnica sama się przed nami odkryje i coś z tego wyniknie?

Tyle wynikło, że przez całe te krótkie wakacje nie miałam dostępu do wody. Morze chlupało pod nosem, jasne, wszystko jak trzeba, ale wysoki brzeg został zabezpieczony falochronem z pionowych pali i przyływ walił w ten falochron tak, że nie wytrzymałby nawet odporny rekin. Odpływ dostarczał całych połaci mokrego piasku, owszem, dlaczego nie, ale na plażę należało schodzić po bardzo stromych schodkach daleko w dół. No, a potem na owe schodki wchodzić z powrotem do góry. Sam widok wspinaczki wystarczał, żebym popadała w nieodwracalne inwalidztwo.

Zwiedzając, oprócz zabytków, także lokale gastronomiczne, dość rychło odkryliśmy łagodne zejście na plażę, wszystko razem wprost wymarzone, bo i obiad jadło się tam najprzyjemniej, i miejsce na parking było, i przejście ku wodzie tuż obok bez żadnych idiotycznych schodków, istniał wszakże jeden mankament, wynikały z ukształtowania terenu. Podchodzący niemal do ulicy przyływ wykluczał jakiegokolwiek umebłowanie plaży, żadnych parasoli, żadnych krzeselczek, leżaczek, stoliczków, nawet pieńków, nic, goły piasek i woda. Do licha, teren dla młodzieży!

Piękne to bardzo, malownicze niezmiernie, piracka melina jak marzenie, tłok turystyczny przeraźliwie rozrywkowy, ale jeśli osoba w mocno przywiedłym kwiecie wieku spragniona jest biernego odpoczynku i świętego spokoju, niech lepiej jedzie gdzie indziej. Do St-Malo może tylko zajrzeć w chwili doskonałego samopoczucia.

Aczkolwiek przyznaję uczciwie, że nie obejrzelśmy porządnie wszystkiego i wcale nie jestem pewna, jak wygląda plaża przed, na przykład, Grand Hotelem albo wodnymi terapiami, ale gdyby gdzieś zamiast drewnianych drągów widniała cywilizowana, płaska plaża, z pewnością wpadłaby mi w oko.

Żeby już skończyć z upałem, wybiegnę nieco do przodu i pozbędę się Pragi Czeskiej, która kojarzy mi się z nim natrętnie. Raz tylko nie narwałam się w Pradze na tropikalną atmosferę, ale było to późną jesienią i w grę wchodził jeden dzień, więc może fart do upału nie zdążył mnie zauważyć. We wszystkich innych wypadkach żywy ogień rąbał z nieba i teraz też.

Te akurat wakacje dzieci zdecydowały się spędzić w Polsce i zrobić wszystko to, na co normalnie brakuje czasu. Od razu powiem, że wszystkiemu nie daliśmy rady, zapewne właśnie dlatego, że wybraliśmy się obejrzieć Pragę, która ciągle nam leży nie po drodze. Do Wiednia jedzie się przez Bratysławę, do Stuttgartu i Kopenhagi przez Poznań albo Szczecin, nie wspominając już o Wrocławiu, Pragę zatem należy obskoczyć wypadem ekstra.

Uparłam się obejrzieć Żółtą Uliczkę. Z góry uprzedziłam, że na Hradczany i Stare Miasto pójda sobie sami, ja to już oglądałam parę razy i teraz nie muszę, szczególnie przy panującej temperaturze, ale Żółtą Uliczkę chcę.

Znów to samo głupstwo, taksówka. Dojechać jak najbliżej, bo umrzeć należy po obejrzeniu Neapolu, nie zaś fragmentu Pragi Czeskiej, życzę sobie przelecieć tyle, ile niezbędne i ani centymetra

więcej. Pelen zrozumienia kierowca, bardzo zmartwiony, wyjaśnił nam, że nie ma siły, albo blisko, ale pod górę, albo po równym i w dół, ale za to dalej. Poszłam na tę drugą kombinację, przeleciałam przez wszystkie dziedzińce zamkowe, których właśnie zamierzałam uniknąć, pocieszając się odgadywaniem, jakim cudem różne wrogie armie zdobywały zamki przy tylu przeszkodach, nie odgadłam, i wreszcie dotarłam do miejsca upragnionego.

Złota Uliczka mnie rozczarowała. Z zewnątrz tak, owszem, podobnie musiała kiedyś wyglądać, ale wnętrza wszystkich pomieszczeń zostały urządzone, za przeproszeniem, idiotycznie. To przecież były pracownie alchemików, czarnoksiężników, uczonych i trucicieli, laboratoria chemiczne, zielarskie i złotnicze, warsztaty jubilerskie wielkiej klasy, a co z tego zrobiono? Jedno w drugie kioski z pocztówkami. Miałam nadzieję, że odtworzyli gdzieś tam paleniska, tygielki, rekwizyty, tu suszony nietoperz, tam trupek niemowlęcia... O, bez przesady, taki stary trupek to już przedmiot zabytkowy, szczególnie w słoju, zresztą, mógłby być sztuczny. Jakieś wypchane sowy, jakieś drogie kamienie z Jablonexa, jakieś księgi i kawałki tajemniczych tekstów, obojętne w jakim języku, bo i tak nikt tego nie zrozumie. A tu nic.

Cały urok uliczki ginie w obliczu wnętrza, co możliwe nawet, że wyszło mi na zdrowie, bo inaczej dłużej bym się tam plątała w samo południe pod ciepłym słońcem. Pogoda była jak dzwon i chciałam na marginesie zauważyć, że wszyscy w tej Pradze, radośni i uśmiechnięci, życzliwie nas informowali, że to myśmy taką przywieźli, bo do przedwczoraj cały tydzień było zimno i nawet mżył deszczyk. Bardzo nam byli wdzięczni.

Dotarłam do końca uliczki, wbrew rozczarowaniu zadowolona, że ją widziałam, i zaczęłam schodzić w dół. Schodziłam tak i schodziłam, w dół i w dół, i w dół, końca temu nie było, od czasu do czasu wspierałam się o murek, z zainteresowaniem oglądając piękne miasto z lotu ptaka, pełna nadziei, iż lada chwila panorama się skurczy, a skąd, w następnym miejscu widziałam tyle samo, więc znów schodziłam i schodziłam, przyspieszając.

Robert i Monika schodzili przede mną. Chwilami nadziewałam się na nich i pytałam:

- Dzieci, czy któreś z was widzi tam gdzieś koniec?

- Koniec nie całkiem, ale już tylko dziewięć podestów... Nie, jeszcze dwa. Jedenaście.

Usiąść nie było gdzie, zjawisko takie jak cień w ogóle nie istniało. Prawie nie uwierzyłam własnym oczom, kiedy wreszcie w dole mignęła ulica.

No i oczywiście ze złapaniem taksówki były okropne kłopoty, bo chyba sterczał *tam zakaz zatrzymywania*. Tyle mojego, że na efekt wysiłków dzieci czekałam, siedząc na kamiennym słupku w cieniu budynku, niespokojna za to, że mojego syna i moją wnuczkę szlag trafił z upału oraz coś przejedzie. Zosia zachowała umiar i nie miotała się po jezdni.

Później dopiero, kiedy wróciły mi rozmaite władze umysłowe i fizyczne, zastanowiłam się nieco i po pierwsze, przypomniałam sobie, że Robert uwielbia upał i w Afryce, na żywym słońcu, potrafił zasnąć i spać sobie błogo bez żadnej szkody dla zdrowia, a Monika, młodsza ode mnie o pół wieku, wychowana została trochę w Algierii, a więcej w Kanadzie, gdzie w zimie na przystanku autobusowym zamarzły jej włosy, a w lecie szaleje łaźnia, podchodząca pod mokre czterdzieści stopni znanego nam Celsjusza. Po drugie zaś zaciekałam się sama sobą, po jaką cholere leciałam po tych schodach jak z pieprzem, zamiast schodzić spokojnie, powoli i z odpoczynkami, no i tu już po krótkiej chwili znalazłam odpowiedź. Ponieważ czym prędzej chciałam zejść z upiornego słońca i znaleźć się bodaj w kawałeczku cienia.

Do diabła z turystyką...

Nie tracę nadziei, że jeszcze kiedyś Praga Czeska okaże mi odrobinę pobłażania i uwzględni moje potrzeby, wiek i stan zdrowia.

Sądzę, że także z gorąca nie odnaleźliśmy grobu mojej prababci w Starej Wsi, gdzie bez mała pół cmentarza zajęte było przez Wojtyrów, niewątpliwie moich przodków. Chcieliśmy zajrzeć w księgi kościelne, głównie ze względu na Monikę, bo rzadko kto, urodzony w Polsce, może się w prostej linii wywieść od siedmiu pokoleń, o ile nie jest arystokratą, pochodzącym od Barbary Radziwiłłówny i Jana Zamoyskiego, mogłaby zatem w Kanadzie szyku zadawać, ale, niestety, na sześciu pokoleniach musieliśmy poprzestać, ponieważ, mimo niedzieli, kościół był zamknięty. Robert, co prawda, proponował, że wlezie do zakrystii przez uchylone okno, ale zniechęciłam go przypomnieniem, że nie wiadomo, gdzie dalej musiałby się włamywać, bo możliwe, że stare księgi kościelne, o ile ocalały, mogą przebywać w jakimś archiwum, o którego lokalizacji nie mamy najmniejszego pojęcia. Moja zaś wiedza kończy się na praprababci Szpitalewskiej i jej siostrze, Chmielewskiej.

Koniec pieśni. Wściekły upał zniechęcił nas do dalszych poszukiwań, ale nie tracę nadziei, że jeszcze swoje przodkinie odnajdę. Ciekawe, swoją drogą, że bardziej lecę na przodkinie niż na przodków...

Okropne baby. i

. a & -&., i..... ^ ■

No dobrze, odczepię się wreszcie od upału, ale nie od warunków atmosferycznych. Teraz przypomniał mi się wiatr.

Na litość boską, czy ja piszę referat meteorologiczny? Zdawało mi się, że kontynuuję autobiografię dla przyjemności Czytelników i własnej wygody...? Albo odwrotnie?

A, co tam, trudno. O różne takie głupie wydarzenia ustawicznie jestem pytana, więc niech je rozgłoszę publicznie, bo inaczej, w kółko opowiadając to samo, do reszty zidiocieję.....:<«■■. ”\*>. <■ ■;,,!,: ‘

Z tajemniczych i nieodgadnionych przyczyn powolutku, powolutku, jęłam sobie cokolwiek podupadać. Niewykluczone, że ten głupi zawałek sprzed lat wywarł na to jakiś skromny wpływ i zaczęło mi brakować sił na wszystkie obowiązki ze Związkiem Radzieckim na czele...

O, proszę! Widać, że już mi się coś myli. W kwestii dodatkowych obowiązków mam w planach obszerny elaborat, który nikomu się nie spodoba, ale mnie sprawi żywą ulgę. Nie pożałuję sobie, żeby raz wreszcie nie rozpowszechnić w upojeniu prawie wszystkiego, co myślę. Prawie, wyraźnie mówię, wszystkiego nie mogę, bo nie chce mi się szlajać po sądach.

Wracam do wiatru.

Podupadając, zaczęłam to ziajać, to dyszeć, co wzbudziło zdziwienie i niepokój najbliższego otoczenia, bo wszak młoda jestem jak szczypiorek na wiosnę i cudownie piękna, czemuż zatem ziajam i dyszę? Trudności to rozmaitych przysparza, w egzystencji przeszkadza, kłopoty sprawia i coś ze mną trzeba zrobić.

Pojęcia nie mam, kto pierwszy wpadł na ten pomysł, możliwe, że ja sama, ale rozważania na tle odzyskania sił i zdrowia toczyły się chyba ze trzy lata. Coraz więcej słyszałam...

O, już wiem kto. Piotr. Mój wieloletni przyjaciel, niegdyś kolega po fachu, przez jakiś czas męczyzna życia, taktownie w paru utworach opisany, znany w końcu rodzinie i bliskim osobom. Jak dawno temu, przed laty, wyciągnął mnie z dołka komunikatem, że głupio się gnębię, bo życie przede mną, w czym miał dużo racji, tak ostatnimi czasy podsunął mi myśl o kuracji. Sam w końcu

projektował, a także użytkował takie ośrodki, gdzie starsza osoba *coś* tam utraconego odzyskuje.

- Nie wygłupiaj się - powiedział. - Stać cię w końcu na to, przestań sobie żałować. Traci człowiek dziesięć kilo wagi i odzyskuje dziesięć lat zdrowia. Przyślę ci faksem wszystkie adresy razem z cenami.

Co też uczynił, ale jeszcze na to nie poszłam i gdyby mnie ktoś pytał, od razu się przyznam, że nie wiem dlaczego. Nie umiałam...? Mankament językowy...?

Złapały się za mnie kanadyjskie dzieci. Ośrodki, o których mowa, można określić rozmaicie, *thalassotherapie*, *balneotherapie*, kuracje morskie, *cur de la mer*, różnie się nazywają. Ich cechą ogólną jest stosowanie morskiej wody, *frutti di mare* i alg, delikwent zaś przedtem jest badany przez lekarza, który decyduje o zabiegach. Co innego dla dwudziestoletniej narkomanki, co innego dla sześćdziesięcioletniego sercowca, co innego dla czterdziestoletniego astmatyka, co innego dla starej baby z wątrobą. Jeśli człowiek nie przywiezie własnych badań, wyników, rentgenów, EKG i diagnozy stałego lekarza, zrobią mu wszystko sami, czemu nie, za dodatkowe pieniądze. Po czym zwyobracają go stosownie.

W Polsce też są takie i niejednokrotnie byłam namawiana, żeby spróbować. Jak dla mnie, te nasze mają dwie wady, nie stosują morskiej wody z atlantycką florą bakteryjną i nie prowadzą ostryg. Co do alg, zastępują je borowiną.

Co do borowiny natomiast, niepewna, czy nie robię komuś świństwa, bo już ładne parę lat mnie tam nie było, wyjaśniam, że jezioro złożone głównie z borowiny znajduje się w Zielonce pod Warszawą i nie zliczę, ile razy się w nim kąpałam. Całkiem za darmo. Dojazdu nigdy wcale tam nie było, chyba że samochodem albo na rowerze, nie wiem jak teraz, ale po wyjściu ze zdrowotnej wody czarne cętki spłukiwało się dopiero w domu pod prysznicem. Mnie taka kąpiel robiła doskonale, nie wiem jak innym, ale o niezadowolonych nie słyszałam.

Zaraz, moment, nie reklamuję teraz jeziora w Zielonce, wręcz przeciwnie, wyżalam się na osobiste, wietrzne doznania.

Po licznych przeciwnościach...

No proszę, chociażby w samym Trouville istniało coś takiego, jak byk napisane, że to właśnie kuracje morskie, poleciliśmy na zwiady, a chała, właśnie w remoncie. Znaczy, przeciwność losu. La Baule... Jak trafiłam do La Baule? Muszę spojrzeć na mapę...

Dla uniknięcia nieporozumień od razu wyjaśniam, że w ośrodkach projektowanych przez Piotra nie było kasyna i dlatego nie skorzystałam.

A czy mnie nie wolno lubić kasyna? Za swoje piję!

Już wiem. To było wtedy, kiedy pojechaliśmy macać menhiry i dolmeny, zboczyliśmy odrobinę i zostałam poniekąd zmuszona do dokonania rezerwacji na jesień tego samego roku. No i przepadło, głupkowato wystraszona, pojechałam na kurację do La Baule.

No zaraz, zaraz, spokojnie, zanim pojechałam, należało odpracować formalności.

Wpłacić zadatek, to pierwsze. Akurat najmniej kłopotliwe, załatwiłam sprawę za pomocą karty kredytowej, przypilnowana przez dzieci, żebym się przypadkiem nie próbowała wymigać, nie od płacenia, tylko od kuracji w ogóle. Dalszy ciąg był gorszy.

Dostałam oczywiście, już w Warszawie, przysłane faksem, wszelkie pokwitowania i potwierdzenia, oraz trzy strony drobnego druku natury medycznej, rodzaj ankiety, z uprzejmą prośbą o wypełnienie i odesłanie, co nadzwyczajnie ułatwi i przyspieszy określenie rodzaju zabiegów. Nie miałam najmniejszych obiekcji, ale nie wszystkie opisane tam dolegliwości znalazłam w słownikach

i w rezultacie rozumiałam porządnie tylko to, co dotyczyło ilości i wieku posiadanych dzieci. Reszta napelniła mnie wyłącznie niepewnością.

Najbezpieczniejsze wyjście znalazłam od razu.

W Paryżu od lat rezydował Michał, mój siostrzeniec taki sam jak Małgosia, syn Marysi, drugiej siostry mojego męża, jego żona zaś, Jola, jest moją siostrzenicą tak samo, jak Witek. To znaczy, Witek nie jest siostrzenicą, ale mam na myśli stopień powinowactwa. No i Jola, jednakowo znająca oba języki, polski i francuski, pracuje w służbie zdrowia.

Któż lepiej od niej mógł się zorientować w teminach medycznych, stosowanych we Francji?

Pomijając już to, że Jola prezentuje sobą istne złoto i diament czystej wody. Uczynna jest do tego stopnia, że w okresie letnim wzięła na przechowanie wakacyjne razem mikroskopijnego, okropnie głupiego i łakomego pieska o wydelikacjonym żołądku i królika w klatce, której nikt z nas nie umiał odpowiednio otworzyć, zamknąć, ustawić i nie wiem, co jeszcze z nią zrobić, ale od klatki zależała cała egzystencja królika. Na szczęście piesek i królik nie zwracały na siebie wzajemnie najmniejszej uwagi.

Na Joli opierała się moja nadzieja.

Zadzwoniłam, gorączkowo wyjaśniłam sprawę, przefaksowałam cały nabój, błagając o przetłumaczenie, z tym że zadałam sobie trud przepisania drobniutkiego, rozmazanego druku na komputerze, wydrukowałam to w postaci czytelnej, aczkolwiek może nieco błędnej, bo, nie znając słów, nawet przez lupę nie byłam w stanie odgadnąć litery, jest to t? Czy l? C? A może s...? Na wszelki wypadek wysłałam obie formy, rozmazaną i własną.

Już tego samego wieczoru Michał zadzwonił, chichocząc szatańsko.

- Gdybyś była chora na jedną czwartą tego wszystko, dawno powinnaś umrzeć - oznajmił radośnie. - Jola mówi, że te kuracje są rzeczywiście bardzo dobre. Zaraz ci wysyłamy odpowiedź.

Otrzymałam przetłumaczony kwestionariusz i wpadłam w ciężkie zakłopotanie. A skąd ja mam wiedzieć, na litość boską, czy odzywało się we mnie kiedykolwiek nadnercze?! Jak ono się odzywa, nic nie słyszałam!

Następną zatem złapaną osobą był mój doktor. Przywykły do mojej rodziny, leczył moją matkę, leczy Teresę, kotłuje się ze mną i w ogóle czarujący. Powiadomiony o kłopotcie, przyjechał z córką, informując, że wziął ze sobą pomoc techniczną, aczkolwiek sam osobiście język francuski zna. Córka, romanistka, zna jeszcze lepiej.

Tym nieco skomplikowanym sposobem mój kwestionariusz zdrowotny został wypełniony, nie musiałam go wysłać, wystarczyło, że schowałam pieczołowicie i dołączyłam do wszystkich innych ważnych dokumentów. Mogłam jechać.

Już sam początek podróży wypadł jakoś tak, pod nie najlepszymi auspicjami.

W pierwszej kolejności zacięły się drzwi od garażu i nie chciały mnie wypuścić. Mnie jak mnie, mogłam wyjść inaczej, ale samochód się w przedpokoju nie mieścił. Po licznych i urozmaiconych wysiłkach podniosły się wreszcie i wyjechałam.

Natychmiast, już w bramie, komórka wpadła mi między fotele i czas jakiś zużyłam na wydłubywanie jej, wykluczając zamknięcie bramy, bo stałam dokładnie na fotokomórcie.

Zdenerwowana nieco, odjeżdżając, dla uspokojenia zapaliłam papierosa, niestety, filtrem. Wyrzuciłam śmierdzące świństwo, zapaliłam następnego stroną właściwą i sięgnęłam po okulary dalekobieżne...

Dobrze, wyjaśnię sprawę okularów... O mój Boże, o ile jeszcze kretyństw wnikliwi Czytelnicy

mogą mnie zapytać! Niech zmniejszą tę lawinę chociaż trochę!

Nadzwyczaj długo miałam świetny wzrok, stąd zresztą znakomita umiejętność kreślenia, z której jestem bardzo dumna i chętnie o niej przypominam, aż wreszcie z wiekiem świetność nieco skłęsała. Do czytania potrzebne okazały się okulary, ponieważ wzrosła mi dalekowzroczność, a na odległość metra nie starczało mi ręki. Zaczęło się od pół dioptrii, na półtorej skończyło, więc żaden dramat, ale w jakimś momencie, i nawet nie pamiętam przyczyny, może któreś okulary zgubiłam albo co, okulista stwierdził, że dalekobieżne też mi się przydadzą. Oburzyłam się śmiertelnie, ale posłusznie poszłam do optyka, który zrealizował receptę.

Odebrałam wykonane okulary i z rozgoryczeniem spytałam, na co mi takie świństwo. Znajdowałam się przy ulicy Puławskiej, spojrzałam na drugą stronę.

- No i po co mi to? - spytałam, oburzona i pełna pretensji. - Proszę bardzo, wszystko po tej drugiej stronie mogę panu przeczytać, ten drobny druk też!

- A co pani szkodzi spojrzeć przez okulary? - zachęcił mnie łagodnie optyk.

Rzeczywiście, co mi szkodziło? Spojrzałam.

O, do licha! Widziałam wszystko to co przedtem, ale kompletnie bez żadnego wysiłku, można powiedzieć, widziało mi się samo. Uświadomiłam sobie, że bez okularów musiałam patrzeć i odrobinę się postarać, a teraz wpada mi w oko bez starań. Zamknęłam gębę, pomyślałam o drogowskazach, drobnym drukiem pisanych w odległości dwustu metrów, i położyłam uszy po sobie.

Mogę mieć te okulary, mogę ich nie mieć. Z nimi łatwiej. Jadąc w daleką trasę, wołałam mieć.

Sięgnęłam zatem po nie i okazało się, że ich nie ma. Powinny leżeć obok rączki biegów, zawsze tam leżały, zniknęły. Zanim zdecydowałam się zawrócić, ruszyłam umysł, dedukcja bywa użyteczna, gdzie mogły się podziać? Zleciały zapewne.

Zamiast wyjechać wprost na trasę, skręciłam w małą uliczkę, zatrzymałam się, przeczekałam dwa samochody, które nie miały nic lepszego do roboty, tylko pętać się po małych, podrzędnych uliczkach, co ci ludzie mają za interesy w takich miejscach...? Wysiadłam, pomacałam pod fotelem i znalazłam okulary.

Już wiedziałam, że podróż napotka kłody na drodze.

Szosa na Kraków przeleciała bezboleśnie, skrzyżowanie z autostradą katowicką miało, niestety, zepsute światła. Poczekalam trochę, sprawa była beznadziejna, wwalilałam się na szosę, zastopowałam potężnego TIR-a, trochę mi przy tym dreszcze polatały po plecach, ma dobre hamulce czy nie...? Miał dobre, co widać wyraźnie, ponieważ, pisząc te słowa, ciągle jestem żywa.

Następnie ominęłam zjazd na Zgorzelec i upoiłam się wrocławskimi nawierzchniami.

Następnie zrobiło się coś takiego, że zwątpiłam całkowicie we własne zdrowe zmysły. Wyprzedziłam coś okropnie wielkiego, co miało na sobie potężny napis „Bartuś”. Wyprzedziłam to z pewnym wysiłkiem, zostało za mną i nagle tuż obok pojawił się równie wspaniały napis „Bartuś”. Co jest, do licha, w żadnym korku nie stałam.. Zebrałam się w sobie, z całą pewnością oderwałam się od przeciwnika i okazało się, że na kolejnym skrzyżowaniu stoi obok mnie cholerny „Bartuś”.

Wrocław to nie jest koniec świata, nie jechałam z Warszawy tak długo, żebym miała od tego doszczętnie zidiociec, niemożliwe, żebym ja miała wyprzedzać „Bartusia”, a „Bartuś” mnie, nie sposób przeoczyć czegoś, co waży na oko czterdzieści ton, co się dzieje?!

Skupiwszy się silniej, odgadłam, że tych „Bartusiów” jedzie z tuzin, a ja je ciągle doganiam i wyprzedzam, od czego tracę resztki władz umysłowych. Gdzie się nie znajdę, wszędzie „Bartuś”. Nie wiem, co to za firma, ale gdyby mi przysłali tyle róż, ile ich istnieje, może złagodziliby nieco moje uczucia.

Mimo dalszego ciągu, mimo robót drogowych, jednej ciężarówce i dwóch samochodów dokładnie na jednym paśmie trzęsącym, dotarłam do Bolesławca żywa i w całości. Bagaże mi wniesiono, istnieje tam taki czarujący osobnik płci męskiej, którego wręcz bym poślubiła, gdyby nie to, że wiekiem zbliżony jest bardziej do moich synów niż do mnie, i który z talentem udaje, że moje toboły nic nie ważą, i gdyby nie opór przed skazaniem go na tak straszliwą katorgę...

O poranku okazało się, że w tych wniesionych bagażach zamiast mleczka do herbaty mam termofor, w dodatku bez przedłużacza.

No i co ja na takie rzeczy mogę poradzić?



W La Baule wiatr wiał od morza. Hotel przyzwoity, miejsce parkingowe pod wejściem, obsługa rączym truchtem wyciąga bagaże i przenosi, młodzieńcy w rozkwicie sił, żadne tam delikatne panienki, więc wszystko w porządku...

Akurat.

Nikt sobie nawet wyobrazić nie potrafi, jak przeraźliwie zazdroszczę tym takim różnym na filmach z życia wyższych sfer. Obojętne kto, James Bond czy rozwydrzona córeczka panującego księcia, wysiada z samochodu i kicha na resztę, eleganckie walizy od jednej do dwudziestu pięciu zostają dostarczone do pokoju, niekiedy nawet rozpakowane i poukładane, kelner w mgnieniu oka wtacza stoliczek z napojami...

Nie ze mną te numery.

Po pierwsze, jadę prawie na drugi koniec Europy, wiem, że do Lizbony byłoby jeszcze dalej, całkiem na ten drugi koniec, ale jechałabym tak samo. Nie jednym ciągiem, tylko z przystankami, bo wszędzie mam interesy, wszędzie się zatrzymuję, coś załatwiam, z kimś się spotykam, a jazda w nocy odpada. Nienawidzę ciemności. Co z tego, że mam długie światła, (których w ogóle nie zapalam, żeby nie oślepiac tych z przeciwka, za to ci z przeciwka oślepiają mnie), skoro po bokach jest ciemno. Ograniczenie. Klaustrofobia. Wobec tego muszę gdzieś nocować.

Z czego wynika po drugie. Elegancko zapakowany bagaż zaczyna wchodzić do akcji. Oczywiście, że mam jedną walizkę z tym, co na drogę, reszta leży sobie spokojnie, ale ta jedna walizka zaczyna się rozrastać. Nie wszędzie lata kelner ze stoliczkami, a mnie herbata jest niezbędna do życia i nie wiem dlaczego miałabym ukrywać fakt, który zmusza mnie do włączenia ze sobą rozmaitych dodatkowych utensyliów. Co najmniej termos, jeśli nie mały, elektryczny czajnik, do czajnika zazwyczaj przedłużacz, oczywiście herbata do zaparzenia, bo nigdzie na świecie nie dają takiej, jaka jest mi potrzebna, cukru, na szczęście, nie używam, ale moja esencja na byka lubi małe mleczko... Proszę bardzo, niech ktoś spróbuje zapakować to do jednej normalnej walizki, razem z kosmetykami, nocną odzieżą, czymś na zmianę, lekarstwami... Część moich elementów użytkowych ma idiotyczną skłonność do rozlewania się, a głupio trochę wkładać mokry szlafrok, względnie ranne pantofle zalane herbatą. Do tego całego interesu dochodzą książki, zabrane na zapas, czytane po drodze, po przeczytaniu niepotrzebne, po diabła nosić do pokoju zbędne ciężary, do tego laptop, bywa, że i drukarka, jeśli mam gdzieś tkwić dłużej, do tego sukcesywnie dokonywane zakupy, których miejscem przeznaczenia jest Warszawa i na plaster mi one w takim, na przykład, Cabourg...

Po trzecie zatem wykluczone, żebym obsłudze hotelowej beztróska zostawiła cały bagażnik do opróżnienia. Nie ma siły, lecieć z nimi, łapać chłopca za rękę, palcem pokazywać, to brać, to zostawić, część zbierać z foteli, ze środka, i też nie wszystko, a w dodatku wszędzie się płacze potworna ilość map, mapek, atlasów, folderów i rozmaitych śmieci, bez których nie mam życia. Czyli o ulgowym zakończeniu podróży mowy być nie może.

Ustawicznie kupuję walizki, niezbyt wielkie, wszystkie na kółkach, z niezłomną nadzieją, że przynajmniej ten cały nabój będzie przyzwoicie zapakowany. Co prawda, w eleganckich hotelach okiem nie mrugną nawet na świeży szkielet ludzki, upchnięty w podartym worku po kartoflach, ale głupio trochę wskazywać foliowe torby, z których wystaje to termos, to przedłużacz z rozgałęziaczem, to inna jakaś kompromitacja. Dzicz wschodnia, nic innego! Upragnionego rezultatu nijak osiągnąć nie mogę i wciąż dziko zazdroszczę tym filmowym postaciom.

Przyjechałam do La Baule śmiertelnie zmęczona przez głupią pomyłkę w kwestii hotelu po drodze. Zbyt późno zaczęłam szukać Campanilli, niepotrzebnie uczepliłam się Troyes, zmarnowałam

godzinę, a nazajutrz zmarnowałam półtorej, usiłując wypłatać się z miasta, niepewna, czy w ogóle jadę we właściwym kierunku. Deszczyk popadywał, słońce stron świata nie wskazywało i uspokoiłam się dopiero na widok drogowskazu na Orlean. Po czym szlag mnie trafił na nowo, bo zaplanowany i pomyłony hotel wznosił się kawałek dalej przy szosie, widoczny jak byk, i nie istniało nic łatwiejszego, jak dojazd do wejścia bez żadnej straty czasu.

Mimo wszelkich przeszkód, nawskazywawszy się palcem, półzywa, o zachodzie słońca zakotwiczylam wreszcie w pokoju, dużym, z miejscem do pracy i stolikiem do jedzenia, z widokiem na morze, z wszelkimi szykanami, z magnetyczną kartą w charakterze klucza. Nazajutrz byłam umówiona z panem doktorem na straszną godzinę, zdaje się, że dziewiątą piętnaście, wyliczyłam sobie zatem, kiedy muszę iść spać, żeby wstać o odpowiedniej porze i w chwili ustalania zabiegów zdrowotnych dysponować jaką taką przytomnością umysłu. Jest przy tym rzeczą oczywistą, że po wejściu do pokoju w pierwszej kolejności otworzyłam drzwi balkonowe i ponapawałam się morskim powietrzem.

Morskie powietrze ożywiło mnie dostatecznie, żebym usiadła i na bazie wyliczeń czasowych wypełniła kartę śniadaniową, którą wieszka się na klamce po zewnętrznej stronie drzwi. Można nie wypełniać, jeśli się nie chce, ale wtedy trzeba o poranku dzwonić do recepcji i prosić o śniadanie, uściślając menu. Nie jest to dla mnie ulubiona czynność, szczególnie w obcym języku, wolę się zastanawiać i uściślać wieczorem.

Wypełniłam, rozpakowałam się częściowo, prawdopodobnie coś zjadłam, możliwe, że nawet w restauracji na dole, wróciłam na górę, ponownie otworzyłam drzwi balkonowe, które nie wiadomo dlaczego okazały się zamknięte, pojęcia nie mam, co jeszcze zrobiłam, ale uświadomiłam sobie, że tę wypełnioną kartę trzeba jeszcze wywiesić na zewnątrz. No dobrze, żadna sztuka.

Otworzyłam drzwi, zahaczyłam kartę o klamkę w postaci gałki, wionął potężny wicher i zmiotł kartę z gałki w głąb korytarza. Uczyniłam krok i schyliłam się po nią, wionął potężniejszy wicher, drzwi rąbnęły mnie w tyłek i zatrzęsnęły się za moimi plecami.

Karta magnetyczna, rzecz jasna, została w środku. Wszystko zostało w środku, tylko ja na zewnątrz. No i karta śniadaniowa.

Karty pozbyłam się od razu, starannie i bez pośpiechu lokując ją na gałce, po czym zjechałam do recepcji. Przepraszając grzecznie, z wielką skruchą wyjaśniłam, co się stało, przywołano pokojówkę, pojechała ze mną na górę, z miłym uśmiechem na twarzy otworzyła mi drzwi i natychmiast dziki wicher zmiotł z gałki kartę śniadaniową.

O nie, drugi raz tej samej głupoty już nie popełniłam. Zdechła, nie zdechła, wiedziałam przecież, co się stało, drzwi balkonowe podparłam fotelem, żeby się nie zamykały, wiatr, jak już zostało powiedziane, wiał prościutko od morza i dzięki temu spowodowałam imponujący przeciąg. Słonia mógł wypchnąć, a nie tylko głupią kartę i mnie. Kartę uprzejmie podniosła i zahaczyła pokojówka, ja zaś czym prędzej zamknęłam drzwi.

Co wcale nie przeszkadzało, że nazajutrz o poranku, przy otwieraniu drzwi kelnerowi ze śniadaniem, ze stolika zmiotło mi papierosy, książkę, zasobniczki ze śmietanką do porannej herbatki i całą zawartość popielniczki. Popielniczka ocalała. Zapewne miałam nadzieję, że wiatr zelżał.

Ze wstydem i obrzydzeniem do samej siebie przyznaję, iż wejście na króciutką pochylnię, wiodącą do części kuracyjnej, odpracowałam na dwie raty, uparcie zipiąc, dysząc i przepraszając towarzyszącą mi osobę. Do pana doktora spóźniłam się sześć minut, za co wyrazem twarzy okazał mi lekką naganę, po czym dostałam program zajęć.

No i co tu będziemy ukrywać, ciężko wystraszyła mnie jedna pozycja, mianowicie *parcours aqua-minceur*. Odchudzające, rozumiem, bardzo chętnie się odchudzę, ale parkur po naszymu to jest przebieg koni przed gonitwą na oczach publiczności. Znaczy co, mam zapruwać tam i z powrotem w dzikim galopie? Odchudzające będzie to z pewnością, ale pytanie, co nastąpi wcześniej, stracę zbędne kilogramy czy padnę trupem?

Postanowiłam, że w razie czego nie leczę. Odmawiam galopu i cześć, nie obchodzą mnie koszty, wolę stracić pieniądze niż życie.

Tymczasem wyszło na jaw, iż jest to moja ulubiona rozrywka w całej tej kuracji. Rozczłonkowany basenik z bulgoczącą wodą, w którym można robić co się chce, z tym że cały czas idzie się pod prąd. Zachwycające! Może także ze względu na pełną dowolność, w innych basenach coś mi jednak kazali, tu machać ręką, tu nogą... Lubię swobodę.

Koniecznie chciałam zrobić zdjęcie basenikowi w pełnym rozkwicie działania, ale okazało się to niemożliwe, a ściśle biorąc, wzbronione. Z wodospadzików, wodnych masaży i falujących chlupotów wystają ludzkie głowy i popiersia, których nie wolno fotografować, bo mogą sobie tego nie życzyć. Dałoby się może z kuracjuszami załatwić, żeby we właściwym momencie odwrócili się tyłem, po czepkach kąpielowych trudno rozpoznać kto jest kim, ale w takim wypadku zdjęcie musiałaby robić jakaś inna osoba, nie ja. Ja byłabym zajęta nakłanianiem ośmiu albo nawet jedenastu osób do wyrażenia zgody na tę sztukę i zmarnowałabym na to zapewne całe pół godziny, a następnego dnia zestaw pacjentów mógłby być już inny. Powiedzmy, że wygłosiłabym do nich przemówienie ogólne na samym początku, zgodziliby się, ale, jak znam życie, w chwili pstrykania zdjęcia wlaźby ktoś spóźniony, kto wywołałby potężną awanturę, żądając niebotycznego odszkodowania od całego kuracyjnego przedsiębiorstwa.

Dowcip zaś leży w tym, że basenik wszystkim się bardzo podoba i wlażą do niego, zanim ruszą bulgoty, wlażą zaś dopiero po wyłączeniu atrakcji. W rezultacie mogłam zrobić podobiznę spokojnej wodzie i nic więcej.

W każdym razie należy przyznać, że już w drugim tygodniu kuracji na pochylnię wchodziłam dziarskim krokiem bez żadnego zipania. Pomogło chyba, nie?

Wiatr natomiast wiał ciągle, nie żaden huragan, ale dostatecznie solidny, żeby wszystkim krążeniowcom było nieprzyjemnie. Także szkwałowaty, a przy każdym szkwale nadchodziła chmura i lał krótki, rzęśisty deszcz. Oba zjawiska atmosferyczne razem, w połączeniu z obowiązkami leczniczymi przeszkodziły mi obejrzeć z bliska coś, co mnie szalenie zaintrygowało.

Mianowicie przy każdym odpływie w cofające się morze wchodził sznur ludzi, bosych albo w gumiakach, ustawiali się gęsto i posuwali coraz dalej. Widać było, że coś zbierają, ciągle w tym samym miejscu, nie szli tyralierą, tylko właśnie sznurem. Najlepsze warunki do podglądania ich panowały akurat w chwilach, kiedy leciałam na zabiegi, i w końcu musiałam spytać tubylców o rodzaj łupu. Okazało się, że są to jadalne ślimaczki w niebieskich skorupkach, nie lubię ślimaków i nie mam w nich zbyt wielkiego rozeznania, takich w niebieskich skorupkach nigdy nie widziałam, zaciekawiałam się zatem jeszcze bardziej. Postanowiłam obejrzeć je dokładnie przy następnej okazji, ale następna okazja wypadła mi późną jesienią, dziki orkan o mało mnie nie zadusił na śmierć, morze było wzburzone i nikt w nie nie wlaził, wobec czego znów mi się wściekło. Nie szkodzi, wciąż mam to w planach.

Przy okazji... Jakieś niefortowne dla mnie w tej całej podróży były drzwi.

Wracając z La Baule, postanowiłam zatrzymać się w Paryżu dla zrobienia kilku zakupów i nie był

to najlepszy pomysł, jaki kiedykolwiek wpadł mi do głowy. Już z góry dawało się zauważyć, że idzie kulawo, bo, mimo zabiegów rezerwacyjnych, dokonywanych przez recepcję, żadnego miejsca w znanych i pożądanym hotelach nie można było znaleźć. Wszystko zapchane nie wiadomo dlaczego, ani to okres turystyczny, ani świąteczny, skąd zatem nagle taki tłok? Zależało mi na określonym miejscu, zbiegu ulic Mac Mahoń i des Ternes, które znam najlepiej, na nowe odkrycia krajoznawcze brakowało mi czasu, w tej okolicy sobie życzyłam i nigdzie więcej. W rezultacie jedyny dostępny okazał się hotel Doisy przy avenue des Ternes i przynajmniej łatwo mogłam do niego trafić.

Hotelik to był, nie hotel. W recepcji jedna panienka, a ja już byłam, niestety, zapakowana niezupełnie racjonalnie. Oprócz walizki miałam jedną małą torbę turystyczną i jedną dużą torbę foliową, tak mi jakoś wyszło, hotelik zaś został przerobiony z tych starych, wysiłek, z jakim wygospodarowano miejsce na sanitariaty i windę, wręcz walił po oczach. Żeby dostać się do windy, należało wejść po ośmiu wąskich, stromych stopniach, a dalej pojawiała się drobna komplikacja, mianowicie wysiadać z tej windy można było tylko na półpiętrach. Albo zatem pojedę na drugie i wejdę pół piętra do góry, albo pojedę na trzecie i zejdem pół piętra w dół. Wybrałam drugą możliwość, panienka pomogła mi przewlec klamoty po owych ośmiu stopniach, bo wyraźnie było widoczne, że brakuje mi trzeciej ręki i sama z siebie ona nie wyrośnie.

Dostałam się do pokoju, a sztuka to była wielka. Płaski kawałek podestu pomiędzy windą a schodami, ganc pomada, w górę czy w dół, wystarczał na postawienie nóg i niczego więcej, w dodatku drzwi windy były niecierpliwie i zamykały się błyskawicznie, tyłkiem należało przytrzymać je w pozycji otwartej, jeśli ręce miało się zajęte transportem. Sama się dziwię, że wydłubałam całe swoje mienie, niczego nie zostawiając urządzeniu najazdy do góry i na dół. Pojedynczo każda z trzech sztuk mojego bagażu, pomijając torebkę na ramieniu, była dostatecznie lekka, żeby podróżom nie przeszkadzała, tylko razem stanowiły ciężar, dla mnie cokolwiek za duży.

Pozbywszy się obciążenia, prawie natychmiast zjechałam na dół, ponieważ przed hotelem został mój samochód, a nie było to miejsce, gdzie mógłby stać długo. Prawie, podkreślam, w pierwszym momencie coś rozpakowałam, możliwe, że koniecznie musiałam z bagażu jakiś przedmiot wydłubać, lekarstwo może albo herbatę...? Ranne pantofle...? Mydło...? Bez przesady, mydło dają w każdym hotelu... Pod grozą śmierci nie przypomnę sobie, jakie zaćmienie umysłowe nagle na mnie spadło i jaki idiotyzm musiałam koniecznie znaleźć, ale trwało to ledwie chwilę, parking był ważniejszy.

Zastanawiałam się nad doskonale mi znanym garażem na Mac Mahoń, ale, szczerze mówiąc, nie bardzo mi się chciało parkować w połowie drogi do Łuku Triumfalnego i latać cały kawał to pod górę, to na dół, majaczyło mi w pamięci, że tu też powinny być jakieś podziemne parkingi, tylko gdzie? Przed wejściem nic mi w oko nie wpadło, żaden napis, żaden wjazd...

Spytałam panienkę w recepcji. Wielokrotnie chyba pisałam, że w sytuacjach dramatycznych moja wysoce wybrakowana znajomość języków obcych gwałtownie wzrasta, dogadałam się z nią bez trudu, oczywiście, jest podziemny parking, największy w Paryżu, wielopiętrowy, niedawno modernizowany, tu zaraz blisko jest wjazd...

A wejście i wyjście...? Owszem, również. A winda...?

A nie, windy nie ma.

Jak to? Zjeżdżam na jakiś niski poziom i *co*? Mam wyłazić schodami?

No jasne, że schodami, skoro windy nie ma. Panience bardzo przykro...

Nie jestem pewna, czy cokolwiek powiedziałam, ale wystarczył mój wyraz twarzy. Panienka zaofiarowała się zaparkować mój samochód, proszę bardzo, zjedzie i wyjdzie, jej schody

niestraszne. Jeden problem, jest sama, musiałabym ją zastąpić...

Prawie dwadzieścia minut urzędowałam w recepcji hotelu Doisy, udzielając rozmaitych informacji i w reweransach prosząc o zaczekanie, aż panienka wróciła z moimi kluczami i przeprosiła, że tak długo, ale miejsce znalazło się dopiero na czwartym poziomie. Cud zwykły i łaska boska, że powiedziała do mnie te słowa, bo starej kretynce nie przyszłoby do głowy zadać jej na ten temat pytanie. Podziękowałam, udałam się do pokoju.

Spokojna już o element podstawowy, zaczęłam się urządzać. Dobrze, wyznam prawdę, może to wyznanie intymne, ale tyle głupot o mnie pisano, że sama o sobie też mogę. Umówiona byłam z Piotrem, pół wieku znajomości swoje robi, naprawdę nie chciałam mu prezentować paskudnych widoków, chociażby dla uszanowania jego poczucia estetyki, musiałam znaleźć perukę. O własnych włosach i uczesaniu głądziłam milion razy i doprawdy nikt już nie powinien się dziwić, każdy ma swojego mola, który go gryzie...

Dobrze, cierpliwie przypomnę. Miałam jednego bardzo kochającego męża, dwóch konkubentów i ciotkę. Na klęczkach mogę przysięgać, że prezentowali sobą cztery nadzwyczaj różne: charaktery, gusta, stosunek do mnie i całą resztę osobowości. I wszyscy w czambuł, jak jeden mąż i jedna żona, zadawali mi to samo pytanie:

- Czy ty byś nie mogła się jakoś wreszcie uczesać?

Przy czym ciotka zadała mi to pytanie nazajutrz po mojej wizycie u bardzo dobrego fryzjera.

Starczy, nie? Zatem perukę. W peruce wyglądam jak w peruce albo jakbym była pięknie uczesana. Zależy, jak mi tam wyjdzie.

Nie w peruce sedno rzeczy, aczkolwiek muszę zauważyć, że moja aktualnie używana peruka odbywała podróż w pudełku po butach. Bardzo dobre opakowanie.

O Boże, jasne chyba, że nie jechałam przez pół Francji w peruce! Czy ja koniecznie muszę być cudownie piękna w stacjach benzynowych? Sprzedadzą mi paliwo, nawet gdybym wyglądała jak niedorozwinięta małpa!

Odczepmy się od peruki, chociaż stanowiła niejako punkt orientacyjny i w chwilę później była niezbędna. Przypominam uprzejmie, że mówię o drzwiach.

Otóż nie wiem, jak to się mogło stać, ale należy wziąć pod uwagę, że prosto z *grandę chambre* w La Baule w kilka godzin przeniosłam się do pokoiku w Doisy, godnego najpiękniejszych normatywów świętej pamięci pana Gomułki i jakoś zabrakło mi przestrzeni. Rozpakować się, nic wielkiego, ledwo trochę, jedna noc, no i dzisiejsze popołudnie, cóż to jest, drobnostka. Jednakże kurteczka, spódnica, zakieciak może gdzieś to powiesić, bo się gniecie i przeszkadza, zatem gdzie garderoba...?

Za drzwiami, w przedpokoiku...?

Muszę przyznać, że takiego ziodiocenia własnego w przeszłości sobie nie przypominam, coś mi musiało zaskoczyć w uciekających na starość szarych komórkach. Otworzyłam drzwi, wyrztałam, widok mi nie pasował, uczyniłam krok, drzwi rąbnęły mnie w tyłek i zatrzasnęły się ze średnim hukiem.

Ja się wcale nie powtarzam, to święta prawda. Karta magnetyczna została w środku, wszystko zostało w środku i tylko ja na zewnątrz. Nawet bez karty śniadaniowej i bez pomocy przeciągu.

Uczciwie wyznam, że własne, bardzo krótkie, doznanie pamiętam. Sekunda albo mniej...? Nie zrozumiałam, co się stało, zaraz potem reszta ocalałych komórek zaczęła działać, obdarzyłam się kilkoma komplementami, zjechałam na dół, przeczekałam dwóch klientów i przeprosiłam panienkę w

recepcji. Panienka oczywiście wjechała na górę ze mną, otworzyła mi pokój i dopiero w tym momencie zaczęłam myśleć, zmuszona okolicznościami.

Z całą pewnością posiadałam kosmetyczkę z lekarstwami. Z całą pewnością posiadałam pudełko do butów z peruką. W walizce było nawet wyraźnie widoczne miejsce, zajmowane wcześniej przez wyżej wymienione przedmioty. I gdzie, na litość boską, one się podziały?!!!

Nie było siły, musiałam zastosować metodę dedukcji. Pamiętać, nie pamiętałam nic, ale należało zastanowić się logicznie, całkiem jak przy kryminałach. No i proszę, wyzuta ze wspomnień sprzed paru minut, wydedukowałam wszystko co należy, odsunęłam lustrzaną tafłę obok drzwi wyjściowych i znalazłam zaginione przedmioty, a przy okazji także garderobianą szafę. Jakim cudem, w obliczu lustra, mogłam popełnić tak nieziemskie kretyństwo, żeby wyjść na zewnątrz, pojąć nie mogę i z pewnością nie pojmę do końca życia.

Zakupy rozsądnie załatwiłam taksówką, posiłek zjadłam u stałego patrona, nazajutrz odjeżdżałam. Bagaż powiększył rni się o cebulki tulipanów, herbatę, kosmetyki i jeszcze jedną walizkę na kółkach, dzięki której pozbyłam się toreb foliowych. Zabrałam ją ze sobą, zjeżdżając na dół, żeby poprosić o przyrowadzenie samochodu.

W recepcji siedział facet w średnim wieku. Panienki nie było, spytałam zatem, gdzie jest ta młoda dama, która pracowała wczoraj wieczorem.

A, damy nie ma. I dzisiaj nie będzie. Dzisiaj on ma dyżur.

Świetnie. Może wobec tego on wie, gdzie znajduje się mój samochód?

Gdzie jest mój samochód, to chyba raczej ja sama powinnam wiedzieć?

Powinnam, ale nie wiem. Dama go parkowała pod ziemią.

A, to z pewnością tam stoi, na podziemnym parkingu. Mogę go sobie zabrać.

Mogę, zapewne, ale gdzie jest zejście na ten podziemny parking?

Na ulicy przed hotelem. Przed samym wejściem na wprost.

Kilkakrotnie upewniałam się, czy on wie co mówi, bo ja żadnego zejścia na parking nie widziałam. Zjazd owszem, zejścia nie, na wprost przed hotelem stoi ławeczka i przystanek autobusowy, nic poza tym. Uparł się przy swoim, zejście jest, niech się dobrze rozejrzę.

Zostawiłam mu tę nową walizkę i wybiegłam jak stałam, w letniej bluzeczce, a zwracam uprzejmie uwagę, że był listopad, z kluczami do samochodu, kartą magnetyczną i portmonetką w rękę. Mignęła mi myśl, że w tej portmonetce mam chyba mało pieniędzy, bo za różne drobne rzeczy płaciłam gotówką, ale na parking może jeszcze starczy. Rozejrzałam się porządnie i prawie zdecydowałam się już zatrzymać pierwszy zjeżdżający samochód, żeby mnie podrzucił na ten cholerny parking, kiedy wreszcie wpadły mi w oko wąskie, małe schodki w dół.

Zeszłam po schodkach, niepewna, czy nie wizytuję toalety miejskiej, ale nie. Pchnęłam jedyne drzwi i znalazłam się w jakiejś potwornej przestrzeni, prawie płaskiej, bez żadnych schodków dalej i bez żadnych znaków informacyjnych. Zbaraniałam z tego do reszty i rzeczywiście zatrzymałam pierwszy wjeżdżający samochód.

Bardzo sympatyczna facetka na pytanie o schodki zaproponowała, że mnie do nich podwiezie, bo są dość daleko. Rzeczywiście, z pół kilometra dalej pojawiły się następne drzwi i za nimi znalazła się klatka schodowa. Przypomnienie, że stoję na czwartym poziomie uznałam za zwyczajny cud boski i dopiero teraz doceniłam wagę wczorajszego komunikatu panienki, schodząc po niezbyt wygodnych schodach, starannie liczyłam piętra, nie musiałam, na drzwiach wypisana była czwórka. Weszłam tam.

Na oko biorąc, parking rozciągał się pod całym Paryżem. Później dowiedziałam się, że istotnie, jest to największy podziemny paryski parking, rozbudowany, odremontowany, zmodernizowany, i nikt nie potrafi zrozumieć, dlaczego nie zrobiono tam windy. Alpinistom miał służyć czy co?

Ciągnęło się to wszystko na kilometry w dwóch kierunkach, ja zaś znalazłam się w środku. W którą stronę powinnam się udać? Samochody stały dość gęsto, gdzie, u diabła, parkował mój?

Na los szczęścia ruszyłam w lewo, chała, dotarłam do końca bez rezultatu, zawróciłam, zimno było jak piorun, odwaliłam trasę dla sportowców i moje volvo okazało się ostatnie po stronie prawej. Jednakże znalazłam je i to już była ulga. Wsiadłam, ruszyłam ku wyjazdowi.

Na trzecim poziomie był szlaban, kasa i szczupły Murzyn. Skąd ja wzięłam bilet parkingowy...? A, chyba znajdował się w samochodzie, wygrzebałam go, podałam Murzynowi, odpracował jakieś manipulacje w kiosku z kasą i oznajmił, że płacę dwadzieścia dwa euro. Sięgnęłam po pieniądze.

Moje złe przeczucie, które zlekceważyłam w recepcji, okazało się nad wyraz trafne. Razem z całym bilonem miałam w portmonetce tylko dwanaście. Brakowało równo dziesięciu.

Rzecz jasna, ogólnie miałam pieniądze. Miałam także karty kredytowe. Wszystko znajdowało się w portfelu, w torebce, w pokoju hotelowym. Na myśl, że mam teraz lecieć na górę po tych cholernych schodach, odwalić całą drogę tam i z powrotem piechotą, zrobiło mi się ciemno w oczach. Rozpaczliwie zaproponowałam Murzynowi, żeby pojechał ze mną, zapłacę na powierzchni ziemi, potem go tu odwiozę, zapłacę podwójnie! Nie chciał, nie wiem dlaczego. No przecież nie zostanę tu do końca życia, zagradzam przejazd, co mam mu oddać, zegarek?!

Zegarka też nie chciał. Zdaje się, że głównie chciał się mnie pozbyć. Ponownie dokonał manipulacji w kasie, dał mi kwitek, machnął ręką i podniósł szlaban. Szlachetna istota. Pojechałam.

Po drugim poziomie znów był szlaban i znów Murzyn, nieco grubszy niż ten z dołu. Teraz w portmonetce nie miałam już nic, zaczęłam od desperackiego komunikatu, że nie mam pieniędzy, ale powiedział, że kwitek wystarczy. Podniósł drąg, ruszyłam dość ostro, byłam coraz bliżej wierzchu, za wszelką cenę chciałam wydostać się wreszcie z tych upiornych podziemi, skręciłam...

Murzyn zagroził mi drogę, gwałtownie machając rękami, widać było, że z wysiłkiem powstrzymuje się od walenia pięścią w czoło, cholera, z pośpiechu skręciłam za wcześniej, zaczęłam zjeżdżać z powrotem. O nie, za nic, jeszcze bardziej tego nie chciałam niż on, gorączkowo nakłaniał mnie do cofania, wrzuciłam wsteczny, Murzyn omal się nie rozdwoił, bo usiłował równocześnie machać na wjeżdżających, którzy nieco z tego głupieli. Na jednokierunkowym wjeździe na parking nadzieć się na cofający samochód, to, jak wiadomo, radość wysokiej klasy. Udało mi się jakoś nikogo nie zaczepić, uwolniłam tych wjeżdżających od siebie, oczywiście, wyraźny napis „SORTIE” widniał jak byk na ścianie kawałek dalej. Nawet na to nie spojrzałam.

Do dziś nie jestem pewna, czy nie zostałam winna dziesięciu euro Murzynowi z dołu. Należało wjechać tam ponownie, już z torebką i portfelem, i zwrócić mu dług, ale nie wjechałabym nawet, gdyby to mnie dopłacano dziesięć tysięcy. No, może za sto tysięcy bym się zastanowiła...

Z racji jednych kierunków ruchu objechałam pół Paryża, zaparkowałam przed hotelem w miejscu absolutnie zakazanym, przed bramą wjazdową, włączyłam miganie i trzęsąc się z zimna, bo samochód dopiero zaczynał grzać, poleciałam załatwiać resztę. Zabrać bagaż, zapłacić za hotel...

Z walizką, torbą turystyczną i torebką na ramieniu zeszłam pół piętra w dół, do windy. I tu pojawił się problem.

Jeśli bodaj jedną sztukę bagażu postawię na podeście, zewnętrzne drzwi windy nie zdołają się otworzyć, za mało miejsca. Jeśli ulokuję toboły na dwóch schodkach, bo na jednym się nie mieszczą,

a zwracam uwagę, że były to schody zabiegowe, nie zdążę tego połapać i wepchnąć do środka przed zamknięciem drzwi wewnętrznych, działających błyskawicznie ze straszliwą potęgą. Jeśli będę trzymać je tyłkiem, ręką po bagaże nie sięgnę, poza tym przeszkodzi mi torebka, ustawicznie zjeżdżająca z ramienia. Błędne koło!

W skupieniu przymierzyłam się do startu, racjonalnie wykorzystując każdy centymetr powierzchni i obmyślając kolejność działań, udało mi się wreszcie po dwóch nieudolnych próbach, mienie zaczęło zjeżdżać ze mną.

Piętro niżej wsiadła Murzynka, zdecydowanie grubsza od tamtych z parkingu, zmieściła się jednak i bardzo pomogła mi na parterze. Drzwi windy zamknęły się w połowie mojej torby, omal jej nie przecinając na pół, i Murzynka rozepchnęła je siłą, wrywając bagaż z elektronicznej paszczęki. Sama bym nie zdążyła, a szczęście jeszcze, że nie miałam tam nic tłukącego.

Łatwo chyba zgadnąć, dlaczego płacenie za hotel wydaje mi się znacznie łatwiejsze od wszelkich czynności pomocniczych...

Zważywszy, iż na dole czekała jeszcze moja nowa walizka, recepcjonista z litości doniósł mi ciężary prawie do samochodu, przez całą tę bramę, którą zastawiałam. Drzwi wyjściowe z hotelu, również prezentujące tendencję do pośpiechu, przytrzymałam mu własnoręcznie.

„M’ „W” h(

Nie miałam gdzie wetknąć rekordów językowych Moniki, która zaczęła bywać w kraju urodzenia dopiero w wieku lat prawie szesnastu, więc załatwię to oddzielnie i hurtem. Mówiła po polsku, oczywiście, ale wychowała się w języku angielskim.

Wymyślił to Robert. Żeby dziecko się szybciej zaaklimatyzowało, żeby poczuło się u siebie, żeby nie miało kompleksów i tak dalej, sam z nią rozmawiał po angielsku i szczęście jeszcze, że Zosia rozmawiała wyłącznie po polsku. Nieszczęście natomiast polegało na tym, że, smężna to prawda, ale nie ma co jej ukrywać, przeważająca część Polonii kanadyjskiej i amerykańskiej operuje językiem ojczystym na zasadzie „rękamy, nogamy” i prezentuje w pełni przystający do tego poziom wykształcenia. Biedne dziecko wyrosło w przekonaniu, że rodzice opuścili kraj złożony wyłącznie z ćwoków i tumanów.

Przerażający pogląd jał ulegać zmianie dopiero od wizyt w Europie, bo wcześniej babcia i prababcia nie wywarły jeszcze dostatecznego wpływu, dwie rodzynki w wielkim cieście, cóż to jest, wielkie mecyje! Potem już poleciało ze świstem, najpierw we Francji, później w Polsce ćwoków i tumanów zabrakło, wśród moich znajomych i najbliższej rodziny panuje na nich wielki nieurodzaj, za co ćwoki i tumany najuprzejmiej przepraszam, Monika zatem stwierdziła własną pomyłkę, zresztą bez żalu.

Na marginesie pozwalam sobie na uwagę, że z przyczyn zapewne historycznych romańska grupa językowa leży nam lepiej niż germańska, mimo precudownych naleciałości z języka niemieckiego. Buchwel, hebel, szlafrok, wichajster, mesel, szlafmyca... Między nami mówiąc, nie wiem, co to jest wichajster, aczkolwiek sama używałam określenia milion razy... Akcent jednakże wychodzi inaczej.

Jedna moja wnuczka, Karolina, jest dwujęzyczna, francusko-polska. Nikt nie zgadnie, jeśli mówi po polsku, że robiła francuską maturę, żaden Francuz nie zgadnie, jeśli mówi po francusku, że urodziła się w Polsce. Z jednego języka w drugi i z jednego akcentu w drugi przechodzi automatycznie. Druga moja wnuczka, niestety, jeśli mówi po polsku, widać, że rosła w angielskim, i nie ona jedna, jej kuzynka, starsza o pokolenie, dopiero po trzech miesiącach w kraju odzyskała, można powiedzieć, język razem z akcentem.



Jedyna znana mi osoba, która włada mniej więcej jednakowo polskim, niemieckim i duńskim, to Alicja. Pojęcia nie mam, jak brzmi jej akcent w uszach Duńczyka, ale zrozumiałość następuje pełna, co do niemieckiego natomiast, wszyscy wiedzą, że rozmówczyni pochodzi z Austrii.

Monika jednakże posiada w sobie ducha języka, niczym geny po przodkach, i jeśli nawet tworzy osobliwe słowa, to z owym duchem zgodne. Dzięki czemu ma zaszczytne drugie miejsce w rekordach językowych, konkurując z Jolą Odachowską, która swoją polerowaną rzeźbą wybiła się na pierwsze.

Odebrane mi przez Alicję strzelaniem z Aurory...

Precz z żalością. Leksykon Moniki w ciągu kilku lat wyglądał następująco:

Na głupie zarzuty rodziców nie zamierzała oregować. Reagować znaczy.

Wyjdziawszy. To po babci. Ktoś wyszedł, wyszedłszy... wszystko jedno co zrobił, powiesił się albo utopił, albo pękł. Kiedyś sama dręczyłam się słowem „wyjdznięty”, czyli ten co wyszedł, i nijak nie mogłam sobie z tym dać rady, zatem „wyjdziawszy” brzmi jeszcze całkiem nieźle. Przynajmniej imiesłów w formie dokonanej.

Nie rozśmiewaj mnie.

Nie odzywaj się ode mnie.

Bardzo naturalne i w pełni zrozumiałe sformułowania.

Maszturada to była musztarda. Czubaste, sprawa oczywista, czubate. Fochy strawić, możliwe, że należałoby czegoś takiego używać, jeśli ktoś przetrzyma czyjeś fochy... Strawił te strojone fochy...? To jest myśl!

Salonik, to był salcesonik. Pejzany, to pejzaże. Całuc, oznaczało całować.

Zapewne rodzice nakłaniali ją do zjedzenia czegoś, kiedy krzyknęła w zdenerwowaniu:

- Będę gruba jak byk! Nie, jak baran...! Nie... Ten w lesie... Dźwig...! Nie, dzik...!

Do rekordu jednakże zbliżyła się w Paryżu i sformułowanie świadczy o tym duchu języka.

Siedzieliśmy w jakimś bistro, co w owym mieście przytrafia się często. Lata człowiek, aż mu nogi nie wiadomo gdzie wyrastają, usiąść pragnie, napić się czegoś, czasami nawet zjeść, nic wielkiego, cokolwiek. Coś ma przy sobie, bo ciężko nie zrobić żadnych zakupów, niech to będą gargulce z Notre Dame, apaszka z mostami, popielniczka z Łukiem Triumfalnym, camembert na przekąskę wieczorem, trzy peruki z Samaritaine, cokolwiek, ale ma, własną torebkę z pewnością...

Wszystkie trzy, Zosia, Monika i ja, sprawdziłyśmy kiedyś w hotelu, co, na litość boską, mamy w torebkach, że są one takie upiornie ciężkie.

Z młodych lat, sprzed wojny i z lektur, wiedziałam, że kobieta posiada w torebce puderniczkę z lusterkiem, szminkę, grzebyczek i może chusteczkę do nosa...? Nic więcej. Papierosami służył mężczyzna, on również płacił, dokumenty jej nie interesowały i nawet nie znała znaczenia tego słowa... Klucze, jakie klucze, sługa budowlę otwierał...

(I co myśmy sobie najlepszego narobiły...?! Zgroza ogarnia!)

Wyrzuciłyśmy z torebek wszystko i racjonalnie zaczęłyśmy wkładać wyłącznie potrzebne rzeczy. Po kolei. Paszport, dokumenty samochodowe, karta rejestracyjna, prawo jazdy, kluczyki, ubezpieczenia, cały plik, wszystko, niestety, potrzebne. Portfel, portmonetka z bilonem, który swoje waży, karty kredytowe, klucze od mieszkania, puderniczka z lusterkiem, długopisy, komórka, chusteczki do nosa, niby lekkie, ale jednak... Pilniczek do paznokci, papierosy, zapalniczki, podręczna popielniczka... to u mnie, one miały więcej kosmetyków. Kalendarzyk, notesik... Same niezbędne przedmioty!

I torebki znów zrobiły się wściekle ciężkie.

Siadając przy kawiarnianym stoliku, człowiek chce się pozbyć tego balastu. Nie każde oparcie krzesła nadaje się do wieszania na nim czegokolwiek, poza tym trudno sięgać do tyłu, za plecy, najlepiej i najwygodniej położyć to na krześle obok. Czasami jednak brakuje wolnych krzeseł.

Rozejrzeliśmy się.

- Tamto próchno w pretensjach zajmuje trzy krzesła - zauważył Robert. - Może jedno jej zabrać?

- Nie da. Ma za dużo zakupów.

Dostrzeżona dama była chyba nieco młodsza ode mnie, ale za to wypindrzona na wielki dzwon. Widać było, że z całej siły stara się zepchnąć z siebie wiek i nie najlepiej jej to wychodzi.

Zaraz następnego dnia sytuacja się powtórzyła. Znow rozejrzeliśmy się w poszukiwaniu wolnego krzesła.

- Jest! - ucieszyła się Monika. - Tam! Tam, gdzie siedzi to... no, to... kruche ciasto niezadowolone.

Przez moment nie wiedzieliśmy, co ma na myśli, ale był to moment bardzo krótki. Oczywiście, podstawowe skojarzenie, kruche ciasto niezadowolone oznacza próchno w pretensjach! Dzisiejsza dama prezentowała nader podobne cechy jak ta wczorajsza, wszystko się zatem zgadzało.

Nie wiadomo, dlaczego najtrudniej było mojej wnuczce zapamiętać łapy kolejowe. O łapach kolejowych pisałam przy okazji poetycznego opiewania wychodków w Związku Radzieckim, łapy jak łapy, każdy wie co to jest, a kolejowe one dlatego, że dawno temu występowały w prawie wszystkich kolejowych toaletach. Także na dworcach. Obecnie przytrafiają się gdzieś bez związku z komunikacją i z przyczyn niepojętych uważane są za coś higienicznego. Jeśli ktoś z tego kiedyś korzystał, wie, co o tej higienie myśleć.

We Francji trafia się na nie w *co* podrzędniejszych knajpach i stąd wiedza Moniki o urzędzeniu. Jako osoba najmłodsza, z reguły leciała na zwiady i donosiła informacje, są schody czy nie ma, jeśli są, to ile, i tak dalej. Ostatnio opisywała swoje przeżycia z którejś podróży.

- Ale babciu - rzekła z przejęciem - tam były takie te... No, te... końskie kubły... tureckie konie...

Zgadłam.;

- Kolejowe łapy? w;.

- O to, to. Właśnie! *v·w-* Różnych określeń używała, **ale** na kolejowe łapy **sama** z siebie nie trafiła ani razu. **Chociaż** do języka **coraz bardziej** się przyzwyczajają i gdyby posiedziała w tym kraju ze trzy miesiące bez przerwy, mówiłaby po polsku tak samo, jak cała reszta społeczeństwa.

## & a #

No dobrze, dosyć tych rozrywkowych ekscesów, bierzemy się za sprawy poważne.

Zapanowała moda na media, radio, prasa, telewizja, głównie te dwa ostatnie, od mody zaś wszyscy skołowaciele i coś im się gdzieś poprzestawiało. W pierwszej kolejności chcą oglądać, w drugiej chcą wiedzieć. Tymczasem oglądać należy to, co służy do oglądania, obrazy na przykład, pejzaże, kwiatki, kiecki, tańce na lodzie, aktorów, aktorki, wybuchy wulkanów i pożary, cyrkowe pokazy akrobatyczne i powodzie, owszem, to dość malownicze, atrakcyjne i nic innego z tym nie możemy zrobić (szczególnie z wybuchem wulkanu), jak tylko obejrzeć. No, w kiecki jeszcze możemy się ubrać, ale kwiatków nie zjemy, pożaru lepiej nie wachać, a co do tańców na lodzie, szybko nam je wyperswaduje nasza własna kość ogonowa.

W kwestii kiecki (spodni, koszuli, wdzianka) interesuje nas rezultat ostateczny i nie wnikamy w takie detale, jak kształt nożyczek krojczyni albo kolor łąpka od szpilki, którą spinano zaszewki. Same zaszewki też mamy w nosie i nie zamierzamy wpatrywać się roziskrzonym wzrokiem w warcząca maszynę do szycia. I nie musimy koniecznie przyglądać się, jak krawcowa wyciera sobie nos, choćby nawet wycierała koronkową chusteczką albo ścierką do podłogi.

Malarz, jak sama nazwa wskazuje, maluje obraz i ten obraz jest ważny, a nie wizerunek twórcy, którego wygląd zewnętrzny niekoniecznie musi być atrakcyjny, wręcz przeciwnie, ma prawo budzić niekiedy szczerą odrazę. Toulouse-Lautrec, jak wiadomo, urodą nie grzeszył i nie siebie eksponował, tylko swoje dzieła. Autoportret malował sobie Rembrandt, a i to z Saskią na kolanach, i jestem skłonna zakładać się, o co kto chce, że nie o niego tu chodziło, tylko o Saskie. Oni w ogóle malowali autoportrety zazwyczaj wtedy, kiedy nie stać ich było na modelkę. Ewentualnie w jakimś wybuchu szału, w ataku masochizmu, dla pamięci, że kiedyś mieli akurat taki wyraz twarzy, a nie dlatego, że wydawali się sobie cudownie piękni.

Mogły się przytrafiać wyjątki. Wyjątki, jak wiadomo, potwierdzają regułę.

Pisarz zaś, zasługujący nawet czasami na miano literata, pisze. Interesujący zaczyna być wtedy, kiedy ludzie go czytają, pardon, sorry, nie tak, kiedy ludzie czytają to, co napisał. Podobny jest w tym do malarza, ludzie chcą oglądać to, co namalował.

No i oto, w wyniku presji mody, rozpowszechniło się przerażające zjawisko, ludzie, użytkując dzieła zgodnie z ich przeznaczeniem, dziko i namiętnie zapragnęli oglądać twórcę.

A tymczasem widok obrzydliwego twórcy może zniechęcić do dzieła.

Ciekawe, że nikomu to jakoś nie przychodzi do głowy. Istnieją w końcu dwa rodzaje ludzi, jedni muszą się pokazywać światu, a drudzy nie. Istnieją zawody, które obligują do dbałości o wygląd zewnętrzny, i zawody, dla których ten wygląd jest obojętny.

W czołówce lecą ci, którzy pracują twarzą i ciałem. Aktor, prezenterka telewizyjna, modelka, estradowiec, śpiewaczka... Dalej ci, którzy powinni robić sympatyczne wrażenie, ekspedientka, pielęgniarz, hostessa, kelnerka, nawet urzędnicy, wszyscy stykający się z ludźmi, ze zwykłego szacunku i uprzejmości w stosunku do klienta muszą wyglądać jeśli nie pięknie, to co najmniej przyjemnie.

Bez znaczenia natomiast jest przy pracy aparycja drwala w lesie, pisarza, malarza, prasowaczki

czy kucharki. Intrologator też sobie może darować, jeśli odwała robotę u siebie w domu. Na jakość ich pracy w najmniejszym stopniu nie wpływa stan uwłosienia, koafiura, makijaż, a nawet uzębienie, może taki nie mieć ani jednego zęba i malować precudowne arcydzieła. Taka również. Może pisać rzewne poezje w piżamie i w nocnej koszuli, może rąbać drzewo ze skołtunioną brodą po pas, najwyżej sobie kawałek tej brody odrąbie, ale to już jego prywatna sprawa, może rzeźbić, przyodziany w stare gacie! Rezultat roboty się liczy, a nie uroda wykonawcy.

To nie, głupi upór nowej mody sprawia, że musi człowiek oderwać się od ulubionego zajęcia, wprawić zęby, zamienić nocną koszulę na przyzwoitą odzież, jeśli zaś jest kobietą jeszcze gorzej, wysztafirować się, upiększyć, odpicować i wetknąć gębę w kamerę, względnie całą osobą ukazać się na estradzie. Wystąpić publicznie, bo wszyscy chcą go obejrzyć i posłuchać, co powie.

A jeśli ten jakiś nieszczęsny malarz ma jedną nogę krótszą i przez całe życie swój mankament ukrywał? I nadal chciałby ukrywać? A jeśli ta równie nieszczęsna pisarka ma swoje lata, zeza i cztery podbródki, czego wcale nie życzy sobie ujawniać publicznie? A może ona pisze w pierwszej osobie, czytelnicy spodziewają się ujrzeć piękną, młodą kobietę i oto widzą nagle okropne, stare próchno? Cóż za rozczarowanie potworne!

Istnieje w naszym kraju pieśniarka o imponująco pięknym głosie i telewizja wpadła kiedyś na pomysł zaprezentowania jej w słowie mówionym. Jej własnym. Rezultat wypadł ogłuszająco i całe społeczeństwo wydało z siebie zgodny jęk:

- Na litość boską, niech ona tylko śpiewa, nie każcie jej nic mówić!

Magdalena Samozwaniec w moich uszach, na spotkaniu autorskim w Związku Literatów, przyznała się, że w ogóle nie umie mówić, potrafi wyłącznie pisać. Na tym zakończyła wypowiedź i potem już tylko czytała wcześniej napisane teksty.

Nie każdy nadaje się do wszystkiego!

Na własnej skórze odczuwam kanonadę mody. Dziennikarze lecą za nią owczym pędem, rzucają się na temat, całkiem jak niegdyś ogrodnicy dookoła Warszawy, zwani badylarzami, rzucali się na pomidory, bo ktoś pierwszy na nich zarobił, pomidory przytłaczały miasto i nikt już ich nie chciał, ten pierwszy, rozumny, przechodził na ogórki, rzucali się zatem na ogórki z podobnym skutkiem, następnie w grę wchodziła eksplozja kalafiorów... Dziennikarze to samo, ktoś jeden chwycił autora, reszta za nim, zapchać społeczeństwo autorem do ostatecznego wypęku, żeby wszystkim obrzydł!

Spadło to szczęście na mnie i obrzydłam sama sobie.

Ponadto zaistniał paradoks. Wraz z wybuchem ochrony danych osobowych pojawiła się namiętność do rozpowszechniania informacji jak najbardziej prywatnych, osobistych, wręcz intymnych. Ktoś pierwszy zaczął, obrobiony delikwent nie wytoczył mu sprawy sądowej, nic mu się nie stało, nie poszedł siedzieć, nie kazano mu zapłacić żadnej kary, wszyscy inni zatem, ośmieleni, ostrym cwałem ruszyli przetartą drogą. A czytelnik, słuchacz, widz, ogólnie mówiąc, odbiorca, z wypiekami i biciem serca jał chłonać sensacyjne wieści.

Pierwsze miejsce, jak łatwo zgadnąć, zajęła epokowej wagi kwestia, kto z kim sypia. Dalej w olśniewającym tempie wymieszały się pozostałe, prześcigając się wzajemnie, a niekiedy idąc łeb w łeb. Ilość posiadanych pieniędzy i sposób ich wydawania, orientacja seksualna, nałogi, daty urodzenia, błędy życiowe i różne popełniane głupoty, stan zdrowia i ukrywane choroby, upodobania, im dziwniejsze tym lepiej, zwyrodnienia przodków, mamusia-psychopatka, tatuś-alkoholik, a jakby tak jeszcze dziadek-wielokrotny morderca, babcia-dzieciobójczyni... No, z babcią pewien kłopot, któreś dziecko musiało ocaleć, bo bez dzieci nie ma wnuków.

Tryb życia, temat wprost cudowny. Co gwiazda (obojętne, autor dzieła o fizyce jądrowej czy tancerka na rurze) jada na śniadanie, jak i gdzie pracuje (no, tancerka na rurze wiadomo, na rurze, ale autor dzieła kto wie, może na dachu, przywiązany do komina...?), kiedy chodzi na spacer, kiedy się myje, o której układa się do snu, co nosi w charakterze odzieży spodniej, jak często się upija, o, nie wiem co tam jeszcze, nie ja wymyślam te kretyńskie pytania. I nie wierzę, że bez detali ściśle osobistych odbiorca nie zechce obejrzeć obrazu, przeczytać książki, pójść na film, posłuchać śpiewu... Nie ptaszków, tylko ludzkiej jednostki, wydającej dźwięki poprzez jamę ustną.

O, właśnie! Ciekawa rzecz, że nikt się nie upiera przy dogłębnym poznawaniu obyczajów i postępowań słowików czy skowronków...

Co do tego odbiorcy, wydaje mi się, że jest nawet wręcz przeciwnie, ale każdy sądzi według siebie, więc mogę się egocentrycznie mylić. Z upodobaniem czytam książki, na przykład... nie, zaraz, nie wymienię autorki, bo diabli wiedzą czy nie zostanę oskarżona o szkalowanie osoby, zatem powiedzmy ogólnie: pewnej autorki. Może być także: pewnego autora. No i dowiaduję się nagle, iż obdarzana przeze mnie sympatią i wielkim uznaniem twórczyni jest wstrętną babą, zwyrodniałą cyniczną, fałszywą i wredną, maniacko topiącą małe kocięta. Względnie mój ulubiony autor (może być także aktor i aktorka) to skończony cham, brutalny, bezwzględny, alkoholik, narkoman i do tego jeszcze pedał.

Na marginesie: nie jestem tolerancyjna w stosunku do homoseksualistów, ponieważ stoimy po przeciwnych stronach barykady. Jak dla mnie, bądź co bądź kobiety, choćby nawet i byłej, są to mężczyźni dobrowolnie spisani na straty. Oburzające! Nie lubię marnotrawstwa, szczególnie, jeśli marnuje się coś dobrego.

(Niewydarzone wypłoszę mogą sobie być, czym zechcą. Dotyczy to obu płci.)

Wracając do tematu zasadniczego, książki będę nadal czytać i filmy oglądać, ale zacznę mi w nich popiskiwać drugie dno. Niesympatyczne. Zakradnie się rozczarowanie, niechęć, żal, i cała przyjemność będzie nie żeby zaraz stracona, ale zmacona. Na kiego grzyba mi takie przywiedle kwiaty?

Bo ludzie chcą... Nieprawda. W ludzi zostało wmówione, że chcą.

W rezultacie ofiara przerażającej mody zamiast siedzieć i pisać, zamiast malować i rzeźbić (w pozycji dowolnej, pisać wygodniej siedząc), zamiast komponować przy ulubionym instrumencie, zamiast obmyślać i gotować niebiańskie potrawy, jeździ na rozmaite targi i wystawy, odwala wywiady, pozuje fotoreporterom, występuje przed kamerą, marnuje czas, traci siły i zdrowie. Już widzę tego nieszczęsnego, ogłuchłego Beethovena w obliczu spotkań z entuzjastami, spragnionymi nie wiadomo czego bardziej, jego utworów czy jego widoku, odpowiadającego na pytania, których nie słyszy. Przecież on za wszelką cenę starał się ukryć fakt, że traci słuch! Ładnie by wyglądał w obliczu dzisiejszych drapieżników dziennikarskich.

Chyba się przyznam, bo ładnie mi się kojarzy, że oglądałam ostatnio (pod przymusem służbowym!) kilka scen, w których osobie znanej, cenionej i bardzo miłej zadano pytanie:

- Jak pani reaguje na komplementy?

W mgnieniu oka postanowiłam w razie takiego pytania wybrać którąś z następujących odpowiedzi:

- A pani...?

(Albo pan, zależy od płci pytającego.)

...Walę w mordę komplementarza.

...Chwytam szczotkę do zamiatania i tłukę nią **lampy pod** sufitem.

...Chichoczę głupkowato i mdleję z wrażenia.

...Zaczynam gorzko płakać.

I jeszcze parę innych, ale wszystkich nie będę wymieniać. Sądzę, że i po każdej z wymienionych rozmowa nabrałaby ognia.

Szczególnie, że padło więcej pytań, znacznie gorszych. W zasadzie na wszystkie można by odpowiedzieć jednakowo:

- Odczuwam żywą niechęć do pani (pana)...

Co najdziwniejsze, osoba pytająca robiła naprawdę ogromnie sympatyczne i kulturalne wrażenie. Co za kretyn wymyśla te pytania?

Otóż to! Z przykrością i niesmakiem stwierdzam, że nie rozumiem zjawiska. Ktoś przecież decyduje o treści wywiadu, widowiska, ogólnie biorąc, programu, ktoś obmyśla i układa scenariusz, ktoś sam tworzy własny program. Nie chcę przesadzić, ale w siedemdziesięciu pięciu procentach wychodzi to beznadziejnie.

Na głupie pytania słyszy się głupie odpowiedzi.

Przyznaję, że nie oglądam tych rzeczy nagminnie, w najmniejszym stopniu nie jestem maniaczką telewizyjną, coś mi jednak niekiedy w oko i w ucho wpadnie. Od czasu do czasu nawet specjalnie staram się zobaczyć, bo program telewizyjny zapowiada interesujący mnie temat albo interesującą osobę. No i rychło z jękiem przygnębienia przechodzę na stałą prognozę pogody, względnie wracam do zajęć generalnie sensowniej szych.

Najbłyskotliwszy rozmówca nie przebije się przez imponującą drętwość tych pytań, po większej części, za przeproszeniem, debilnych. Z najciekawszego, wręcz sensacyjnego tematu telewizyjny, pożał się Boże, twórca potrafi zrobić letnią breję, ciepłe kluchy, bez soli i doszczętnie rozgotowane. Żadna ciekawsza wypowiedź, z konieczności niezbyt ściśle związana z głupkowatym pytaniem, nie ostoi się w obliczu montażu ani redakcji tekstu, wytną ją, wywalą, jeśli zaś takich wyskoków pojawi się zbyt dużo, wywalą cały występ i cały artykuł.

Bo inaczej co? Zaiskrzyłyby się atrakcyjnie?

Kto, jeśli można uprzejmie zapytać, tworzy ten beznadziejny poziom i kto o nim decyduje? I, na litość boską, dlaczego...?!

Właściwie w tym całym interesie najgorsza jest telewizja z przyczyny, którą za chwilę wyjawię.

Dziennikarze to jeszcze jak cię mogą. Potrafią nawet niekiedy uszanować rozmówcę, spotkać się punktualnie, pogadać i cześć. Że potem powypisują rozmaite brednie, to już druga strona medalu, ale co to szkodzi i kto to w końcu czyta? Osobiście nie czuję na sobie ciężaru insynuacji, jakimi mnie obsypywano, niczym deszczem kwiecica, byłam już kierownikiem budowy, a nawet projektantem czołowych budowli Warszawy, antysemitką, alkoholniczką, w pewnym stopniu erotomanką, a cóż to szkodzi, zależy mi...? Pomyłono moich synów (dziwię się trochę, że nie dołożono mi córki), nie wspominając już o dzieciach moich znajomych i przyjaciół, moje ciotki, moje miejsca pracy i moje poglądy.

A swoją drogą, ciekawe, jak by było z rasizmem, bo na ten temat w odniesieniu do siebie jeszcze się nie natknęłam. O Arabach pisałam niewiele, za to różnie, co do Murzynów zaś, bardzo porządnie wymieniłam tych, których lubię i tych, których nie. Proporcja mówi chyba sama za siebie, polubiłam co najmniej siedmiu... nie, ośmiu, a nie lubię tylko jednego, tego, który omal mnie nie wykończył w Kanadzie.

Nie, zaraz, więcej niż ośmiu. O, do licha, będzie dygresja. Gorzej, dwie dygresje i to jeszcze w odwrotnej kolejności. Co ja mówię, trzy! Od przodu do tyłu...

Nie zdążyłam jeszcze napisać o własnej, potwornej kompromitacji, ale co mi zależy, mogę.

Nie pamiętam już w tej chwili... Nic podobnego, pamiętam, właśnie sobie przypominałam, sklerozę mam najzupełniej dostateczną i nie muszę jej sobie dokładać.

Wracałam z La Baule po następnej, niestety zbyt krótkiej, kuracji, zamówiony miałam znajomy hotel Cecilia, żadne drzwi mi nie groziły, a w dodatku w Paryżu miałam się spotkać z Witkiem, który zobowiązał się wszystko załatwić bez zawracania mi głowy. Sama przyjemność.

Wiem także, dlaczego byłam niezadowolona, i to podwójnie.

I właśnie to napiszę, bo co mi szkodzi. Już i tak krzywiono się na mnie, że zbyt intymnie wychodzą moje pogawędki z dziennikarzami, z dwojga złego zatem wolę przeżycia intymne opisać sama niż pośrednio, cudzym językiem i na bazie cudzego spojrzenia. Przy dziennikarzach, szczególnie jeśli robią sympatyczne wrażenie, zapominam, że jest to wywiad, i rozmawiam zwyczajnie, jak człowiek z człowiekiem, nie unikając zwierzeń, w pełni przystających do mojego aktualnego nastroju. Nazajutrz mój nastrój i zwierzenia mogłyby wyglądać całkiem inaczej, ale skąd nieszczęsny dziennikarz miałby o tym wiedzieć?

(Uprzejmie przypominam, że kobieta to też człowiek, więc może być dziennikarka.)

Już w La Baule czytałam w prasie, dostarczanej mi codziennie i bezcennej z uwagi na prognozę pogody i godziny pływów morza, o piromańskich rozruchach w Paryżu, dewastacji samochodów i złym humorze mniejszości narodowych. Ponadto dosięgły mnie telefony z Polski, pełne zdenerwowania i ostrzeżeń, żebym przypadkiem nie wracała przez Paryż, bo tam dzieją się straszne rzeczy, miasto płonie i w ogóle rewolucja. Zirykowało mnie to nieco, bo akurat miałam interesy w Paryżu, z których to interesów najważniejsza była sprawa trucizny na ślimaki.

Nie mam najmniejszych wątpliwości, że truciznę na ślimaki można dostać w każdym absolutnie zakątku Francji, jest to bowiem kraj, żyjący sałatą, którą z kolei żyją ślimaki. Żadne inne miejsce na świecie nie jest zainteresowane ślimakami w stopniu równym Francji, bez broni przeciwko żyjątkom Francuzi nie mogliby istnieć, i z pewnością zdołałabym dostać toksyczny produkt, gdziekolwiek bym się znalazła. Ale mnie się pod tym względem podobał Paryż, bo w Paryżu dokładnie wiem, w jakim sklepie to sprzedają i umiem do owego sklepu trafić, a oprócz tego istnieje tam jeszcze kilka użytecznych miejsc, których nie muszę poszukiwać. Z Witkiem, który nie zna francuskiego, umówiona byłam w Paryżu, więc niech mi rewolucja nie zawraca głowy.

Odjeżdżałam w niedzielę z głupoty. Prywatne niezadowolenie przeszkadzało mi myśleć racjonalnie i stąd pochodził głupi błąd, niezadowolenie zaś pochodziło z kasyna. Przegrałam w tym kasynie zupełnie idiotycznie, ponieważ byłam pewna, że muszę przegrać i wiodła mnie ku zgubie wyłącznie nadzieja, o której doskonale wiedziałam, że też jest idiotyczna, był to bowiem zły rok.

Zły rok zaś wziął się stąd...

O, już widzę, że dygresja rośnie i musi przybrać rozmiary balonu. No trudno, i tak wiem, że każdy woli czytać o kretyńskich przypadłościach autorki niż o poglądach natury ogólnej, nie mówiąc już o dywagacjach politycznych. Nie, zaraz, bez przesady, to nie jest groźba karalna, ja się polityką nie zajmuję, jeśli nawet o niej napomknę, to nie ma obawy, albo bardzo mało, albo mnie od razu ustrzelą, albo znajdę się w pierdłu razem z panem Rywinem, jako osoba obraźliwa dla władz.

Do diabła zatem z polityką, zły rok wziął się stąd, że Witek w Sylwestra stłukł cztery kieliszki za jednym zamachem. Głupio nam się wydawało, że szkło się tłucze na szczęście, i nie wzięliśmy pod

uwagę faktu, że cztery to liczba parzysta, a rok nadchodzi nieparzysty, 2005, poza tym w ogóle nie wiadomo, czy tłuczenie parzyste też jest na szczęście, gdyby mi przyszła do głowy taka wątpliwość, chętnie podetknęłabym mu do stłuczenia i piąty, ale nie przyszła i przepadło.

Rok był generalnie okropny, i to dla wszystkich. Już się w to nie będę wdawać, bo w życiu bym z tej dygresji nie wyszła, ale w kasynach wyłącznie przegrywałam i tyle mojego, że rzadko. Wiedząc, co mnie czeka, na palcach jednej ręki mogę policzyć pobyty w kasynie, przy czym nad jednym czuwała miłosierna siła wyższa, dzięki której przez pomyłkę wzięłam nieważną kartę kredytową, zamiast nowej, ważnej.

Ale to nie w La Baule. Tam, niestety, wszystkie karty miałam ważne i bardzo jestem zdziwiona, że udało mi się wrócić do domu na własnych pieniądzach.

Już sam fakt przegrywania jest nie bardzo przyjemny, ale ja sobie dogodziłam lepiej.

Piąty tom autobiografii zakończyłam nieszczęsnym Pafnucym. Co za pecha ma ten niedźwiedź, w końcu raczej sympatyczny, nie potrafię zrozumieć... W ostatnim czasie ruszyły nowe rozmowy i nowe pomysły na jego temat i chyba znów nic z tego nie będzie, bo w kasynie znalazłam automat, którego główną wygraną był niedźwiedź.

Nawet podobny.

(Nie znaczy to, że dostawało się pluszowego niedźwiedzia w prezencie, tylko niedźwiedź w odpowiednim układzie na ekranie dawał główną wygraną.)

Ucieszyłam się nadzwyczajnie, jak skończona debilka, i postanowiłam sobie wywróżyć. Jeśli wygram na kasynowym niedźwiedziu, Pafnucy ruszy.

Owszem, w pierwszej chwili, chwilę proszę zrozumieć odpowiednio, ona była dłuuuuga... byłam do przodu tysiąc osiemset euro, ale ja chciałam główną wygraną! Nie, żaden majątek, trzy tysiące siedemset pięćdziesiąt, na pierwszym lepszym automacie pokerowym mogłabym osiągnąć dwadzieścia tysięcy (przypominam: w razie głównej wygranej, która zdarza się rzadko, ale stwarza nadzieje), mnie jednakże chodziło o symbol. O wróżbę!

Raz wyjęłam z niedźwiedziowego automatu osiemset euro, które oczywiście poświęciłam na dalszą grę z niedźwiedziem, a wyjęłam tylko dlatego, że byłam potwornie głodna i bałam się, że mi zamkną restaurację i nie zeżrę ukochanych ostryg. W czasie pożerania ostryg jakiś głupi łobuz mi go zajął i wyjął tysiąc dwieście. Rozgoryczona śmiertelnie, z góry wiedziałam, że po łobuzie automat nie będzie płacił...

Moment, spokojnie, nie piszę teraz o hazardzie.

Zatem po pierwsze, przegrałam ogólnie, a po drugie, Pafnucy się nie sprawdził. Straciłam te nowe nadzieje, które się we mnie zaległy i dlatego byłam podwójnie niezadowolona. Drobne dodatki do podwójnego niezadowolenia nie są już godne uwagi i zostały mi z nich tylko ogniste wybryki w Paryżu.

Ogniste wybryki miały miejsce na północy Paryża, na peryferiach za Clichy. Nie wybierałam się tam, moje miejsce docelowe leżało na południowym zachodzie. Zważywszy jednak moją skłonność do błędzenia gdzie popadnie, szalały we mnie złe przeczucia.

To naprawdę był zły rok, bo złe przeczucia się sprawdziły, tylko nie tam gdzie trzeba. Dokładnie i radykalnie zablądziłam przy wyjeździe z La Baule, co miało tę dobrą stronę, że znalazłam doskonały wjazd, prosto z autostrady do hotelu Royal i kuracji morskich, znaczy, w odwrotnym kierunku, i postanowiłam go sobie zapamiętać. W Paryżu natomiast, z wysiłkiem utrzymując w sobie znajomość słów „wschód” i „zachód” w obcych językach, przy czym bardzo pomagał mi



niezapomniany „Drang nach Osten”, spięta i zdenerwowana, trafiłam na zachodnią Peripherique i do hotelu, jak po sznurku.

Następnie, z ulgi zapewne, a może, co tu będziemy sobie szklić, także i ze starości, wyzułam się z napięcia i sił. W tym właśnie momencie mętnie uprzytomniłam sobie tę niedzielę i przyjazd do Paryża w kretyńskiej chwili. Jedni już wrócili, drudzy jeszcze nie wyjechali, wszyscy po weekendzie, ulica zastawiona zderzak w zderzak, a ja muszę się wypakować, skoczyć do recepcji, w ogóle zrobić co trzeba i jestem w jednej osobie. Niemożliwe jest w jedną osobę zameldować się, zabrać bagaże i równocześnie odjeżdżać samochodem.

Sprawy hotelowe załatwiłam, zostawiwszy samochód na środku jezdni, na światelku awaryjnym. Chwalić Boga, to był Paryż, a nie Warszawa, w Warszawie jedynym wyjściem byłoby rzucić się pod tramwaj, w Paryżu do takich rzeczy są przyzwyczajeni. Odjechałam na parking.

Parking na Mac Mahoń jest jedyną kazamatą tolerowaną przeze mnie (choćby osobiście przyłożyłabym tym kazamatom rodzaj męski. Jeden kazamat pasuje mojej duszy bardziej niż jedna kazamata, takie to jakieś twarde i nieubłagane...), znam wjazd, wyjazd i nawet sposób płacenia. Wjechałam tam bez żadnych trudności, poza, oczywiście, mieszczeniem się w ciasnocie, ale w obliczu mojego własnego garażu kwestia lusterek przestaje istnieć.

W podziemiu było to samo co na ulicy, jedni już, drudzy jeszcze. Zdenerwowało mnie to, przywykłam do wolnych miejsc już na pierwszym poziomie, i to zaraz po wjeździe. A tu chała, wręcz przeciwnie, a zgłupiałam tak, że nic nie nasunął mi na myśl widok ludzi kłębiących się wokół bagażników z rozmaitymi tobołami, jasne było przecież, za kwadrans tych ludzi już tu nie będzie. Nie, ta prosta prawda do mnie nie dotarła.

Może ja naprawdę idiocieję na starość...?

Pierwszy raz w życiu, śmiertelnie oburzona, zjechałam na drugi poziom. Mogłam zjechać i na trzeci, gdzie prawdopodobnie było miejsce na czołg z przyczepą, ale coś mi się stało i nie byłam do tego zdolna. Chyba wybuchła we mnie straszliwa cecha mojej matki, niecierpliwość. Chciałam się już pozbyć tej podróży (wielka mi podróż, trzysta kilometrów z groszami), pozbyć się samochodu, zająć się sobą, odpoczywać bez obowiązków! Won z tym parkowaniem, do cholery!

Sama usiłuję zanalizować i zrozumieć własne uczucia i własne postępowanie i jakoś mi to źle wychodzi. Technicznie rzecz biorąc, gdybym podjechała dokładnie dwadzieścia centymetrów dalej i z tamtego miejsca skręciła na miejsce parkingowe, żaden problem by nie zaistniał. Ja jednak nie miałam cierpliwości.

To, co zrobiłam, jest nie do opisania, może dałoby się narysować, ale wątpię, czy dla tej jednej sceny ktoś zechce z mojej autobiografii wykonać komiks i za mojego życia raczej mu nie radzę. Wjechałam tak, że lepiej byłoby powiesić się od razu, ten obok nie wyjechałby nigdy w życiu, chyba że poświęciłby oba lusterka, swoje i moje. Podrapanie sobie wzajemnie błotników również wchodziłoby w grę.

Spróbowałam skorygować kretyństwo. Ostatecznie orientuję się mniej więcej w różnicy, jaką stanowi ruch do tyłu i do przodu, i to raczej od wielu lat. Przypuszczam, że po godzinie odpoczynku załatwiłabym sprawę bez żadnego problemu, ale myśl, że ten obok musiałby może wyjeżdżać jeszcze dziś, za kwadrans albo za chwilę, gniotła mnie tak, że zbaraniałam z tego do reszty.

Siedząc w samochodzie, zgnębiona radykalnie, zgoła półżywa, pomyślałam, że fajnie, posiedzę tak do jutra, jutro przyjedzie Witek, z energią młodszego pokolenia, bez znajomości języka, dowie się jednak, gdzie jestem, przyjdzie tu i coś zrobi. Wypisz-wymaluj tak samo jak w Bayonnie, kiedy

marzyłam o transportowym helikopterze wojskowym. Wtedy wyjechałam, może i teraz mi się uda, tylko za chwilę, na litość boską, niech odpocznę, niech odzyskam samą siebie...

No i wtedy przyszedł Murzyn, duży, elegancki i w ogóle taki w sobie, zachwycający, i zapytał grzecznie:

- Czy pani chce wyjechać, czy zaparkować?

Już samo pytanie świadczy o mojej lokalizacji...

Przyznałam się, że zaparkować, przyznałam się, że zrobiłam idiotyzm z tymi dwudziestoma centymetrami i że w ogóle jestem za stara. Gdybym nie przegrała w kasynie, powiedziałabym od razu, że płacę chętnie za lusterko i błotnik tego obok, ale nie byłam pewna, co mi jeszcze zostało po cholernym złym roku, więc w tym miejscu nieco się zawahałam. Murzyn spytał, czy, wobec tego, pozwolę, żeby on zaparkował, i ogólnie biorąc, tyłem byłoby łatwiej.

Tyle to i ja sama wiedziałam, ale, niestety, bagażnik był mi ogólnie potrzebny. Przytknięty do ściany bagażnik jest nie do użytku. Niemniej jednak z radością przyjął pomoc Murzyna, zdążyłam jeszcze wyrwać z samochodu jedną zapomnianą wcześniej torbę, pomogłam, pokazując, jeszcze centymetr, jeszcze pół, łatwiej mu było, mnie nikt nie pokazywał, niech to piorun strzeli, zaparkował mi tyłem. Dobrze, że zdążyłam z tą torbą...

Natychmiast spytałam, czy on jest tu parkingowym, pracownikiem znaczy. A nie, skąd, jest zwyczajnym użytkownikiem parkingu. Zatem mowy nie ma o napiwku, obraziłabym go, porozmawialiśmy chwilę, podziękowałam mu, pokochałam człowieka.

I ja miałabym być przeciwko Murzynom...?!!!

Żeby wykończyć temat, następnego dnia przed hotelem było około dziesięciu wolnych miejsc parkingowych. Witek bardzo się zdziwił, skąd mogły pochodzić moje kłopoty.

Koniec dygresji pierwszej.

Dygresja druga łączy się z trzecią nierozzerwalnie.

Za pierwszym pobytem w Trouville, kiedy mieszkałam w Mercure, wyszłam z kasyna późno, głodna jak wampir na odludziu i zastanowiłam się, gdzie jeszcze znajdę coś otwartego. Nie wiem, dlaczego nie zjadłam kolacji w kasynie... A, wiem! Przeoczyłam godzinę, restaurację zamknęli, czynny był tylko bar, gdzie bez trudu można się było urządzić, ale nie pożywić. Knajpy przy promenadzie też już nie działały, otwarta pozostała tylko jedna, jakoś tak po drodze pomiędzy morzem a hotelem, z widokiem na parking i Deauville, ale nie widoki miałam teraz w głowie.

Weszłam tam, usiadłam wewnątrz przy wielkim oknie i zamówiłam ostrygi, bo cóż by innego. Dwanaście, jak zwykle.

Kelner, a możliwe, że właściciel, namówił mnie na osiemnaście. Później zgadłam dlaczego, ale w pierwszej chwili trochę się zdziwiłam, bo w końcu ostrygi w morskich rejonach zaliczają się do potraw najtańszych, więc zbytnio by się na mnie nie wzbogacił, niemniej jednak namówienie przyszło mu bez trudu. Zgodziłam się.

Na zewnątrz, przy zestawionych stolikach, siedziały cztery osoby, dwie dziewczyny i dwóch facetów. A, to dlatego weszłam do środka, do licha, nie lubię tłoku... Byli już chyba w połowie wystawnego posiłku, z winem i z szykanami, miałam ich przed nosem, na pierwszym planie, i przyglądałam się im przez szybę, bo nic lepszego nie miałam do roboty.

Dostałam te osiemnaście ostryg i wówczas okazało się, że jest to numer zero. Największe ze wszystkich, bo numeracja ostryg leci odwrotnie, podobnie jak moje dygresje, największe zero, najmniejsza trójka, a potem już tylko papillon, takie całkiem malutkie. Osobiście preferuję dwójkę,

trójka też może być, jedynka to już trochę za duże, a zero...? Rany boskie! I osiemnaście...?!

Uczciwie przyznaję, że przy osiemnastej myślałam sobie, że chyba jutro nie będę jadła ostryg. Cokolwiek, obojętne co, ale nie ostrygi.

Na marginesie: od razu zawiadamiam, że nazajutrz jadłam ostrygi.

Nie w ostrygach sedno rzeczy.

Łatwo zgadnąć, że już od jedenastej zaczęłam konsumować posiłek zdecydowanie wolniej i trochę czasu w tej knajpie spędziłam, dzięki czemu nie umknęło mi nic ze scen na zewnątrz. Młode, acz już dorosłe, osoby wydawały się coraz bardziej ożywione. Zamówili desery, jeszcze dwie butelki wina, butelki były w połowie opróżnione, kiedy panowie zaczęli się kłócić. Coraz gwałtowniej, przy siedemnastej ostrydze zapewne uczyniłam krótką przerwę i poświęciłam im więcej uwagi, awanturowali się ostro, młode damy usiłowały ich uspokajać, panowie strzelali temperamentem, w końcu jeden przyłożył drugiemu. Jeszcze siedząc. Drugi się groźnie poderwał, na co poderwał się i pierwszy i, wyraźnie spłoszony własnym zuchwalstwem, uciekł, drugi zaś runął za nim. Znikli za narożnikiem budynku, młode damy denerwowały się przez chwilę, po czym uczyniły to samo, zerwały się i popędziły za panami, niewątpliwie w celu kojenia ich namiętności.

Za narożnikiem budynku znikli wszyscy, ja zaś zeżarłam osiemnastą ostrygę.

No i wyszły na jaw dwie rzeczy.

Jedną zgadłam sama z siebie, te osiemnaście ostryg. Najzwyczajniej w świecie człowiek miał koniec baryłki i nie chciał, żeby mu się te ostatnie sześć zmarnowało, niech baba zeżre, prosta sprawa. Druga w wielkim wzburzeniu była dość długo omawiana w knajpie.

Towarzystwo na zewnątrz nie zapłaciło rachunku. Wrąbali, ile chcieli, wino wypili, ostatnie zamówienie już było na pokaz, kłótnia również, najedli się darmową kolacją i znikli jak sen jaki złoty. Przytomna młodzież bezpieniężna stosuje takie metody wcale nierzadko, knajpiarze je znają, ale ci tutaj byli bezkonkurencyjni. Sama przysięgłabym, że świętują jakiś sukces, a potem że kłócą się naprawdę, zaniepokoiłam się, czy nie trzeba będzie wzywać pogotowia, obsługa knajpy podobnie, razem, jak idioci, czekaliśmy na ich powrót, kelner poleciał za narożnik oglądać masakrę, nic z tych rzeczy, spokój wszędzie i cisza.

Na szczęście to była Francja. Francuzi doceniają pomysłowość i dowcip, cenią, jak sądzę, także sztukę, personel wielkiej uciechy nie miał, ale w końcu wszyscy, źli jak diabli, jednak zaczęli się śmiać. I nawet padły słowa uznania dla arcyzmu całego spektaklu.

Trudno się dziwić, że ten wieczór zapamiętałam podwójnie, a przy najbliższej okazji opowiedziałam o nim dzieciom.

Miał zatem skutki, zdaje się, że dość osobliwe.

Żeby mnie kto zabił, nie mam pojęcia, jakie nazwy noszą bistra, kawiarenki i restauracje w Trouville. Nadaliśmy im własne.

Naradzając się, dokąd idziemy na posiłek, mówiliśmy:

Do pijaka.

Do złodzieja.

Do Murzyna...: <,,: „■■■'■■ ■.■'-:\ >

Obok Murzyna...

Do pijaka... Nie, właściciel nie był alkoholikiem w najmniejszym stopniu. Po prostu przy pierwszej wizycie w lokalu, wieczór to był, natknęliśmy się na prawdziwego pijaka, gościa, który najpierw z upodobaniem z nami rozmawiał...

Ale krótko. Znacznie dłużej rozmawiał z nami pijaka osobnik w wieku zbliżonym do mojego, który, całkiem trzeźwy, z uporem oświadczał się Monice. Przez chwilę wprawdzie wahał się, czy nie poprzestać na Zosi, ale tu Robert mu wchodził w paradę, wybrał sobie zatem jednostkę wolną. Na mnie jakoś nie leciał, ciekawe, dlaczego...

Ze względu na te oświadczenia przez kilka dni omijaliśmy pijaka, zirytowało nas to w końcu i przestaliśmy omijać, zdaje się, że czerwone wino miał niezłe, ale nie o to chodzi. Pijak-gość rozmawiał, potem usiadł przy barze i zaczął dostarczać atrakcji. Wyrzucono go w końcu, kiedy stłukł kolejną szklanę, może kufel, a tolerancja trwała tak długo, że nas zdziwiło. Spytałiśmy o przyczynę, bardzo łagodnie i ze zwyczajnej ciekawości, i okazało się, że jest to brat czy szwagier właściciela, bywa tu codziennie i cieszy się szczególnymi względami.

Bez względu na stosunek do alkoholu właściciela pozostało „u pijaka”.

„U złodzieja” to było oczywiście tam, gdzie patron został okradziony z wystawnej kolacji. Złodzieja wybieraliśmy rzadko, bo nie miał widoku na morze.

Co do Murzyna natomiast... Pracował w restauracji po prostu jako kelner i okazywał tyle ludzkich uczuć, że aż do niego ciągnęło.

Francja traktuje posiłki przerażająco rygorystycznie. Choćby człowiek konał z głodu, o piątej po południu nie dostanie nic do jedzenia. No owszem, może dostać kawę, ciasteczko, lody, gofry, czasami naleśniki, ale nic porządnego. Francuzi są przyzwyczajeni, obcokrajowiec zaniedba i już wygląda jak pół głowy lufcikiem, przy czym w różnych rejonach istnieją półgodzinne albo godzinne wahania. Śniadanko można konsumować do jedenastej, a bywa, że do południa, drugie śniadanko zaczyna się od pierwszej, od wpół do drugiej, od drugiej, rozmaicie, o szesnastej jest to już senne marzenie. Przeoczył człowiek parszywe drugie śniadanko, jeszcze nie zgłodniał we właściwej chwili, i potrzeby spożywcze ruszają mu o wpół do piątej, o piątej... Nic z tych rzeczy, osiemnasta trzydzieści to najwcześniejsza pora, a i to tylko gdzieniegdzie, przeważnie bywa dziewiętnasta, dziewiętnasta trzydzieści...

Osobiście już do tego przywykłam i całe szczęście, że polubiłam uczucie głodu, bo inaczej by mnie szlag trafił.

Ale na wakacjach zdarzało się różnie i w owo upalne lato, kiedy życie zależało od przyływu morza, obie z Moniką miałyśmy rozmaite doznania głodowe. No i wtedy ratował nas Murzyn, który posunął się nawet do zaserwowania nam posiłku o siedemnastej trzydzieści.

Z całego serca życzę mu wszystkiego najlepszego!

Chyba czas najwyższy wrócić do tematu, chociaż już sama nie wiem, co tu jest tematem.

Jak już pozwoliłam sobie napomknąć, pierwsze miejsce w tym modnym szaleństwie zajmuje telewizja. Z kilku przyczyn, a jednej najważniejszej, którą wyjawię na końcu.

Po pierwsze, telewizja wszelkie wieści i widoki rozpowszechnia najłatwiej i najszerzej. Nawet jeśli ktoś nie umie czytać, obraz na ekranie zobaczy i gadanie zrozumie, a im głupszy, tym łatwiej wytrzyma.

Po drugie, jakość podawanej informacji jest telewizji najdoskonalej obojętna. Poza, oczywiście, programami państwowymi, chociaż, prawdę mówiąc, sama już nie wiem jak te programy nazwać i kto nimi rządzi. Może one wcale nie państwowe, tylko spółdzielcze albo co? Co nie przeszkadza, że przy starannym przesianiu treści, równie starannie dobierani są rozmówcy, w tym także reporterzy i prezenterzy (płeć obojętna), którzy największą ilość czasu poświęcają samogłoskom. Na czołowym miejscu znajduje się litera eeeeeee, zaraz za nią leci yyyyyyy, reszta jest użytkowana mniej więcej

równomiernie.

Po trzecie, zważywszy, iż tak zwana oglądalność wzrasta odwrotnie proporcjonalnie do poziomu, telewizja w programach rozrywkowych najchętniej pokazywałaby spodnie, pękające na tyłku gwiazdy w czasie występu, albo premiera obcego mocarstwa na ciężkiej bani, albo próbę skonsumowania sztucznych owoców przez bezzębnego mieszkańca domu opieki. Albo jeszcze coś, czego sama na poczekaniu nie potrafię wymyślić.

(Żaden wygłup i wcale nie mój pomysł. Nie jestem wprawdzie mieszkańcem domu opieki i kilka zębów jeszcze posiadam, ale telewizja w Moskwie usilnie nakłaniała mnie do spożycia właśnie sztucznych owoców. W jakim celu pchali mi do gęby owe atrapy winogronek i śliweczek, nie potrafię odgadnąć, ale sądzę, że w wykonaniu staruszka mogłoby to być jeszcze śmieszniejsze. Chociaż nie wiem, na czym miała polegać śmieszność. Poza tym, postąpiłam jak świnia i do konsumpcji namówić się nie dałam.)

Po czwarte i najważniejsze: telewizja się rozbestwiła.

Jest to chyba rozbestwienie niezawinione, wywołane naciskiem społeczeństwa. Nie zajmowałam się statystyką i nie prowadziłam obliczeń, a szkoda, może należało, ale tak na oko biorąc, co najmniej trzy czwarte ludzkości marzy o występie publicznym, jeśli nie w naturze, to chociaż na piśmie. Mam na myśli własną osobą na ekranie lub też na zdjęciu w gazecie. W naturze chętniej, szczyt szczęścia zgolą. No i telewizja przywykła do roli bóstwa, skąpo siejącego łaskami.

Jako instytucja i jako poniekąd zbiorowisko ludzkie... tu już należałoby chyba zastosować podpunkty, alfabet może, co...? a) W zapowiedzianym programie wprowadza zmiany, nie informując o tym wcześniej, nie przeprasząc, nie podając nowego terminu tego czegoś, co widz miał nadzieję obejrzeć. Widza ma w nosie. b) Opóźnia, względnie przyspiesza prezentowane widowisko, dzięki czemu głupio łatwowierny widz, trzymając się podanych godzin i nagrywając sobie to na wideo, bo we właściwej chwili obejrzeć nie może, zyskuje film czy odcinek serialu bez początku albo bez końca. No bo widza ma się jak wyżej.

(Na dowód mogę pokazać mnóstwo kaset, na których wymienione zjawisko występuje.)

Tu, chcąc, nie chcąc, czuję się zmuszona wybielić samą siebie. Wchodzi u mnie w grę od czasu do czasu, niekiedy w opinii Czytelników zbyt często, przypadek. Zbieg okoliczności.

No to niech mi ktoś powie, dlaczego w ciągu całego spokojnego dnia, kiedy z nikim nie jestem umówiona, egzystuję jak normalna jednostka ludzka, zjem śniadanko, nakarmię koty, poczytam książeczkę, usiądę do pracy i w ciągu całego tego dnia chcę obejrzeć w telewizji program, który trwa dwadzieścia dwie minuty, przez cały czas panuje idealny spokój, a w ciągu tych właśnie dwudziestu dwóch minut mam sześć telefonów? Przyznaję, że sześć stanowi rekord, dwa do czterech jest normą. Dlaczego dokładnie w chwili, kiedy zależy mi na prognozie pogody i osoba na ekranie zaczyna właśnie zasłaniać sobą Warszawę, brzęczy mi gong u furtki? Dlaczego przez cztery dni nie mogłam obejrzeć żadnego dziennika, żadnych wiadomości, żadnych informacji krajowych ani zagranicznych, ponieważ w momencie rozpoczęcia programu ktoś przychodził albo dzwonił dla załatwienia ze mną bardzo ważnych rzeczy? To co to jest? Planowe działanie?

Opisałam w poprzednich tomach parę przypadków i zbiegów okoliczności, absolutnie idiotycznych, których nie chce mi się teraz powtarzać. One się przytrafiają na każdym kroku, nie wszystkie mają daleko idące skutki, ale istnieją. Bo z jakiej niby przyczyny Wiesia z BLOK-u spotykam wyłącznie na lotniskach, kiedy każde z nas jedzie w inną stronę, a moją przyjaciółkę, Anię, mieszkającą o parę ulic ode mnie, pod wieżą Eiffela? Skąd niby to się bierze?

1 dlaczego, jeśli już mam pod ręką dwa telefony, zadzwoni właśnie ten trzeci, na drugim końcu mieszkania? A jeśli mam wszystkie trzy i oddalę się na chwilę (do łazienki, do kuchni zrobić herbatę, na tarasik po drewno), natychmiast zadzwoni jeden, a bywa, że i dwa naraz. To jak to rozumieć? Fluidy jakież wysyłamy, bo nie mnie jedną takie szczęście spotyka, bioprądy? Ktoś siedzi i specjalnie czatuje?

I niby co to jest, jak nie przypadek i zbieg okoliczności?

Możliwe... powinienam napisać „z pewnością”, ale znowu nie przesadzajmy, do tego stopnia zeznawać przeciwko sobie...? Nie wymagajmy ode mnie za wiele!

Możliwe zatem, że moje upodobanie do użytkowania przypadków i zbiegów okoliczności bierze się z oportunistycznego i skłonności do łatwizny. Chętnie użytkuje się coś, co samo wchodzi w ręce, a wchodzi na każdym kroku.

Pierwsze lepsze przypomnienie...

Jeszcze w pracowni, w BLOK-u, siedzieliśmy jak zwykle po godzinach. Dwóch kolegów wyszło, prawie równocześnie, około szóstej. Okres był letni, dosyć ciepło, każdy z nich zdjął fartuch roboczy, włożył marynarkę i wyszedł.

Po półgodzinie mniej więcej jeden z nich wrócił. Wbiegł do pracowni zirytowany, zatroskany, i jął się nerwowo rozglądać dookoła.

- Co za cholera... - zaczął. - Czyście tu nie widzieli...

Więcej powiedzieć nie zdążył. Jak szalencie wpadł ten drugi, wzburzony bez granic i z dzikim błyskiem w oku bez słowa rzucił się na pierwszego, zdarł z niego marynarkę, zdarł marynarkę z siebie, błyskawicznie ubrał się w marynarkę zdobytą na przeciwniku i wypadł, wciąż bez słowa, bulgocząc tylko coś pod nosem. Ten zatroskany został z odzieniem w ręku, a wszystko odbyło się tak szybko, że nie zdążyliśmy się odezwać.

- No i macie - powiedział z lekką goryczą ten z marynarką w ręku. - Kretyn, zamienił marynarki. Włożył moją i poleciał. A ja dojechałem do domu i okazało się, że nie mam kluczy od mieszkania, za to mam jego portfel...

Marynarki mieli identyczne, posturą różnili się niewiele, możliwe, że jednemu było ciut za ciasno, a drugiemu ciut za luźno, ale żaden nie zwrócił na to uwagi. Różnica w reakcjach wzięła się stąd, że ten wzburzony umówiony był do teatru z damą, na której zależało mu straszliwie. Brak portfela zauważył dopiero pod teatrem, kiedy chciał zapłacić za taksówkę, na szczęście nie zwolnił jeszcze taksówki, co zresztą było o tyle łatwe, że taksówkarz wcale się nie rwał do odjazdu bez zapłaty, a cudze klucze rekompensaty nie stanowiły. W strażackim tempie obrócili tam i z powrotem i na spektakl zdążył. Posłużyłby się z pewnością pieniędzmi kolegi, gdyby nie to, że ten pierwszy trzymał portfel w tylnej kieszeni spodni. No i biletów by nie miał.

No i proszę, ileż możliwości stwarza takie drobniutkie niedopatrzenie, mikroskopijna pomyłka! Przecież mogli się minąć w biurze, jeden by już poszedł, kiedy drugi by wrócił, a poszedłby w marynarce, bo tropikalny upał nie panował. Do domu nie musiałyby się włamywać, poszukałby żony albo zaczekał na nią... Chociaż nie, źle, miał coś ważnego do załatwienia, nie pamiętam co to było. Ten drugi natomiast straciłby damę i dramat gotowy.

Nie mówiąc już o tym, że sprawę do załatwienia i damę można zamienić na elementy bardziej atrakcyjne, a nawet zbrodnicze...

I jak ja mogę wyrzec się przypadków...?!

Dobrze, dobrze, już wracam do telewizji. c) Zaproszone do programu osoby traktuje, jak nie

powiem co... albo powiem! Elegancko. Jak nawierchnię tropikalnych wysp, zaanektowanych przez ptaki, zaopatrzonych w niezmierzone dowody ornitologicznych potrzeb fizjologicznych. Guano to się nazywa, ta nawierzchnia.

Już nie będę do tego c dokładała c1, c2, c3, powiem zwyczajnie.

Każę osobom, przybyłym punktualnie na umówioną godzinę, czekać do uśmiechniętej śmierci, bo coś tam nawaliło.

Nie informuje, kiedy program z osobą ukaże się oczom publiczności.

Nie zawiadamia osoby, kiedy już termin zostanie przez instytucję i zbiorowisko dokładnie ustalony, żeby bodaj mogła zobaczyć, jak wyszła.

(Właściwie to ostatnie można zrozumieć. Zwyczajny humanitaryzm. Albo osoba wyjdzie tak przepięknie, że pęknie z dumy, albo tak okropnie, że spali się ze wstydu. Tak w jednym, jak i w drugim wypadku stracimy obywatela, a i bez tego przyrost ludności nam podupada.)

Nie wysyła osobie nagrania na kasecie bez upominań się, awantur, kumoterstwa i gróźb, że podpalimy budowlę i podrapujemy po pysku część personelu telewizji bez wyboru, z kierownictwem włącznie.

Nie doбира osoby do programu. Dzięki czemu, na przykład, genialny snycerz, pracujący kameralnie, zestawiony zostaje z młodym wykonawcą utworów własnych, który gnie się strasznie do przodu i do tyłu, wydając z siebie ryki jelenia w czasie rui. Snycerz został zaproszony do programu, na przykład, „Rzadkie i ginące zawody”. To ta ruja...?

Wykorzystuje fakt, że gros społeczeństwa zgodzi się na wszystko, na czekanie, stratę czasu, zbitkę z jeleniem i rują, żeby tylko wystąpić. Ukazać się na ekranie. Za wszelką cenę!

Może i rzeczywiście trudno się dziwić, że telewizja za rzecz naturalną uważa przyczołganie się zaproszonego z Sokołowa Podlaskiego (także z wielu innych miejscowości, wyjaśniam, żeby nie obraził się na mnie akurat Sokołów Podlaski. Po prostu pierwszy mi na myśl przyszedł.) na czworakach, z bukietem róż w zębach. I oczekiwanie na ulicy Woronicza, klęcząc, furt z tymi różami, bodaj i tydzień.

Wracamy do „po czwarte”.

Telewizja łże, aż ziemia jęczy i rozpraszają się przestraszone cumulusy.

Zapraszając osobę, zdziwiona niebotycznie, że osoba natychmiast nie rozkwita tęczą, nie wierząc w ogóle, że osoba nie rozkwita, pewnie się kryguje, zmuszona w końcu, ku własnemu oburzeniu i pełna niesmaku, do zachęcenia osoby...

Diabli wiedzą po jaką cholerę osoba jest im potrzebna, ale widocznie jest albo ktoś tam wyobraża sobie, że jest, może skacowany, a może nie ma czasu i idzie na łatwiznę...

...wysila się nieco i podsuwa temat. Będzie o bezpańskich, maltretowanych zwierzątkach. Będzie o nie całkiem bezpańskich, ale też maltretowanych dzieciach. Będzie o służbie zdrowia. Będzie o teatrach i nowym spojrzeniu na sztukę klasyczną. Będzie o policji, prokuratorach i wymiarze sprawiedliwości. Będzie o roślinach leczniczych. Będzie o wpływie koloru na psychikę człowieka. Będzie o funkcji architektury współczesnej. Będzie na żywo!!!

Znaczy, niczego nie wytną.

No i ofiara daje się narwać.

Nie jestem pewna, ile osób dało się **narwfć**. **Ale, ostatecznie**, piszę autobiografię, mogę zatem, a **może na\yet** **powinam** wrócić do siebie. O sobie samym..

„Do potomności” dajmy spokój. Megalomania to nie czarna ospa ani ptasia grypa, nie na każdego

pada, ogólnie biorąc, na choroby jestem odporna.

O sobie samym człowiek jednak coś wie, a przynajmniej orientuje się, co mu sprawia przyjemność i wręcz **przeciwnie**. Wiem na pewno, że nie znoszę kalmarów i ślimaków, gumowate i z czosnkiem, nie cierpię... Zaraz, moment, to nie ten temat.

Możliwe, że w kwestii występów telewizyjnych jestem odosobniona i nikomu innemu tak artystycznie koło pióra nie zrobiono jak mnie. To ja zostałam oszukana co najmniej trzykrotnie, do trzech razy sztuka, więcej się w dorożkarską szkapę zrobić nie dam.

Pomijam oczywiście coś, z czego zostałam z gniewem, obrzydzeniem i mściwie wycięta, bez wątpienia słusznie, bo poszłam na to bez pojęcia, o co chodzi, a chodziło o młodzież przestępczą, wychowaną w domu dziecka, a możliwe, że w poprawczaku. Zbitka małego lorda Fauntleroy ze śmiertelnie cynicznymi gnojami, dla których słowa „normy moralne” albo w ogóle „człowieczeństwo” były pojęciami obcymi, wstrząsnęła mną tak, że spaskudziłam całe nagranie. Wyrzucili mnie, znaczy nie z sali, tylko z taśmy, i mieli rację. Przy okazji wyznaję, że nie pamiętam, kto to prowadził, i małego lorda Fauntleroy z całej siły przepraszam, jeśli pchające się zgoła przemocą określenie kulturalnego, delikatnego, dobrze wychowanego faceta uważa dla siebie za obraźliwe. Raczej zamierzałam obrazić twórcę programu, ale zdaje się, że on był impregnowany...

No i proszę, widać, że telewizja wzbudza namiętności. Już mnie zezłościło.

Magicznymi słowami „na żywo” zostałam wrobiona w kolejne coś. O przestępczości, tak mnie powiadomiono.

Nie wiem, czy znów powinnam przypomnieć, co myślę o przestępczości w moim ojczystym kraju, zdaje się, że pisałam to już co najmniej pięć razy, także w autobiografii. Nie będę się teraz rozwodzić nad tematem po raz szósty, może po prostu streszczę, nie twierdzę, że subtelnie.

Do ciężkiej cholery, w przyzwoitym i praworządnym kraju powinien się bać przestępca, a nie ofiara! I nie policjant!!! I, takie mam delikatne wrażenie, nie prokurator i nie sędzia...

Dygresja:

Raz w życiu, tak mną czasem szarpie, chciałabym wygłosić baaaaardzo dłuuuuuugie przemówienie w Sejmie, czyli w łonie naszego ciała ustawodawczego, na powyższy temat. Transmitowane na cały kraj, a może nawet na cały świat, na żywo. Przejechać się po kodeksie karnym, po kodeksie wykonawczym, cywilny mogę sobie zostawić na koniec, po obowiązkach ciała ustawodawczego, które...

Konkurs ogłosić. Z nagrodą. Poświęcę na to wszystkie pieniądze, jakie uda mi się wygrać w kasynie przez dwa lata. Kto z naszego, wielce czcigodnego, ciała ustawodawczego przeczytał WSZYSTKIE (!) Dzienniki Ustaw, wydane od chwili zakończenia drugiej wojny światowej? Wszystkie te cholerne Monitory? Kto zestawil ze sobą sprzeczne zarządzenia, dekryty, uchwały, od wieków nieaktualne, a wciąż obowiązujące? Kto zajął się porządnie idiotyzmem, panującym w tym kraju?! Kto zadbał o ustawy, przynależne do Ciała Ustawodawczego? Pytam, kto?!!!

Jeśli istnieje taka jednostka ludzka, powinna zostać dyktatorem, za przeproszeniem prezydenta panującego.

Wyeksponować w upragnionym przemówieniu jedną z najbardziej kretyńskich idei, ogarniających świat, a mianowicie humanitaryzm w stosunku cio przestępców. Z całkowitym pominięciem humanitaryzmu w stosunku do ofiar. Bo, oczywiście, przestępca zasługuje na szacunek, współczucie, czułą opiekę i wszelkie wygody, ofiara zaś jest to bydlę, samo sobie winne, które złośliwie pozwoliło się pobić, okraść, a nawet, ku ogólnemu zgorszeniu, zamordować. Przestępca powinien



dysponować gorącymi posiłkami i kolorowym telewizorem, a ofiara ma zostać potępiona i wzgardliwie zlekceważona. Czyż nie? Bo tak z idei wychodzi...

Zauważyć grzecznie, że poszkodowany, choćby pękł, poszkodowany być nie przestanie. Zwrócić uprzejmie uwagę na szacunek dla danych personalnych bandziorów, podejrzanych, oskarżonych, w obliczu absolutnego braku szacunku dla takichże danych ofiar przestępstwa. Pobitych i okradzionych ludzi, zgwałconych dziewczyn, odważnych policjantów, poszkodowanych na wszelki sposób, niewinnych ludzi!

Zaproponować, żeby może dodatkowo skazywać ofiary na obowiązek zdobywania puchu łabędziego na poduszki i piernaty dla nieszczęśliwych przestępców...

Obawiam się, że moje przemówienie trwałoby ze dwie doby i może dlatego nie mam na nie szans. Chociaż, czy ja wiem... Ci przed telewizorami by się zmieniali, a sala sejmowa i tak świeciłaby pustkami jak zwykle, bo pełna jest tylko wtedy, kiedy ustala się diety poselskie albo wyrywa sobie wzajemnie stołki spod... No, spod siebie.

O, masz ci los. Kretyńsko wdałam się w politykę, a zamierzałam w telewizję!

No i znów mnie telewizja oszukała. O przestępczości, naiwna kretynka, na żywo, no owszem, program idzie na żywo, w to miałam prawo uwierzyć, ale reszta..-?

Było to widowisko tragiczne, o czym nie miałam pojęcia. Rodzice, którym w bójce ulicznej zabito syna, no rzeczywiście, w sam raz dla autorki utworów humorystycznych, pęknąć można ze śmiechu. Nie w tym rzecz jednak, prowadząca panienska, czarująca zewnątrz, miała chyba na blachę wykute pytania, które powinna zadać wyznaczonym osobom, pytania zaś były rekordy debilizmu albo zawierały w sobie podstęp tak głęboko ukryty, że nikt się w nim nie połapał.

I nie wiadomo właściwie, do kogo były adresowane. Bo co niby ma zrobić starsza pani, względnie młoda dziewczeczka, względnie zażywny ojciec rodziny, widząc, że trzech facetów leje czwartego? Runąć na nich, wdać się w bijatykę? Popukać w ramię jednego z lejących i grzecznie poprosić o wyjaśnienie sprawy? Albo zaproponować, żeby przestał? Bo dlaczego nikt na tę scenę nie zareagował czynnie, dlaczego tylko ktoś tam zadzwonił na policję, zamiast osobiście rzucić się w obronę i nie wiem co dalej, zapewne zostać drugą ofiarą? A nie daj Boże, nie starsza pani, nie dziewczeczka, nie ojciec rodziny, ale osobnik w pełni sił i w kwiecie wieku, do tego może jeszcze kształcony w sztukach walki, rusza na pomoc, czemu nie, daje sobie radę, trzech napastników leży, ten ze złamaną rączką, ten z nóżką... Było już tak i jaki skutek?

Krewki obrońca poszedł siedzieć za cielesne uszkodzenie bandziora i w dodatku musiał mu rentę płacić, bo bandzior doznał trwałego, acz lekkiego uszczerbku na zdrowiu. To co konkretnie z tego programu miało wynikać?

Moim zdaniem, zmiana przepisów prawnych, ale własnych poglądów wyjawić nie zdołałam, bo nie zostały wcześniej przewidziane. Chociaż i tak spaskudziłam paniencie całe widowisko, ponieważ jej pytania i moje wtręty pasowały do siebie jak pięść do nosa, ponadto nie mnie miała pytać, tylko kogoś innego i pogubiła się w tym doszczętnie. Ja zaś pokłóciłam się z panem Falandyszem i z prokuratorem generalnym, przy pełnym poparciu komendanta głównego policji, a w bójkę nie wdaliśmy się tylko dzięki temu, że wyrzucono nas ze studia, które było potrzebne do czegoś następnego.

Po czym znów miało być wyłącznie na wyżej omawiane tematy, długi program, tymczasem owszem, trochę tam poleciało informacji na temat laboratorium kryminalistycznego, bez wątpienia było to wysoce pouczające dla przestępców, tego zaś, na co mnie namówiono, wypadło około jednej

minuty. Reszta ze mną stanowiła zawracanie gitary.

Pytanie: co pani pisze?

(A cóż ja, na litość boską, mogę pisać?! Książkę telefoniczną? Rozprawę o tulipanach?)

‘ Odpowiedź: książkę.

Pytanie: a o czym?

(No i o czym? O rozmnażaniu się motyli? O truciznach? O instrumentach muzycznych siedemnastego wieku? O ziołach leczniczych? O ziołach chętnie, ale po co? Tyle już tego było...)

Odpowiedź: o tym, co zwykle...

A cóż to za niezmiernie atrakcyjna rozmowa...!

Wcześniej jeszcze zostałam namówiona... w tym miejscu nie będę szkalować telewizji, ponieważ zostałam namówiona pośrednio na występ we wstrząsająco intelektualnym programie pani Alicji Resich-Modlińskiej. Tyle znam panią Resich-Modlińską, ile z tego występu, i powątpiewam z całej siły, czy ona sama całą tę imprezę wymyśliła. L nawet się nie czepiam, że spytała mnie o plany wydania książki, która już wyszła, jak Boga kocham, nie ma przepisu, że każdy musi moje książki czytać, na kolanach przysięgam, nie ma w kodeksie karnym paragrafu, że nieczytanie moich książek jest karalne, ale wstrząsnęło mną towarzystwo, w jakim się znalazłam. Pamela Anderson trochę jakby ode mnie odbiega, ona piękna, ja przeciwnie... Mało muzykalna jestem, nie znam faceta, który w bejsbolówce tyłem do przodu za idiotę robi... o rany, może znów kogoś obrażam...? Z Pamelą mi facet koresponduje, ale co ja w tym robię?! Miota się po ekranie coś takiego, co mogę oglądać tylko za karę...

Jedyną pociechę stanowił Kabaret Moralnego Niepokoju, który, zdaje się, przez moment znalazł się po tej samej stronie barykady co ja i który uparcie wysoko cenię. Wcale nie jestem pewna, czy nie zostaliśmy oszukani jednakowo, Kabaret i ja, chyba że Kabaret równa mnie z Pamelą...

Winą za powyższe obarczam pana Tadeusza Lewandowskiego, za którego złapię się na końcu. Jako mój agent, dzieło powinien był obejrzeć wcześniej, zanim mnie namówił.

A tam, powiem. Zależy mi...? Naczelną Gali, wtedy, kiedy wrąbano mnie w reklamę Toyoty Avensis, była pani

Resich-Modlińska. Jeśli wie o tym cokolwiek, niech pierzem porosnę. I co ja się mam czepiać nieszczęsnej kobiety? Niefart do mnie miała i tyle.

Uczepię się za to „Europy”.

Dopiero co to było, niedawno, i wcale nie o mnie chodzi. Telewizja zachowała się przyzwoicie, termin podała, kasetę przysłała, przed występem zaserwowała kielicha...

Nie wiem, komu zasługę przypisać, ale pozwolę sobie teraz na zwierzenie intymne, czyli to coś, co tak uwielbiają media. Jestem tak zwany krążeniowiec. O zawale pisałam, o nerwicach również, wątroba rąbie mnie rzadko, syfilisu nie posiadam, gruźlicy również nie, AIDS-em nie zostałam zarażona, choroby weneryczne mnie jakoś nie tknęły...

Ja nie wiem, ale chyba dla jednostek młodych jestem naprawdę mało interesująca?

W alkoholizm wpaść nie mogę, ponieważ zdechłabym w mgnieniu oka, co też ja jeszcze mogłabym mieć? Sklerozę może?

A, odczepmy się od reszty, krążenie wystarczy. Tym się odznacza, że działa na nie ciśnienie atmosferyczne i bij człowieku głową w ścianę, nie mamy wpływu. Akurat w dniu występu w telewizji byłam ciężko zdechła, co zresztą dało się zauważyć na ekranie, ale byłoby gorzej, gdyby nie anielskie istoty, które chyba miały doświadczenie. Zaserwowały kielicha dla kurazu, co też to było...

Żołądkówka gorzka? Kupiłam sobie tego potem pół litra i do tej pory u mnie stoi, ale, słowo daję, wtedy pomogło.

Dzięki czemu zdołałam się żywo zainteresować tym, co widzę.

Absolutnie świetni wykonawcy, profesjonalisci w stu procentach. Tak urocze było to całe przedstawienie, że zupełnie zapomniałam, iż w nim uczestniczę. Szczególnie scena, w której jeden Niemiec i jeden Anglik odgrywali wręczanie mieczów Jagielle przed bitwą pod Grunwaldem, według

„Krzyżaków”, była absolutnie znakomita, z szalonym zaciekawieniem czekałam na nią na ekranie, prześliczność powinna to być, no i co? Chała dęta!

Nie znam osobiście reżysera i nie wiem, kto nim był. Ale zdołał odebrać widowisku cały urok, cały wdzięk, wyzuł je z największej atrakcji. Nie tylko widokowo, także merytorycznie! O czytelnictwie to było, nasz Sienkiewicz w Niemczech, w Anglii...? Czort bierz Nobla, nie każdy czyta noblistów, mogą prezentować zbyt wysoki poziom dla zwykłych ludzi, a tu ci cudzoziemcy...?

I tak świetnie...?

KTO, do tysiąca piorunów, pracuje w telewizji...?!!!

Zaraz, zdaje się, że zamierzałam przejść do poglądów osobistych. I uczeplić się konglomeratu dziennikarstwo-telewizja, z wyeksponowaniem telewizji.

Pięć tysięcy razy mówiłam.. no dobrze, może pięćdziesiąt. Że ja się sobie nie podobam. Napisałam to. Nie pamiętam, ile razy napisałam, ale jestem pewna, że zaczęłam rozpowszechniać informację od pierwszego tomu „Autobiografii”. Gust mam taki i wcale nie jest powiedziane, że ja jedna, możliwe, że połowa społeczeństwa myśli podobnie, i po cóż, na litość boską, miałabym tej połowie podtykać pod nos odstręczające widoki?

Nie pcham się do występów przed kamerami. Męczące to, czasochłonne, z moim zawodem nie ma nic wspólnego, a rezultaty daje żałosne. I ciągle mam obawy, że istota, na której najbardziej mi zależy, Czytelnik, na mój widok zrezygnuje z przeczytania książki...

Pomijam już... nic podobnego, jak widać, wcale nie pomijam... niesolidność dziennikarzy telewizyjnych. Dziennikarz prasowy, zmuszony do autoryzacji tekstu, jeszcze się czasem objawi, przyleci w uzgodnionym czasie, zazwyczaj w ostatniej sekundzie przed ukazaniem się numeru, żeby jego ofiara nie zdążyła wprowadzić żadnych zmian...

A zwracam uwagę, że alternatywą jest wywalenie z periodyku zaplanowanego wywiadu, co dość często powoduje wywalenie także i dziennikarza, i kto weźmie sobie na kark taką odpowiedzialność? Ja mam później karmić jego żonę i dzieci? Możliwe, że odzywa się przy tym moje kretyńsko dobre serce, i w efekcie wychodzę na kompletną idiotkę.

Dziennikarz telewizyjny ma mnie w odwłoku. Nic mu nie zrobię, taśma leci, kto chce, może oglądać, ja zaś mogę sobie protestować, ile mi się podoba, bez żadnego skutku, i proszę teraz ujrzeć między wierszami moje śmiertelne rozgoryczenie. Mało, że mazepa, tyle wiem, to jeszcze nie mam pojęcia, jak wyszłam. Może miewam głupkowaty wyraz twarzy? Może mi się peruka przekrzywia? Może operator maniacko upaja się zbliżeniami mojego koślawego zęba? Albo zmarszczek? A któraż baba, choćby i stuletnia, rwie się entuzjastycznie do eksponowania własnych zmarszczek?!!!

Wszyscy oni, jak jeden mąż, jedna żona i w ogóle jedno stadło, poprzysięgają na klęczkach i z ogniem w oczach, że tak, oczywiście, z całą pewnością podadzą zawczasu dzień i godzinę programu, pokażą wcześniej, przyślą kasety, roboczą i zmontowaną, łożę mi uścielą puchem łabędzim i kwietny dywan rzucają pod stopy. Po czym kłaniają się ptasie wyspy tropikalne, czyli guano.

Na wszystkie moje występy, wyżej wymienione obietnice zostały spełnione sześć razy, z czego dwa się nie liczą, bo w grę wchodziła zaprzyjaźniona ze mną Martusia, chciałam powiedzieć Marta Węgiel, której prywatnie na znajomości ze mną zależało. Wyłączając Martusię, zostają cztery. I owe cztery były dziełem kobiet. Wyłącznie. Ani jednego mężczyzny!

Szczęście jeszcze, że przekroczyłam wiek, w którym wiara w mężczyznę stanowi podstawę egzystencji...

Chociaż, z drugiej strony, czterdzieści lat temu przysyłałoby zapewne wszyscy. Z pewnością byłam młodsza i nie jest wykluczone, że atrakcyjniejsza. Kto wie, mieliby może jakieś niemoralne nadzieje...?

Następni będą cierpieć za swoich poprzedników. Uroczycie obiecuję.

Ponadto istnieje jeszcze jeden aspekt sprawy, w naszym kraju uważany za wstydlivy i odrażający, mianowicie pieniądze.

O zarobkach rozmaitych gwiazd na całym prawie świecie (nie wiem jak, na przykład, w Chinach czy na Grenlandii) pisze się w euforii, wyliczając im każdego dolara, u nas przedrukowuje się to w radosnym upojeniu, a zarazem o naszych milczy. Któraś tam sława w Stanach Zjednoczonych za reklamę niezdrowego klopsika w sosie dostała pół miliona dolców, druga lub drugi, płęć bez znaczenia, za występ w portkach jakiejś firmy zgarnęła trzy miliony, ktoś za rolę otrzymał piętnaście, inny za mydełko półtora...

A ile dostają goście, zaproszeni do naszej telewizji?

Zaproszona osoba zazwyczaj pracuje i jeśli jest znana, to z osiągnięć w pracy. Prawnik, lekarz, pisarz, grafik, nauczyciel, kowal, chemik, botanik, nurek... Skoro ma osiągnięcia, niewątpliwie pracuje rzetelnie, poświęcając zajęciu czas, siły i zdrowie, i żyje z tego, co swoją pracą zarobi. (Bez wątplenia uczciwie, bo osiągnięcia oszustów i złodziei jakoś mało się na ekranie eksponuje. Jeśli już, to raczej straty, na jakie skarb państwa narazili.). Pomijając już to, że omawiana osoba zazwyczaj ma życie prywatne, na które jej brakuje wszystkiego, z czasem i siłami na czele. I takiego człowieka odrywa się od pracy, zabiera mu się czas, także siły i zdrowie, w zamian dając co?

Telewizja uważa, że reklamę. Jaką reklamę? Na tego nurka się rzucą, żeby zatrudnić go przy poszukiwaniu galeonów hiszpańskich? Grafika przytłoczą propozycjami? Skoro on znakomity, zleceń ma i tak po dziurki w nosie. Dzieła malarza zaczną kupować, książki pisarza czytać? O, rzeczywiście, szczególnie, jeśli grafik ma wystąpić w widowisku o szkolnych figlach i psotach, pisarz zaś zwierzyć się ze swoich błędów kucharskich i uczuciowych pomyłek młodości.

Żaden wyglup, nic z tych rzeczy. Mnie osobiście usiłowano zaproponować występ w programie muzycznym, gdzie miałam udawać, że śpiewam. Zaszczycem poczułam się ogłuszona tak, że pozwoliłam sobie odmówić.

(Przypominam, a napisałam to już chyba w którymś tomie „Autobiografii”, iż u mnie w pracowni wymyślono doskonały sposób dodatkowego zarobkowania. Mianowicie będę śpiewać po podwórkach z towarzyszeniem jakiegokolwiek instrumentu, ludzie zaś będą rzucali złote dolary, żebym tylko, na litość boską, wreszcie poszła. Cała pracownia się wzbogaci.)

Z jakiej racji zatem telewizja, która wszak nie pracuje altruistycznie, miałaby podwyższać swoje zyski kosztem zarobków ludzi, nie mających z nią nic wspólnego? Niech to będzie pracownik warsztatu mechanicznego, nie odwała przecież w tej chwili swojej roboty, tylko denerwuje się przed kamerą, to, co dla niego ważne, i tak mu wytną, a przez ten czas traci jakąś część swojego dochodu. To w porządku? A twórca? Jeszcze gorzej.

Niech oni może wreszcie przestaną pławić się w przekonaniu, iż dla każdego jego gęba na ekranie stanowi szczyt szczęścia, i niech zaczną za to płacić.

Powyższe jest klinicznym przykładem wołania kota na puszczy.

Wyjawiam tu swoje prywatne doznania i poglądy. No dobrze, a gdzie, do pioruna, mam je wyjawiać, jeśli nie w autobiografii? Po to ją przecież piszę, do licha, poza wszystkim, jestem o te rzeczy pytana, korzystam i odpowiadam hurtem! Może i wychodzę wstrętnie, no to co, któż uwierzyłby w moją anielskość, to jedno, a drugie, wywiad-rzeka pana Tadeusza dokopał mi tak, że już nic gorszego sama sobie nie zrobię.

Ani moda na użytkowanie osoby niezgodnie z przeznaczeniem, ani moda na wiwisekcję i patroszenie jako tako znanej postaci nie budzi we mnie najmniejszego entuzjazmu. Bo tak w gruncie rzeczy, co to kogo obchodzi, jakie ja mam hobby? A może wstydlive? Może namiętnie popełniam szwejkowskie wszeteczeństwa? Może podglądam sąsiadów? Co kogo obchodzi, czym ja piszę, a może gęsim piórem i sadystycznie żywym gęsiom te pióra wyrywam? Kto miałby ochotę przyznać się do tak nagannych upodobań?

Mogę, ostatecznie, przyznać się do czegoś, czego osoby nieporządne okropnie nie lubią pokazywać. Osoby porządne niekiedy też nie, aczkolwiek mogłyby się nawet pochwalić idealnym porządkiem, ale to jest ich prywatne, intymne, jakieś sedno duszy, nie do wystawiania na pokaz. Przeciwnieństwo ekshibicjonizmu.

Jeśli kogoś dziko interesuje moje prywatne i intymne, proszę uprzejmie, mogę zaprezentować zawartość szuflady, która zawiera w sobie wszystko potrzebne, bliskie mojej duszy, jakieś sedno egzystencji. Szuflada znajduje się tuż za mną, zajrzę do niej i zaraz powiem, co się w niej znajduje. Uczciwie powiem, bez łgarstwa.

Otóż zawiera ona w sobie: zapas długopisów i flamastrów, jedną skalówkę, taśmy klejące, mnóstwo spinaczy, taśmę mierniczą, podręczny kalkulator, klipsy do włosów, przeze mnie używane do papieru, śrubokręt, małą lupę filatelistyczną, nie, przepraszam, trzy lupy, foliową torebkę pełną śrubek i wkrętów, parę gwoździków tapicerskich, kilkanaście żetonów z kasyn, tajemniczą sprężynkę do skoroszytu, przyrząd do mierzenia odległości na mapach, pęsetkę do brwi, coś małe, żółte, do jakiegoś czyszczenia, dwie kulki z korka, każda z ogonkiem do zawieszania, ale nie wiem przy czym, kilka pasków do zegarka, pojedynczą pochewkę na kartę kredytową, mały kawałek irchy i zdumiewającą ilość jednorazowych chusteczek do nosa i do okularów, tworzących kłębowisko, które przeszkadza cokolwiek tam znaleźć. Miałam jeszcze czerwone pióro gęsie, otrzymane w symbolicznym prezencie, ale właśnie je wyjęłam i wetknęłam do wazonika. Bardzo dekoracyjne.

Myślę, że zawartość szuflady uzupełnię, bo jeszcze się tam parę drobiazgów zmieści.

No to jak? Wystarczy tej prywatnej intymności? *ik ii; ■&*

No i teraz wreszcie złapię się za wywiad-rzekę pana Lewandowskiego.

Żeby nie było nieporozumień:

Pana Tadeusza Lewandowskiego bardzo lubię, ponieważ posiada cechę wprost precudowną. Mianowicie z samej głębi duszy, z organizmu, z biologicznego ukształtowania jest prawdziwym, porządnym, uczciwym dziwkarzem. Co polega na tym, że po prostu kocha wszystkie kobiety. Ma do nich stosunek uczuciowy, tkliwość, upodobanie, czułość i co tam kto jeszcze chce, przy czym wiek kobiety nie ma znaczenia, może mieć osiem lat albo sto osiem, z seksem nie wiąże się to w najmniejszej mierze, co rozumiem doskonale, ponieważ podobny stosunek mam do kotów, ślepe kociątko domowe czy dorosły tygrys ussuryjski, urocze, Kocham to całą sobą z czułością bezmierną.

I nawet objawy są podobne. Pan Tadeusz chętnie całuje jednostki płci żeńskiej, z Horpyną i Babą Jagą włącznie, a mnie się ręka sama wyciąga, żeby pogłaskać tygrysa ussuryjskiego tak samo, jak małe kociątko.

Dzięki tego rodzaju nastawieniu pan Tadeusz bez najmniejszego trudu wmawia we mnie, iż jestem czymś w rodzaju bóstwa. Cudownie piękna byłam w młodości, cudownie piękna jestem nadal (może to jakaś sitwa z telewizją...?), zalety wewnętrzne posiadam zgoła kosmiczne i nie ma na świecie istoty cenniejszej niż ja.

A któż, bez względu na płeć, nie chciałby czegoś podobnego o sobie się dowiadywać? A kobieta szczególnie.

Dzięki czemu pan Tadeusz, niekiedy nawet bezwiednie, podtrzymuje mnie na duchu i nie pozwala popaść w depresję, do czego wprawdzie nie mam skłonności, ale przy odrobinie większych staraniach otoczenia... Kto wie?

Osobliwość sytuacji polega na tym, że pan Tadeusz mnie nie czyta. A jeśli nawet czyta, to pod przymusem, niechętnie, po łebkach, i czym prędzej zapomina, co przeczytał. Znacznie chętniej pan Tadeusz czytuje utwory wzniosłe i dla większości społeczeństwa niezrozumiałe (dla mnie też), tak zwane trudne (w tym poezje), zawierające w sobie dywagacje skomplikowanej duszy, rozmaite rozterki, wnioski z doznań i odbiór przygniatającego świata, gnębiące i niepojęte. Z reguły pisane przez mężczyzn. (Co potwierdza moje mniemanie, że kobiety zgłupiały zupełnie i wdeptały mężczyzn w szpary od podłogi.). Jeśli są to utwory kobiet, pan Tadeusz preferuje krwawy seks, o który niesłusznie zostałam, może z rozpędu, posądzona, to niby co on ma czytać mojego?

Chyba mu nawet trochę współczuję...

Co powinien zrobić jako mój agent, napisałam w epilogu do jego książki. Teraz zajmę się nią od początku, ponieważ prawdą jest, że przerozmawialiśmy nieprzeliczoną ilość godzin w sposób przyjacielski, przy moim kompletnym zapomnieniu, że mówię do dyktafonu. Zdarzały się zwierzenia, o których za życia nie zdołam chyba napisać. Przejmujące tak przeraźliwie, dławiące, jak śmiertelna choroba, którą za wszelką cenę chciałoby się z siebie wyrzucić, zabroniłam panu Tadeuszowi o tym pisać, co uszanował. Kompromitujące i śmieszne, niech sobie będzie, niech zostaną, ale nie tragiczne. Nie sprawa niegrzecznego dziecka, nie psa w Związku Radzieckim... Nie, przepraszam, nie mogę. Gdybym zdecydowała się i była w stanie napisać utwór tragiczny, po którym nikt nie zachowałby suchych oczu, a może i gorzej, materiału mam powyżej czubka głowy. Nie chcę. Nie zamierzam obdarzać społeczeństwa koszmarami.

Jestem ZA życiem, a nie PRZECIW.

Przeciw sobie się zgodziłam, ale nie przypuszczałam, że tak niezwykle to wyjdzie.

Teraz widzę, że nie należało robić wywiadu, w którym rzekomo własną gębą wypowiadam jakieś słowa. Nie są to słowa moje, tylko pana Tadeusza i jeśli teraz sam sobie obrzydnie, uznam to za godne pochwały działanie erynii, patronujących światu w dzisiejszych czasach może i delikatniej, ale jednak trzymających rączki na pulsie. Dobrze im życzę.

Należało, jeśli już ktoś (pan Tadeusz) chciał, opowiedzieć wszystko własnymi słowami. Od siebie, od autora. Forma wypowiedzi nie jest moja i sama sobie wydaje się osobą całkowicie obcą. Przeraża mnie myśl, że tak rzeczywiście wyglądam na zewnątrz, że wszystko co mówię, wszystkie odczucia, wyrażane słowami, tak kompletnie wypaczają mnie samą, taką, jaką siebie widzę i jaka chciałabym być.

Wcale nie wiem, czy rzeczywiście bym chciała. Nie zawsze się sobie podobam...

Dobra, jedziemy po tekście.

Już sam początek świadczy, że pan Tadeusz nie przeczytał dokładnie „Autobiografii”. Wszystko, co zamieścił, napisałam porządnie, jak pamiętałam i pamiętam, nieco innymi słowami i w innej formie, bliższej mi, zgodnej z moimi odczuciami. Było przeczytać, nauczyć się na pamięć i nie zawracać później głowy. Jeśli ktoś chce jednostkę ludzką wybebeszyć, musi o niej przeczytać, ile się da i oprócz tego jeszcze trochę.

Dziwię się, swoją drogą, że pan Tadeusz wytrzymał to samo gadanie w kółko. Przecież się powtarzałam!

Ogólnie biorąc, tak bardzo tego początku się nie czepiam, irytują mnie głównie błędy merytoryczne. Owszem, wielokrotnie gawędziliśmy przy czerwonym winie, które zostało mi zalecone przez kardiologa, z tym że kardiolog miał na myśli dwa kieliszki, a nie całą flachę. No, kieliszek kieliszkowi nierówny, mam takie, w które pół flachy wejdzie swobodnie, co jeszcze nie świadczy o popadnięciu w stupor. O ile sobie przypominam i na ile mogę wierzyć moim przyjaciołom, na bani wyjawiałam raczej tajemnice prawdziwe, nie zaś konfabulacje. Mogłam wyznać w owej pogawędce własne bulwersacje wewnętrzne, ale nie wymyślać głupoty. Bez przesady, proszę.

Autoryzowałam ów wywiad. Owszem, jęcząc w głębi duszy i w pierwszej kolejności wyłapując najgrubsze nieścisłości...

(Chociażby wieść, jakoby Marcin, nasz kumpel z zawodu, Alicji i mój, o dychę ode mnie młodszy, miał być synem Wojtka, ode mnie o dwa lata starszego. Pan Tadeusz, jako humanista, ma prawo nie umieć liczyć, ale chyba w ograniczonym zakresie, dodać i odjąć potrafi, jakim cudem jakikolwiek facet pod naszą szerokością geograficzną mógłby spłodzić potomka w wieku lat dwunastu...?! Albo pomylenie mojego siostrzeńca, Witka, z dyrektorem BLOK-u? Nazwiska różniące się jedną literą, ale jednak pomyłka istotna! I żeby tylko! Zwyczajne uproszczenie, wprowadzone przez pana Tadeusza, na tle syna pani Andrzejewskiej z pensjonatu „Solmare” we Władysławowie, przyprawia mnie o bezsenność. Jakie znowu wakacje, z nim spędzane, bzdura śmiertelna, nawet nie wiem, jak mu było na imię, lekarz pediatra, który brał dwumiesięczny urlop i przez ten czas leczył dzieci w pensjonacie swojej matki, oraz okoliczne, czyste złoto i perła dla matek z dziećmi na urlopie! A wyszło, że co najmniej mój przyjaciel, jeśli nie gach. W moim wieku był, może ciut starszy, jego rodzina zapewne jeszcze żyje, miałyby prawo wytoczyć mi sprawę sądową za oszczerstwo, i na co mój własny agent mnie naraża...?!)

...straciłam z oczu resztę treści. Później zaś opisywana baba stała mi się całkowicie obca. Głędziła ta baba, nader emocjonalnie, o rozmaitych aspektach politycznych swojej wczesnej młodości... niewątpliwie coś na *ten* temat w „Autobiografii” napisałam.. ale tu znalazły się wypowiedzi spontaniczne, nieprzemyślane, nieprecyzyjne, raczej wybuchy uczuć niż intelektu, o ile o intelekcie w ogóle można w odniesieniu do tej baby mówić...

Teraz mogę stwierdzić, że w tym akurat miejscu pan Tadeusz wykazał się kompletną nieznajomością tematu, czemu trudno się dziwić, bo jeśli nawet znalazł się już na świecie, to raczej jako uciążliwe niemowlę, a nie pracujący i myślący człowiek. Nikt, kto nie przeżył tych czasów, nie pojmie ich w pełni. Syty głodnego nie zrozumie. W dodatku my, ludzie już w owej chwili dorośli, na człowieczeństwie wychowani, zachłyśnięci w pierwszej chwili końcem wojny, niepodległością, wolnością, znaleźszy się nagle w obliczu Orwella... W dodatku co głupszy i bardziej łatwowierny, jak ja, widząc to wyjście z dna warstw społecznych, wcześniej gnębionych...

O ile udaje mi się dzisiaj sobie przypomnieć, nigdy nie uważałam się za coś uprzywilejowanego

z racji samego istnienia. Z racji czytania, wykształcenia, umiejętności, zapału do pracy, owszem, możliwe. Ale te właśnie rzeczy stały się wszystkim dostępne, jakim prawem zatem miałabym przeciw temu protestować?

Jakoś to w tym wywiadzie nie wyszło. Zgadzam się ogólnie robić za kretynek pod rozmaitymi względami, głupia byłam jak próchno przez mnóstwo lat, wad miałam zatrzęsienie. Tym bardziej zatem nie zgadzam się na przypisywanie mi dodatkowych, a także większej ilości głupoty, bo mojej własnej, prawdziwej, całkowicie mi wystarczy. Wad również.

Ewidentne pomyłki są sprawą najprostszą, niech ją zatem załatwię.

To, co ojciec moich dzieci elegancko zeżarł w wieku lat czterech, to był tort ponczowy, a nie tęczowy. Możliwe, że ja niewyraźnie mówiłam, z dyktafonu nie wszystko daje się odsłuchać, poza tym kogo w końcu ten cały tort obchodzi, ale osoby dociekliwe mogą mnie spytać, na czym produkt polega i jak się go przyrządza. I będą niezadowolone, bo skąd im wezmę taki smakołyk?

Zasadniczy element wykładów profesora Poniza pan Tadeusz pominął całkowicie, a dowcip polegał na tym, że pan profesor operował całkami. Wszystko inne przy dużym wysiłku może zdołałabym zrozumieć, całki mnie, niestety, wykończyły.

I po co było powtarzać tę cholerną „Autobiografię”, w dodatku niedokładnie...?

Na wyścigach czołowy dżokej toru wcale nie wołał do żony „Kasiu”, tylko „kochanie”, co w zestawieniu z prawdziwym okrzykiem ma swój specyficzny smaczek i wypraszam sobie, żeby mi to zmieniać. Szczególnie, że owe słowa pan Tadeusz mnie w usta wkłada.

Chciałam tu wyrazić swoją opinię i wprowadzić drobne korekty grzeczniutko i subtelnie, ale zaczyna mi się coś robić. Gdyby pan Tadeusz te wszystkie, obce mu z racji wieku i skłonności, głupstwa pisał od siebie, a niechby, co się mam czepiać, ale z tekstu wynika, że ja coś podobnego powiedziałam! A w życiu...!!! Sceny z lat czterdziestych i pięćdziesiątych wyglądały zupełnie inaczej, miały kompletnie odmienny charakter, opisałam je sama z łezką rozrzewnienia w oku, starając się oddać atmosferę tamtych czasów, i NIE MOGŁAM ich teraz tak przedstawić!

A w ogóle pan Tadeusz powinien był przedtem przeczytać Tyrmanda, „Złego” mam na myśli, skoro „Autobiografii” nie wytrzymał. Z pewnością kiedyś tam go czytał, ale w głębi duszy i umysłu niewiele mu zostało.

Nie żadne PEWEX-y w owych czasach istniały, tylko zwyczajne PKO, czyli Polska Kasa Opieki, sprzedająca różne rzeczy wyłącznie za dolary, a ściśle biorąc, za bony PKO. Gotówka była źle widziana, czarny rynek kwitł, dolary były droższe niż bony, zważywszy zaś, że istotnie mój kontakt z instytucją był nikły, nie potrafię przypomnieć sobie, kiedy dokładnie nastąpiła zmiana nazwy i rozluźnienie obyczajów finansowych. Wiem tylko, że jeszcze w początku lat siedemdziesiątych nie mogłam kupić oleju silnikowego w jakiejś stacji benzynowej, bo nie miałam przy sobie bonów, tylko dolary w gotówce. PEWEX-y, cha, cha, to już była wyższa szkoła jazdy i prawie Europa.

Bony PKO dokładnie przypominały mi się na Kubie, bo tam właśnie cudzoziemiec powinien był dysponować czymś takim kubańskim. Mnie zaś powinno było zaopatrzyć w to Ministerstwo Kultury, które nabrało wody do pyska i pojechałam jak głupia, mając przy sobie peso kubańskie, przydatne do zawieszenia w toalecie. Od tamtego czasu, przykro mi, nie szanuję ministerstw i nie powiem, za co je uważam.

(Zdaje się, że mam objawy skrętu kiszek.)

No i proszę, drobna zmiana formy i już wychodzi coś innego. Nie moje to i nie przeze mnie prezentowane, czytając tę przetworzoną treść, sama sobie zaczynam się wydawać sklerotyczną



debilką, która wczesną młodość spędziła w Australii i głupkowato podszywa się pod przeżycia warszawskie.

I sama jestem temu winna. Po kiego grzyba zgodziłam się na formę wywiadu...?!!!

Że pan Tadeusz myli lewą i prawą stronę ekranu przy „Biblii”, to już chyba jakieś fatum nade mną ciężące, wypisz-wymaluj to samo zrobiono mi w pierwszym wydaniu „Krokodyla z kraju Karoliny”, dzięki czemu tekst stracił sens. I miło mi, że przynajmniej jestem w dobrym towarzystwie, bo Kraszewski nigdy w życiu nie napisał żadnych „Zmartwychwstańców”, tylko w cyklu historycznym napisał „Braci zmartwychwstańców”. Ale niech już się w grobie przewraca beze mnie.

I jeszcze raz mówię, po co było, do licha, powtarzać napisaną znacznie wcześniej „Autobiografię”? Nie musiałabym teraz prostować elementarnych rzeczy, nie radio było dla mnie gatunkiem owada, tylko prąd. Elektryczny! Że do dziś się mój pogląd nie zmienił, to się zgadza.

I skalówki mieliśmy w biurze projektów, a nie stalówki, bądź co bądź te przyrządy różnią się nieco od siebie i wysoce denerwująca jest dla mnie supozycja, że mogłabym je pomylić. Wytykam, co prawda, swój wiek na każdym kroku, ale tak stara, żeby w miejscu pracy, po studiach, używać jeszcze stalówek, mimo wszystko nie jestem. Redisówki, rondówki i piórka do tuszu to nie jest to samo co stalówka, żądająca atramentu.

Geografii dam spokój, nie do Kanady wtedy leciałam, przy tych cudownych widokach, tylko na Kube, ale istoty ludzkie czuję się zmuszona skorygować. Moja kumpelka ze studiów i pracy, ta w Syrii, to była Hanka Dobrzańska, przyjaciółka-sędzina zaś nazywa się Ania Dobrzyńska. Anię przeproszałam już ustnie, teraz czynię to na piśmie, Hance, jak sądzę, wszystko jedno, ponieważ od kilku lat nie żyje.

Ponadto na giełdę do Słomczyna pojechałam wcale nie przy „Pechu”, tylko przy „(Nie)Boszczyku mężu”.

I nic by mi nie przeszkadzało, że pan Tadeusz bardzo dowolnie traktuje składnię i pisownię duńskich nazw i nazwisk, w końcu wszyscy przekręcaliśmy tam, co tylko się dało, spolszczając obce słowa w najprzedziwniejszy sposób, gdyby nie to, że czyni to inaczej niż w tekście przeze mnie gadanym. Niechby w swoim, proszę bardzo, ale nie w moim! Ja nie chcę, nie zgadzam się wypowiadać na cudzy sposób i cudzymi słowami!

Tu przy okazji uczynię dygresję, którą, zdaje się, czynię we wszystkich książkach, coraz silniej zgrzytając zębami. NIE POWIEDZIAŁAM „dwoma katastrofami”, choćby nawet te katastrofy były najwspanialsze w świecie! Zadławiłabym się, mówiąc „dwoma rękami, dwoma nogami, dwoma paniami”... Bo co to jest? Ten katastrof czy ta katastrofa? Człowiek ma dwa ręce, dwa nogi, po ulicy idą dwa panie...?

Dwie. Dwie! DWIE...!!!

W tej akurat dziedzinie mam gdzieś tolerancję i wychowywanie bez stresów. Jeszcze z trumny wystawię łeb, zaświatowym krzykiem żądając poszanowania gramatyki, na której całe bogactwo polskiego języka jest oparte!

Wszystko panu Tadeuszowi mogę przebaczyć, ale nie te dwa katastrofy, rzekomo z moich ust wychodzące!!!

(Także zgrzyt zębów z moich ust wychodzi i zdaje się, że już to pisałam parę razy, ale będę pisać aż do skutku, albo zostanie zrozumiane i uwzględnione, albo mnie ktoś kropnie i będę z głowy, ale jeszcze i na tamym świecie nie przestanę się upierać.

Nastąpiła jakaś pomyłka, nie wiem kiedy i nie wiem, przez kogo po raz pierwszy popełniona.

Dwa aforyzmy zostały dziwnie wypaczone i nie do pojęcia jest, że nikt na to nie zwrócił uwagi.

Jeden: nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki.

Nic podobnego! Bzdura! Do tej samej rzeki, do Wisły, do Odry, do Sekwany, można sobie wejść i pięć tysięcy razy, po stu latach ciągle to będzie ta sama Wisła, Odra, Sekwana! I niech cholernik włązi do niej, ile mu się spodoba, nie w tym sedno rzeczy. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej WODY!

Włązi do Wisły w tym samym miejscu, pod tym samym krzaczkiem i ciągle to jest ta sama Wisła, ale inna jest WODA. Tej samej wody już nie zastanie, nawet gdyby to nie była rzeka, a zwykły staw, to woda jest zmienna, nie zaś akwen, jako taki! Poprzedniej wody nie znajdzie, choćby pękł!

Nie wchodzi się dwa razy DO TEJ SAMEJ WODY!

I drugi: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Kretyństwo absolutne. A ci poprzedni to co, nie śmieli się? Rżeli, aż szyby drżały, ich śmiech ma się nie liczyć? A niby dlaczego?

Ten się DOBRZE śmieje, kto się śmieje ostatni.

I na tym cały dowcip polega. Stado głupków rechocze, a ten jeden milczy i czeka zakończenia, bo wie co będzie. I głupkom śmiech grzęźnie w gardle, dławią się może nawet cokolwiek, a ten ostatni wreszcie ma prawdziwą uciechę. Oni się śmieli głupio, a on się śmieje radośnie i DOBRZE.

I dlaczego to ja, nieszczęsna, muszę społeczeństwu wylupywać, a nie nasi wielcy Znawcy Języka, którzy co trzy miesiące zmieniają zasady stawiania przecinków? A, rozumiem, zbyt są zajęci przecinkami...)

Przeraża mnie śmiertelnie myśl, że ktoś, oglądając mój wizerunek, stworzony przez pana Tadeusza, mógłby weń uwierzyć.

Bo niby pan Tadeusz nie nalgał tam zbyt, może nawet nie nalgał wcale, ale wygrzebaną ze mnie prawdę cokolwiek przeinaczył. Troszeczkę odjął, troszeczkę (taką większą troszeczkę) dołożył, formę nadał temu bliską własnemu sercu, mojemu obcą, dodał coś, co mu z mojego gadania wynikło na zasadzie naturalnej konsekwencji ogólnego poglądu. Skoro ktoś, generalnie biorąc, tak właśnie myśli i odczuwa, powinien dalej, w szczegółach, twardo iść drogą myśli i odczuwać. Uczynił za mnie kolejny krok.

A ja mam gdzieś konsekwencje i kicham na powinności, czego nijak nie zrozumie żaden mężczyzna, nawet uwielbiający kobiety.

Wyjątkowo zacytuję, bo aż mnie trzęsie.

„Pragnęłam, żeby moje dzieci odziedziczyły coś silnego także i po ojcu” - napisał pan Tadeusz.

Akurat miałam w głowie dzieci i ich dziedzictwo, kiedy w wieku ledwo ukończonych osiemnastu lat zakochałam się w ich ojcu! Mogłam mieć rozmaite życzenia, ale, uczciwie mówiąc, to właśnie nigdzie mi nawet nie zaświtało. Taka sama głupia dziewczucha jak wszystkie inne, no, pokolenie wojenne, więc może nieco dojrzalsza, ale przecież nie w dziedzinie, która trwa w niezmiennym postaci od epoki kamienia łupanego! Pomijając już to, iż godziny rozmów z panem Tadeuszem odległe były od tamtych chwil o pięćdziesiąt pięć lat, przeszło pół wieku! Przez pół wieku najgorsza idiotka potrafi ocenić jakoś przeszłość, zanalizować rodzinę i całe otoczenie, powyciągać wnioski, poznać choć trochę siebie i swoich przodków, wyrazić życzenia, jakie mogła czy powinna była mieć w owym zaprzesłym momencie. Ale skoro ta idiotka w owym momencie już coś myślała, pan Tadeusz drogą logicznych, męskich skojarzeń, przypisał jej cały dalszy ciąg.

Nic podobnego nie powiedziałam, a jeśli nawet powiedziałam, to całkiem inaczej.

Nie jest łatwo wdawać się w wydarzenia historyczne, szczególnie kiedy ich uczestnicy jeszcze żyją.

Za skarby świata nie potrafię przypomnieć sobie, w którym roku z komunikacji miejskiej znikli konduktorzy, w każdym razie w czasie pisania przeze mnie „Lesia” jeszcze istnieli, „Lesia” zaś pisałam gdzieś w okolicy sześćdziesiątego trzeciego roku...

(Zdaje się, że właśnie konduktorzy zwrócili moją uwagę na różnice pomiędzy płcią męską a płcią żeńską i dzięki nim pierwsza jaskółka zaświergotała mi na tym tle jeszcze przed osiągnięciem pełnoletności. Otóż pierwotnie chodzili oni po wagonie, z wysiłkiem przedzierając się przez tłok, mieli uwieszone na sobie przepastne torby i z tych toreb wygrzebywali bilon, żeby ludziom wydawać resztę, później dopiero dostali dla siebie miejsca siedzące na podwyższeniu przy drzwiach. Torby jednakże pozostały w mocy.

No i każdy facet, chciałam powiedzieć konduktor płci męskiej, wyciągał z torby garść monet i mając je na dłoni, z łatwością wybierał właściwe. Każda natomiast konduktorka, jednostka płci żeńskiej, gmerała w torbie, wydłubując po jednej albo po dwie sztuki, na właściwe nijak nie mogąc trafić. Zjawisko występowało nagminnie i nie istniały w nim wyjątki.

I jak ja się mam bez protestu pogodzić z równouprawnieniem...?!)

...Z całą pewnością byłam już wtedy głównym projektantem w trzecim kolejnym miejscu pracy, zatem studia, egzaminy i skrypty były daleko za mną. Zbitka niezaradności mojej matki i niemowlęctwa parku Dreszera w wykonaniu pana Tadeusza nie zwróci niczyjej uwagi, poza moją, a mnie dławi, bo doskonale wiem, skąd pochodzi. Zwyczajne skojarzenie, przeskok w czasie, hopka z biletami nastąpiła w Kanadzie, w roku osiemdziesiątym siódmym (albo ósmym, nie będę się upierać), i to wszystko razem nie miało ze sobą nic wspólnego.

Pan Tadeusz po prostu zebrał do kupy wydarzenia, dotyczące tematu, i ugniótł je w jeden pasztet.

A ostrzegałam, że nie należy pisać utworów „Co autor myślał”, dopóki ten autor jeszcze żyje...!

Chociaż, gdybym już znajdowała się na tamtym świecie, nie dam głowy, czy nie zaczęłabym straszyć po nocach...

Przy okazji uprzejmie komunikuję, iż nie kupowałam butów w ukochanym kraju nie dlatego, że były śmiertelnie brzydkie, nic podobnego, zdarzały się nawet prześliczne, tylko dlatego, że wykonywano je z kuloodpornej stali. Były tak wściekle twarde, że żadna przeciętna noga nie dawała im rady i po narodzie szalały odciski, odgniecenia i pięty w plastrach i bandażach. Źle garbowano skóry, wszystkie skóry, i te na buty, i te na rękawiczki, i te na kurteczki, i te na portmonetki. Mieliśmy bardzo piękne torebki damskie, przy czym, dziwna rzecz, tego towaru nigdy nie brakowało, ale wśród orgii urody nie napotkało się ani jednej sztuki miękkiej. No, przy torebkach to mniejszy problem, ale przy butach...?

Zdaje się, że, przerabiając mnie nieco, pan Tadeusz zasugerował się szalejącymi ostatnio opiniami o brzydocie PRL-u. To nie była brzydota PRL-u, to była bezgraniczna brzydota ustroju, który gnębił nie tylko poczucie estetyki, szedł dalej, gnębił człowieczeństwo. Krowie czy świni obojętna jest uroda koryta, z którego konsumuje pożywienie...

Aczkolwiek osobiście stwierdziłam, że koń (ściśle biorąc, klacz) znacznie chętniej zeżre różnokolorowy bukiet zielska niż zestaw jednobarwny. Możliwe jest zatem, iż nawet zwierzętom uroki otoczenia, w jakim żyją, robią jakąś różnicę.

Z czego wynika, że usiłowano wtłoczyć nas na poziom poniżej zwierząt.

Gdybym operowała takim językiem, jaki przypisuje mi pan Tadeusz, za skarby świata nie

wziąłabym do ręki żadnej mojej książki.

Mam straszne podejrzenia.

Milion razy we wstępie do wywiadu-rzeczki pan Tadeusz podkreślał, że nie naśladuje mnie, nie próbuje nawet, pisze po swojemu, nie po mojemu, własnym językiem, nie moim, używając formy jemu właściwej, nie mnie. Potwierdzam ten komunikat w całej rozciągłości.

Tylko, po pierwsze, wstępów nikt nie czyta.

Po drugie zaś, inaczej pan Tadeusz pisze to, co od siebie, a inaczej to, co ode mnie. I forma się zmienia, i język, i słownictwo, i nawet gramatyka, i, ogólnie biorąc, jakoś dziwnie mu to wychodzi. Własnym językiem operuje swobodniej, unikanie mojego najwyraźniej w świecie sprawia mu przeraźliwe trudności, dzięki czemu robi się z tego beznadziejny prymityw, prostacki i wulgarny. Daję uroczyste słowo, że potrafię mówić złożonymi zdaniami, zawierającymi w sobie przecinki i nawet średniki. No, to ostatnie rzadko.

Ciekawe, swoją drogą, dlaczego ja tak nie lubię średników...?

Zważywszy, iż autor wywiadu niewątpliwie chciał po swojemu przekazać Czytelnikowi wizerunek rozmówczyni, wychodzi mi natrętnie, iż w głębi duszy i niech będzie, że podświadomie, uważa mnie za kuchtę umysłową.

Okropność!

Możliwe, że ma rację. Ale jeśli tak, Boże drogi, ileż ten człowiek musi namęczyć się ze mną...!

Upór pana Tadeusza w dwóch kwestiach, polityki i seksu, jeszcze pogorszył sprawę. Usiłując rozmawiać ze mną o latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych, twardo trzyma się pojęć i atmosfery lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, przypisując mi wypowiedzi, których w ogóle nie umiałabym wygłosić. Ani w tamtych czasach, ani dziś. Z lekkim cieniem nagany wypytuje mnie o moją działalność antyustrojową, a moja działalność antyustrojową wówczas polegała na awanturze w Zjednoczeniu o pustaki wentylacyjne, dzięki czemu dyplomatycznie wyrzucili mnie z pracy. Za skarby świata nie chciał i nie chce przyjąć do wiadomości, że nie znałam nawet nazwisk ekip rządzących, a fakt istnienia tajemniczej siły, paskudzącej kraj, dotarł do mnie dobrze po roku osiemdziesiątym.

O, właśnie! Przypomniałam sobie. Wszelka ówczesna działalność polegała na bezproduktywnym gadaniu, a ja zawsze lubiłam konkret. Teraz mi przychodzi do głowy, rychło w czas, że pan Tadeusz, wychowany w późniejszym znacznie okresie, został nieodwracalnie zarażony bezproduktywnym gadaniem...

Nieszczęsny człowiek! I czego ja się go czepiam...?

Ale muszę, bo furt jestem przestraszona. Naprawdę ktoś mógłby pomyśleć, że ja to wszystko i w takiej formie powiedziałam. Że ja, apolityczna całe życie, w wieku lat trzynastu mogłam zaopiniować, iż komuniści filmy nieagitacyjne dopuszczali na ekran. Skoro nawet i dziś nie chciałoby mi się i nie potrafiłabym ocenić, co było agitacyjne, a co nie, pomijając już fakt, że tacy to byli komuniści, jak ja arcybiskup. Pomyłone pojęcia i głupie slogany pan Tadeusz wkłada mi w usta, od czego moja wątroba drętwieje.

I z kim właściwie tak się upierał rozmawiać o płci, o miłości, o seksie, ze starą prukwą powyżej siedemdziesiątki? Przypomniała sobie babka dziewiczy wieczór, co? Nie mógł gadać ze mną na ten temat czterdzieści lat temu...?

A, nie, przepraszam, nie mógł. To znaczy mógł mógł, mówić niewątpliwie umiał, ale z pewnością wolał kopać piłkę, strzelać z procy, lać się z kumplami i psuć urządzenia mechaniczne. Ja zaś za

współpracą z dziećmi nigdy wszak nie przepadałam.

Coś mi w ogóle nie gra w stworzonym w owym wywiadzie wizerunku tak zwanej autorki. Doskonale sobie przypominam, że już w trakcie rozmów... Boże, a cóż to za eleganckie słowo! Rozmów...! Okrzyków, awantur, wybuchów emocji, drwin, pretensji... Nie, nie do pana Tadeusza, gdyby to maksymalnie streścić, chyba do Lenina, bez Lenina nie byłoby tej upiornej rewolucji i wszystkich jej konsekwencji... krytyk, wspomnień, na zmianę rzewnych i ponurych, żalów, ekspiacji, wstrętów i satysfakcji, zgrozy i ulgi... Jeśli coś podobnego można nazwać rozmową...

Ale nazwijmy, bo co nam szkodzi.

Już w trakcie rozmów zatem nie bardzo pojmowałam, o co pan Tadeusz mnie pyta. Teraz mam wrażenie, że usiłował mnie wtłoczyć w jakieś schematyczne ramy, czemu bardzo się dziwię, bo znał mnie już przecież osobiście od ładnych paru lat i orientował się w specyfice mojej egzystencji. Zaraz zresztą wyjawię szczegóły nietypowości... Podejrzewam, że chwilami ginął w nim gdzieś normalny, zaprzyjaźniony człowiek, a wyłaził dziennikarz, uporczywie dłubiący w tym, co mu nie pasowało.

Moje wejście w świat pisarski odbyło się w latach sześćdziesiątych, w latach dzieciństwa i bardzo wczesnej młodości pana Tadeusza. Nie znał tych czasów z autopsji, nikt by nie wpuścił do SPATiF-u czternastoletniego gówniarza, o trybie życia ówczesnej bohemy mógł sobie później poczytać i posłuchać. No i usiłował wepchnąć mnie w ten cały interes.

Nie, nie da rady. Niniejszym protestuję na piśmie.

W SPATiF -ie na spotkaniu towarzysko-służbowym byłam jeden raz w życiu, z osób obecnych pamiętam Marię Zientarową, zdaje się, że z mężem, Putramenta i, na rozum biorąc, Jerzego Pomianowskiego. A, i chyba Waldorff był, bo potem mnie pytano czy z Puzonem, a ja, o wstydzie, nawet nie wiedziałam, jak jego pies ma na imię. Z potwornym wysiłkiem starałam się na owym spotkaniu trzymać oczy otwarte i rozumieć, co kto do mnie mówi, Putrament powiedział wtedy, że okropnie nie lubi kobiet agresywnych i dlatego nie bardzo mu się podoba „Klin” i „Lekarstwo na miłość”, to akurat zapamiętałam, musiało mną wstrząsnąć i nieco mnie rozbudzić, reszta znikła w niedospaniu. Pan Tadeusz chyba naprawdę nie rozumie, co to znaczy przez kilka lat sypiać przeciętnie trzy godziny na dobę. A możliwe, że nawet tylko dwie.

Zaproponuję mu, żeby spróbował. Niedługo, dwa tygodnie, dwóch lat mu nie wtrzyję, ostatecznie, młodsza byłam wtedy, niż on obecnie.

I zajęta. Bez przerwy. A pan Tadeusz mnie pyta o jakieś Szlaki, Ścieki, nocne życie ludzi pióra...? Kota dosta! czy co? Moje nocne życie bazowało na rajzbracie i maszynie do pisania, a zaszczytne znajomości miałam nie powiem gdzie.

Ejże, czy te rozrywki elitarne to przypadkiem nie snobizm...?

Napisał taki głupek dwa wierszyki albo jedną książeczkę i już pęcznieje, bo znalazł się w towarzystwie wielkich? Znanych postaci? Bo szlaja się z nimi po tych ściekach? I naprawdę pan Tadeusz mógł mnie wepchnąć do tak idiotycznego worka...?!

Bo do okropnej megalomanii, która też gdzieś tam wyskoczyła, w ogóle się nie przyznaję. Już się widzę w charakterze nadętej znakomitości, odpędzającej od swego wysokiego progu rozmaite co podrzędniejsze postaci, królowa Saba się znalazła, ewentualnie ta kretyńka, siejąca rękawiczki po tygrysach i lampartach. No nie, to już całkowite nieporozumienie. Zipie we mnie ostatkiem sił szcążkowa nadzieja, że aż tak przeraźliwie głupia chyba nigdy nie byłam.

Razem wzięwszy, Bóg raczy wiedzieć dlaczego pan Tadeusz usiłuje koniecznie zrobić ze mnie kompletnie inną osobę niż jestem. Wytłumaczenie może być tylko jedno. Taka, jaka jestem, po prostu

okropnie mu się nie podobam...

I w ogóle dosyć mam już tego wywiadu-rzeki i tej kretyńskiej baby, która w nim występuje. Wielokrotnie bywam pytana, co sądzę o książce pana Lewandowskiego, nie udzielałam dotychczas odpowiedzi, oświadczając złym głosem, że udzielę jej na piśmie. No i właśnie to czynię.

Dostrzegam w tym utworze jeden zasadniczy mankament. Mianowicie: główną bohaterkę...

Pretensję do pana Tadeusza mam jeszcze jedną. Do siebie też i nie wiadomo, do kogo bardziej. Chyba wysuwam się na prowadzenie, ale nie eksponujemy tego przesadnie.

Otóż w czasie którejs podróży, w Paryżu, pojawiła się przed nami na tylnej ścianie ciężarówka reklama piwa w postaci różowego słonia. Absolutnie i bezwzględnie różowy słoń z „Lesia”!

Zaraz, spokojnie. „Lesia” pisałam w latach sześćdziesiątych, prawie czterdzieści lat temu. Tak długo ta reklama nie istnieje, pojawiła się później, zatem zerżnięta ze mnie, zatem plagiat! Natychmiast wytaczamy im sprawę sądową, co oni sobie myślą!

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że reklamiarz „Lesia” nie czytał i wpadł na pomysł sam z siebie, ale kto wie? Może on nasz z pochodzenia? Może to i przypadek, ale jakież korzystny dla mnie, firma wybroni się bez trudu i żadnego odszkodowania nie dostanę, ale wszak nie o odszkodowanie tu idzie. Cóż za reklama...!

Należało coś zrobić, chociażby dla uciechy, bodaj porozumieć się z jakimś prawnikiem, adwokatem francuskim, naszym, jakimkolwiek, pan Tadeusz francuski język zna lepiej ode mnie, może mniej gramatycznie, ale zasób słów zdecydowanie ma większy i, w przeciwieństwie do mnie, rozumie, *co* mówią do niego, powinno się bodaj spróbować. A kto wie? Coś, w każdym razie, by z tego wynikło, a zważywszy drapieżność prasy, szanse istniały.

Zrezygnowaliśmy, bardzo zgodnie, z wysuwania pretensji do zbankrutowanego wydawnictwa, które bezprawnie wznowiło jedną moją książkę, wcale za nią nie płacąc, uznaliśmy, że suma tysiąca dwustu złotych nie jest warta naszego czasu i wysiłków, szczególnie że, skoro egzystujemy w kraju bezprawia, suma nie do odzyskania, zrezygnowaliśmy jeszcze prędzej z czepiania się o ewidentny, bardzo idiotyczny plagiat, popełniony przez zupełną kretynkę, także o drugi plagiat, popełniony przez osobę podobną, teraz moglibyśmy uchwycić się tego słonia. Honor dla nas, forsa dla nich, ale reklama jest!

I tu pan Tadeusz mnie zniechęcił, zamiast pchnąć do przodu. Jakoś mu to nie leżało, nabrałam obaw, że zaraził się ode mnie niechęcią do załatwiania, nie ruszył sprawy. A bo ja wiem, czy to dobrze? Do dziś mam pretensję i potworną ilość wątpliwości, prawie ten słoń śni mi się po nocach. Honor, owszem, niech będzie, ale aż tak bardzo kameralnie...?

W tym akurat wypadku wołałabym publiczniej.

Żeby nie przesadzić z krytykanctwem i katastrofizmem, uczynię chyba mały skok w bok dla ulżenia atmosferze.

Jedyną instytucją, poniekąd... jak by tu... Bo przecież ten cały gniot medialny jest przejawem jakiejś popularności, której każda istota, pracująca niejako dla ludzi, jest spragniona. Popularność świadczy o tym, że udało jej się osiągnąć cel, wykonać zadanie, do tych ludzi trafić. Sama przyjemność! Zmacona nieco objawami...

Jedyną zatem instytucją, która zaoszczędziła i zaoszczędza mi gniotu jest zachwycające Towarzystwo Wszystko Chmielewskie, które, zdaje się, realizuje cel mojej całej pracy i doskonale się bawi, za co niech im Pan Bóg da zdrowie. Słowo daję, niczego ode mnie nie chcą, nie proponują mi występów, wywiadów, wyjazdów... Ciekawe, wszystko „wy”... Do niczego nie przymuszają, a

propozycje zgłaszają raczej dosyć ludzkie. W dodatku niepojętym sposobem odnajdują dla mnie książki, poszukiwane od prawie trzydziestu lat, i zaczynam wierzyć, że odnajdą nawet tego Livingstone'a, zaginionego w czasie okupacji. Rany boskie, co za ludzie...! Wątpię, czy na nich zasługuję, ale do wątpliwości się nie przyznam, będę robić za świnię.

No dobrze, ujawnię.

Za pierwszym razem spotkanie w czarującej „Szpulce” może i zaskoczyło mnie nieco, ale to nie mnie kazali szczebrać pod stolikiem i nie żądali ode mnie autorskiego występu, więc złego słowa nie powiem, a zakończyło się obdarowaniem mnie wielkim półmichem ostryg. Zamkniętych.

Nie zdając sobie sprawy z tego co czynię, przywiozłam ostrygi do domu, gdzie nie posiadałam żadnego przyrządu do otwierania. Wypisz-wymaluj „David Copperfield”, zatem niewątpliwie to zaszczyt. Ale na ostrygi jestem chciwa, poddać się z góry, o nie, osoby towarzyszące były takiego samego zdania, za robotę złapała się Małgosia i wiem na pewno, że używała flachczków, różnych noży, młotka, nożyczek, sekatora, śrubokrętu i otwieracza do piwa. W każdym razie to wszystko było jej podtykane. Otworzyła czternaście, ja je z zachwytem zeżarłam, a ona miała odciski i pęcherze na rękach, jedyną zaś jej pociechę stanowiła myśl, że nie musi tego jeść. Jako pożywienie, jakoś jej się nie podobało, nie wiem dlaczego, dziwię się.

Pozostałym nie dała rady, a moja chciwość w dużym stopniu została już zaspokojona, zgodziłam się zatem, żeby przy reszcie pomógł się pan Tadeusz, również obecny, odpędzany przez Małgosię od pomocy tak samo, jak wszyscy inni. Męczył się w domu i przyjemność jedzenia miała Ania Pawłowicz, druga połowa wydawnictwa, też doceniająca ostrygi. Ale i tak dostała mniej niż ja.

Drugie spotkanie z Towarzystwem nastąpiło po „Kociach workach” i dostałam koci worek. Cudo! Znów nic nie musiałam, poza rozpakowaniem kociego worka, w którym było wszystko, i od razu się przyznam, że proszek do prania zużyłam do prania, a rajstopy, bardzo przepraszam, wymieszałam z własnymi i teraz już nie wiem, które są które. Lisi ogon trzymam na pamiątkę i do demonstracji, - a zegarka nie umiem nastawić, ale to nic nie szkodzi. I też się przyznam, przez pomyłkę ukradłam im popielniczkę, taką samą jak ta z worka, jak Boga kocham, że przez pomyłkę, naprawdę rzadko kradnę świadomie, nie mam w tym kierunku skłonności, a tym bardziej talentów, ale gdyby wiedzieli, w jakim stopniu te popielniczki mi się przydają, przebaczyliby mi z pewnością!

Dodatkowo uciechę miały moje kanadyjskie dzieci, bo akurat byli w Polsce, a na tle czegoś z kociego worka szalu dostała Monika, więc dałam jej to w prezencie, chociaż nie pamiętam, co to było.

No i proszę, tu występują razem: pech i sprawiedliwość odgórna.

Pech polega na tym, że za każdym spotkaniem z Towarzystwem, a już były cztery (no, niech będzie, trzy i pół), jestem do niczego. Jakoś tak to wypada w chwilach nateżenia głupich zajęć... przesadzam, nie głupich, tylko dodatkowych... przygotowywania świątecznego żarcia, wizyt stomatologicznych, co mówi samo za siebie, gorączkowego poszukiwania materiałów do książki, która już jest w drodze do składacza... Nic nie poradzę, nie staram się specjalnie o te obowiązki, za to wigoru mam w sobie tyle, co cielna krowa. Albo neurochirurg po czterogodzinnej operacji mózgu, to brzmi szlachetniej.

Towarzystwo zasługuje na coś lepszego, no i tu wystąpiła sprawiedliwość odgórna. Za ostatnim półrazem dałam się namówić na lody, musiałam mieć lekkie zaćmienie umysłu, chciałam chwilę posiedzieć spokojnie, nic nie robiąc, zeżarłam te lody prawie do końca i o mało nie pękłam, bo zdążyłam się odzwyczaić od takich smakołyków. W dodatku było mi szczerze żal, że nie mogę zjeść

całkiem do końca. Słusznie zostałam ukarana.

Ale łagodnie. W domu mi przeszło.

A, żebym nie zapomniała... Przynrządy do otwierania ostryg już posiadam.

Zdaje się, że zamierzałam intymnie przyznać się do jeszcze jednej cechy, właściwie dla nikogo niezrozumiałej, a wynikającej prawdopodobnie z lenistwa. Chociaż nie, raczej z wieku. Inna rzecz, że gdyby nie fakt posiadania dzieci, osobiście urodzonych, sama zwątpiłabym we własną pleć.

Pomiędzy trzydziestym a czterdziestym rokiem życia niewątpliwie w obfitości posiadałam cechy żeńskie, oparte na prawie wszechświatowym: „Żeby być piękną, trzeba cierpieć”.

Zważywszy posiadanie dzieci, a przy tym brak wszystkiego, brak czasu, brak pieniędzy, brak wystrzałowej urody i tak dalej, z pewnością odcierpiałam swoje, tyle że bez równorzędnego skutku.

Ktokolwiek czytał tę cholerną „Autobiografię”, orientuje się, że wcześniej nie musiałam, a nawet nie mogłam odwalać tej typowo damskiej roboty, ponieważ mój mąż nie znosił makijażu. Puder na nosie trawił z trudem, godząc się z nim niechętnie, ponieważ zdołał zrozumieć i uwierzyć, że blask z lśniącego nosa razi mnie w oczy, i jedyne pytanie, dotyczące urody, jakie mi zadawał, to już wspomniane: „Czy ty nie mogłabyś się jakoś uczesać?” Odpadały mi zatem kosmetyki, maseczki, kremy i mazidla, szczypiąca w oczy henna, robienie twarzy i tym podobne, jedyne, czym się dręczyłam bezskutecznie, to te upiorne włosy. Przed lustrem spędzałam dziennie trzy razy po pięć minut, dzięki temu oszczędzając czas.

Po rozwodzie sprawa uległa zmianie, ale ja już byłam niedokształcona i nowe nawyki nie bardzo mogły się we mnie wepchnąć. Owszem, nabyłam stosowne produkty w nikłej ilości, bo na więcej nie było mnie stać, i postanowiłam twardo, że w jakiejś pięknej, wolnej chwili dokonam próby, odpracuję te wszystkie maseczki, wymaluję się na wielki dzwon i zobaczę, co z tego wyniknie.

Do dziś dnia takiej chwili nie znalazłam.

Mam na myśli chwilę dostatecznie długą, żeby wystarczyła na wszystkie zabiegi. Krótsze chwile, poświęcane koniecznym staraniom, przytrafiały się, rzecz jasna, dość często, w końcu byłam młoda, egzystowałam między ludźmi i nie chciałam się wydawać zaniedbana. Rezultaty wypadały średnio, raz lepiej, raz gorzej, ale nie spędzało mi to snu z powiek, bo ogólnie zajmowałam się czym innym i mój wygląd zewnętrzny na pracę nie rzutował.

Sztuczne rzęsy przylepiłam sobie, o ile pamiętam, cztery razy w życiu. Sztucznych paznokci nigdy.

Nigdy też nie miałam cechy, właściwej normalnym kobietom. Nie mierzyłam kiecek ani w ogóle żadnej garderoby. Uświadomiłam to sobie bardzo niedawno, kiedy Zosia z Moniką dokonały jakichś zakupów odzieżowych i w domu ponownie to wszystko wkładały na siebie, przymierzały i oglądały, sprawdzając trafność wyboru. Patrzyłam na nie w zdumieniu i podziwie, bo mnie coś podobnego nie wpadłoby do głowy. Nie tylko teraz, także w młodości.

Nawet w Danii po nabyciu kompletu nowych, eleganckich strojów, przymuszona do tego szaleństwa przez Anię Dobrzyńską, włożyłam na siebie owe nowości dopiero w chwili, kiedy miałam w nich wyjść. Nie wszystkie naraz oczywiście, tylko poszczególne sztuki, pasujące do sytuacji, i też by mi nie przyszło do głowy na sobie sprawdzać, co będzie lepsze, orientowałam się przecież już w chwili kupowania, co ma być do czego.

Niewykluczone, że tkwi we mnie naganna skłonność do abnegacji.

Trudno się dziwić, że tak niechętnie odnoszę się do występów publicznych, które zmuszają do starań, obcych mojej duszy. Wykonać jakieś malowidło, a owszem, to nawet lubię, chociaż akurat nie mam tego w stałym programie zajęć, w ostateczności mogłabym je wykonać na własnej twarzy, no i



niechby! Ale chyba nie umiem wystarczająco dobrze, poza tym przez dwadzieścia lat używałam do oczu arabskiej henny, do której przywykłam i która mi się ostatnio wysypała do umywalki. Przepadła, będę musiała jechać do Marsylii, żeby ją sobie odkupić, bo bez niej nie umiem jeszcze bardziej. Jakkolwiek pyskuję na telewizję, uczciwie muszę przyznać, że charakteryzatorki telewizyjne robią ten cały makijaż nieporównywalnie lepiej, a i tak w połowie uwielbianego przez większość kobiet zajęcia tracę cierpliwość i nie chce mi się dalej wysilać. A tu trzeba koniecznie...

O Boże, jak ja nie cierpię przymusu...!!!

& & ■& „„„„

Jeszcze jedno pytanie często mi zadawano.

A proszę, proszę, tak wygląda mój dzień **pracy**:

Zmieniwszy miejsce zamieszkania, o czym z uporem gładzę przez prawie cały szósty tom, muszę się przemeldować, chociażby dla otrzymywania korespondencji. Urzędowe pismo, że mam prawo do zmiany adresu, już otrzymałam..

Wszystko załatwia pan Tadeusz, który jest moim plenipotentem, o czym przypominam, bo może ktoś zapomniał.

Mam już nawet, niedawno odebrany, dowód osobisty z tym nowym adresem, ale dowód osobisty to małe piwo. Stary adres znajduje się także na prawie jazdy, na dowodzie rejestracyjnym samochodu, na karcie... jak jej tam... o, nie chce mi się sprawdzać, karcie pojazdu czy coś w tym rodzaju, ma to być utrudnienie dla złodziei, ciemno w oczach mi się robi, bo złodzieje mają to głęboko w tylnych rejonach, a utrudnienie spada na zwyczajnych, uczciwych ludzi ze mną włącznie. Cud boski, że nie ma adresu przynajmniej na paszporcie!

No dobrze, umyłam się, wypiłam herbatkę, dałam kotom jeść, usiadłam do komputera, cały tekst mając w głowie. Wstąpiło we mnie jakieś złe, zapewne przyplątało się skojarzenie, wynikłe z pisanej treści, dość, że o'dziesiątej zadzwoniłam do pana Tadeusza z pytaniem, jak stoimy z przemeldowaniem samochodu. Pan Tadeusz odparł mi na to, że potrzebny jest Witek, a ściśle biorąc dokumenty, którymi dysponuje, książka wozu i coś tam jeszcze, tymczasem Witka nie będzie aż do czwartku, jego syn tak powiedział, więc nic nie można na razie zrobić. Zbaraniałam na to kompletnie, bo umówiona byłam z Witkiem w środę na przegląd samochodu, znaczy, miał przyjechać o szóstej trzydzieści, zabrać pudło i do wieczora wszystko załatwić. Marcin zwariował, żeby takie głupoty rozgłaszać, czy pokłócił się z ojcem..?

Dowcip polegał na tym, że Witek, znając mnie nieco, samochodowych spraw od dawna już pilnował jak oka w głowie, zaanektował którąś półkę i zabronił mi jej dotykać. Proszę bardzo, nie zależało mi na dotykaniu wrogich półek.

Nie uwierzyłam jednakże w to, że znikł z ludzkich oczu, słowa mi o tym nie powiedziawszy, pogawędkę z panem Tadeuszem uciełam, wahałabym się twierdzić, że grzecznie, i natychmiast zadzwoniłam do Witka na komórkę.

- Właśnie przebijam się przez ten śnieg, żeby do ciebie dojechać - powiedział Witek.

- Dlaczego ma cię nie być do czwartku? - spytałam na to z oburzeniem.

Witek najpierw się zdziwił, a potem zgadł.

- No i po cholere Lewandowski dzwonił do domu, zamiast na komórkę? Marcin mu prawdę powiedział, w domu będę dopiero w czwartek, przecież teraz jestem u Jerzego!

Zadzwoniłam do pana Tadeusza.

- Witek jest i zaraz tu będzie. Co pan musi mieć?

Moje pytanie było idiotyczne, bo wcale nie chciałam wiedzieć, co panu Tadeuszowi jest potrzebne. Z wiekiem coraz mi trudniej znosić kretyństwa organizacyjno-administracyjne. Gdyby architekci, konstruktorzy i wykonawcy pracowali tak, jak administracja państwowa, wszyscy

mieszkalibyśmy w ziemiankach i szałasach, a waliłaby się każda budowla, wzniesiona ponad poziom gruntu, i to nawet bez żadnych opadów śnieżnych. Wystarczyłoby, żeby ktoś obok kichnął.

Na szczęście pan Tadeusz szybko zaniechał wdawania się w szczegóły i powiedział, że wobec tego za pół godziny przyjedzie. Wróciłam do komputera, przeczytałam napisany tekst i udało mi się zacząć kolejne zdanie. Witek zadzwonił do furtki.

Otworzyłam mu z pilotem od bramy w rękę, niepewna, czy furtka da się popchnąć, bo śniegu przed domem nie tknęłam, chociaż nawet mnie trochę korciło. Ale od jakiegoś już czasu wiem, że nie da się robić dwóch rzeczy równocześnie w pewnym od siebie oddaleniu i należy wybrać to, co ma więcej sensu. W razie czego brama mogła ruszyć bodaj kawałek.

Śnieg przed furtką stawiał słaby opór, Witek wszedł i od razu wyjaśnił, *co* Lewandowski powinien mieć. Staralam się nie słuchać, skutecznie, zajął mnie tylko jeden problem.

- Zdjęcia. Musi mieć zdjęcie do prawa jazdy. Witek, gdzie ja mam te zdjęcia?

- A skąd ja mam wiedzieć? - wyparł się Witek. Myślałam bardzo gwałtownie.

- Mówiłam, żeby patrzeć, gdzie je wkładam. Witek, myśmy te zdjęcia robili razem, u tego twojego fotografa, co ma świetne rajstopy. Przypomnij sobie, różny format, jedne większe, drugie mniejsze, on wiedział, które do czego! I mówiłam, żeby patrzeć, gdzie ja je...

Wstrząsnęłam jego pamięcią.

- A wiesz, że chyba tak. Rzeczywiście. I co? Gdzie je wkładałaś?

- Przecież mówiłam, żebyś patrzył! Nic. Spokojnie. Sprawdzę. Zastanowię się, co bym teraz zrobiła...

Zdjęcia oczywiście znalazły się w portfelu, w miejscu najrozsądniejszym ze wszystkich, i w głębi duszy pochwalałam sama siebie. Resztę dokumentów w postaci owej karty wozu, czy jak tam się to nazywa, Witek znalazł w mgnieniu oka i obydwójce usiedliśmy do pracy, ja do komputera, on do Internetu w celu znalezienia czegoś. Nie wiem czego.

Po kwadransie Witek powiedział:

- Pójdę zrobić sobie kawę.

Po następnym kwadransie usłyszałam w przedpokoju pana Tadeusza, który wszedł bez przeszkód, bo wszystko było otwarte, i zdziwiło mnie, że Witek się do niego nie odzywa. Przecież przed chwilą poszedł do kuchni robić sobie kawę!

Witek siedział naprzeciwko mnie, ale nie widziałam go za tymi wszystkimi ekranami. Przez ten czas udało mi się napisać trzy i pół zdania, bo przedtem musiałam przeczytać cały wcześniejszy tekst i zorientować się, o czym w ogóle piszę. Obydwójce poleciliśmy do salonu.

Pan Tadeusz zgromadził makulaturę urzędową, pokazał mi, gdzie się mam podpisać, jedno miejsce domagało się imienia i nazwiska. Jak zwykle, sparaliżowało mi rękę. Zaraz, chwileczkę, ma to być podpis czy informacja, jak się nazywam? Od lat nie rozumiem wymogu, jeśli ujrzę gdzieś mój podpis, składający się z imienia i nazwiska, zaprotestuję kategorycznie, to nie jest mój podpis! To jest podanie danych personalnych, mniej czy bardziej wyraźnie, ale nie podpis, stanowiący bezapelacyjną aprobatę! Badany przez komputer i przez grafologów! Jeśli już ktoś chce takiej dziwacznej dokładności, proszę bardzo, osoba powinna napisać własne imię i nazwisko i oprócz tego ZŁOŻYĆ PODPIS!

To ten podpis jest ważny, a wszyscy widzą, że, opanowawszy doznania wewnętrzne, mówię to łagodnymi słowami, jak sołtys do krowy na miedzy.

Dość przeżyłam, kiedy trzy razy leciałam do banku z podpisem mojej matki, aż zostałam uznana

za złodziejkę, która własną rodzicielkę chce okraść. Musiałam ją dowlec do okienka i jeszcze było mało. Nie pamiętała, jaki wzór podpisu złożyła przed laty, tych podpisów przez cały biurokratyczny czas składała zatrzęsienie, musieli jej w końcu pokazać ten pierwszy, bankowy, a uczynili to chyba... nie chyba, jestem pewna... pod wpływem uroku i wdzięku mojej matki, potwora, ciągnącego nieodparcie za serce...

A pan Tadeusz się dziwi, że w mojej rodzinie kobiety wystrzelały ponad mężczyzn...

Moja matka mogła okraść bank i nikt by jej tego nie miał za złe.

Ale nie okradła, nie wykorzystwała własnych cech, żywiutko złożyła właściwy podpis i wszystko było w porządku.

Otóż do pięć jej nie dorastam i wcale nie wiem, czy wszystko byłoby w porządku, gdybym z wielkim krzykiem zaprotestowała przeciwko podpisowi imieniem i nazwiskiem. Po co to komu? No nie, rozumiem po co, ale nie należy określać tego mianem podpisu, bo nazwa wprowadza zamieszanie i dezorientację.

Dobra, dajmy spokój idiotyzmowi, podpisałam się zgodnie z wymogami, pan Tadeusz zabrał niezbędne dokumenty i poleciał. Witek miał jechać po Małgosię i trochę czasu jeszcze mu zostało, wrócił do Internetu. Wróciłam do pracy zawodowej.

Udało mi się napisać następne zdanie i nawet pół kolejnego, kiedy pan Tadeusz zadzwonił, że stoi przy okienku i potrzebne mu są natychmiast tablice rejestracyjne mojego samochodu. Tablice rejestracyjne były przymocowane do samochodu w moim garażu i przez moment zastanawiałam się, jak mu je dostarczyć. Witek podjął męską decyzję, wsiadł do swojego samochodu, dokładnie zastawiającego bramę, odjechał nim kawałek, przez ten czas stwierdziłam, że wrota garażowe nie chcą się otwierać, popełniłam czyn niewłaściwy z punktu widzenia elektroniki, niech ją szlag trafi, tę całą elektronikę, wrota się otworzyły, Witek wyjechał moim i w wielkim pośpiechu dostarczył urzędowi tablice rejestracyjne razem z przymocowanym do nich pojazdem. Zamknęłam wrota.

Nie usiadłam do pracy. Dałam jeść kotom, co w czasie mrozów następuje pewnych trudności. Kot mianowicie je powoli, znacznie wolniej niż pies, który chapie, kot gryzie porządnie i, można powiedzieć, nie nadaża przed mrozem. Zanim zje tyle, ile chciał, reszta mu zamarza.

Zabieram zamrożone kamienie i daję takie normalne o temperaturze pokojowej, koty rzucają się na to, coś tam zostaje i sytuacja się powtarza. Gdybym karmiła je tak jak w lecie, wszystkie zdechłyby z głodu i zimna, bo istota głodna gorzej znosi chłód.

A niby dlaczego moim kotom ma być nieprzyjemnie...?

Zanim się obejrzałam, Witek wrócił samochodem bez tablic rejestracyjnych. A, zjadłam coś chyba, trochę bobu i kawałek duszonej nogi od kurczaka. Mały. Omawialiśmy dalszy ciąg tej całej imprezy, kiedy wrócił pan Tadeusz. Witek pojechał po Małgosię, bo już było dobrze po drugiej. Pan Tadeusz skorzystał z chwili czasu, żeby załatwić mój protest przeciwko nakłanianiu mnie do rzeczy dla mnie nieodpowiednich (a powiem, dlaczego nie? Co to, karalne...? Nie umiem pisać na zamówienie i cześć. Nie umiem. Istnieje na świecie więcej osób, które czegoś nie umieją, i nie słyszałam, żeby wszystkie były topione w morzach, wieszane na szubienicy i ścinane toporem! Tak naprawdę ja nawet chętnie bym się na coś zgodziła, mój pierwszy odruch, głupkowaty z pewnością, jest pozytywny, mija kilka chwil, kilkanaście minut i to coś w człowieku mówi: „Zgłupiałaś? Puknij się...” No i wracają resztki rozumu.)

Sądzę, że przez całe życie chciałam zrobić więcej niż mogę. Głupi upór.

Następnie pan Tadeusz ponownie pojechał do stosownego urzędu. Wnioskuje ze skutków.

Usiłowałam przeczytać to, co napisałam wcześniej.

Pan Tadeusz przywiózł z powrotem moje tablice rejestracyjne z jakąś dodatkową przylepką, nawet ładną i efektowną, moje prawo jazdy, zastępczą kartę rejestracyjną i tę tajemniczą kartę wozu, a możliwe, że jej substytut. Położył na barku jadalnianym, bo tak kazał Witek, i utracił moją próbę położenia żelastwa na słomianych matach stołowych.

Po odjeździe pana Tadeusza udało mi się zrozumieć samą siebie co najmniej na dwóch stronach tekstu. Zadzwoiła Julita, z którą już od poprzedniego dnia miałam telefoniczne sprzężenie zwrotne, mianowicie nie wyłączywszy komórki, trzymała ją w jakimś ciasnym miejscu, ta zaraza się włączała i trafiała na mnie. Zrozumiałam to doskonale już po pierwszym razie, kiedy zadzwoniło i nikt się nie odezwał, bo sama miewam identyczne objawy i nic mi to nie szkodziło. Teraz wreszcie zadzwoniła normalnie w sprawach służbowych, odezwała się i bardzo ją zdziwiła informacja, że jest to już piąty czy szósty telefon od niej.

Wyznaję, że zjadłam jeszcze kawałek kurczaka, bo ten poprzedni kawałek to były strzępki, wydłubywane widelcem z garnka. I trochę sałaty. Większość konsumowanej części kurczaka w postaci chrząstek, końcówek kości i ochłapków, przygotowałam dla kotów.

Zadzwoiłam do banku, ponieważ Telekomunikacja Polska uparcie stara się wpędzić mnie do grobu, przysyłając potworne ilości korespondencji, rachunki i monity, domagające się ich zapłacenia. Nie mam nic przeciwko płaceniu rachunków, ale zdawało mi się, że płaci je bank i stałe zlecenie od dawna jest załatwione. Okazało się jednak, że owszem, załatwione, ale na jeden telefon. Na drugi nie, z nie znanej mi przyczyny, a w dodatku nie wiadomo, na który, bo numeru telefonu na tych złowieszczych pismach nie umieszczają. Z niechęcią odsunęłam od siebie myśl o przegrzebaniu tej całej makulatury.

Przyjechał Witek, z zadowoleniem przyjął żelastwo na bufecie jadalno-salonowym, z powątpiewaniem obejrzał tajemniczą kartę wozu, schował ją i przykręcił z powrotem tablice rejestracyjne, świadom mojej rychłej, zamierzonej podróży. Nawet nie jestem pewna, kiedy odśnieżył ścieżkę do furtki, w tym momencie czy wcześniej.

A, w trakcie mojej służbowej rozmowy z panem Tadeuszem, na tarasiku przed domem pobiły się koty. Podły Florek odgonił Łaciatego, który przylazł wygłodniały, mokry i złachany. Wkroczywszy w kontrowersję, niestety, odgoniłam oba, co wcale nie leżało w moich zamiarach i chyba zachybotало ustaleniami służbowymi.

Wszyscy poszli, usiadłam do komputera i napisałam powyższe, świadoma, iż wydarzenia jutrzejsze zabiją pamięć o dzisiejszych. Niemniej jednak, tak, mniej więcej, wygląda mój dzień pracy. Jutro oczekuję pana Ryszarda, z którym mam do omówienia nader ważny mankament, a zaraz potem stolarza, wymieszanego z ogrodnikiem. Ale nie wybiegajmy w przyszłość zbyt daleko!

Jutro, to znaczy obecnie dzisiaj, okazało się, że poprzedniego wieczoru postawiłam na malutkim ogniu odrobinę potrawy z tego kurczaka, wyszłam z kuchni i kompletnie o niej zapomniałam. Ciekawe, czy uda się uratować garnek. Od rana wraz z zawartością mięknie w zlewie.

Zważywszy, iż „obecne dzisiaj” zdążyło się już przeistoczyć w czas przeszły, mogę wyznać, że nie przewidziałam trafnie przyszłości. Nie miałam ani stolarza, ani ogrodnika, za to nawalił piec centralnego ogrzewania. Zdążyłam rano umyć głowę, załatwić pedikiur leczniczy i usiąść do pracy, i tuż przed południem bydlę się wyłączyło.

No i oczywiście do wieczora była karuzela z piecem, trzykrotnie przyjeżdżały ekipy naprawcze, musiałam rozpalić ogień w kominku i podtrzymywać go cały dzień, bo, aczkolwiek lubię chłód i

jestem do niego przyzwyczajona, to jednak bez przesady. Wolę, żeby temperatura w mieszkaniu nie zjeżdżała poniżej czternastu stopni.

A propos, garnek pani Henia uratowała, a przypaloną zawartość coś w nocy zeżarło.

Skoro już jestem przy wydarzeniach i tematach z gatunku obrzydliwych, niech już sobie dokopię ostatecznie. Napiszę szczegółowiej o ogrodzie Alicji. Istnieje mnóstwo kompletnie obcych ludzi, dla których Alicja jest osobą znajomą i bliską, którzy mnie o nią pytają, o jej ogród też, a z nich nawet niektórzy jadą do Birkerød, żeby ją poznać osobiście i wszystko na własne oczy obejrzeć. Okropna ta informacja, bo okropna, ale im się należy.

Nie wiem, kto tam wystąpił z poronioną inicjatywą, bo każdy zwał na kogoś innego, ale wspólnymi siłami zrobiono jej porządek w domu i na zewnątrz na zasadzie: wyrzucać wszystko.

Na jej miejscu umarłabym z samej wściekłości i może także na złość tym osobom porządnym.

Wcale nie twierdzę, że cała makulatura, zawalająca dom Alicji, była jej potrzebna i cenna, z pewnością mnóstwo nadawało się do wyrzucenia, ale o tym powinien decydować właściciel makulatury. Może coś, pozornie bezużyteczne, stanowiło pamiątkę? Może inne coś zamierzało się kiedyś wykorzystać? Możliwe, że nigdy zamiar nie zostałby zrealizowany, ale co tego? Wyrzucając, odbiera się człowiekowi nadzieję. To tak, jakby zawczasu kłaść krzyżyk na reszcie jego życia.

No dobrze, to papiery, ale co mają do nich rośliny? Okien salonu Alicji nie można było umyć, zgadza się, ponieważ dostęp do nich nie istniał, barykadował je wał kwiatów, draceny, paprocie, asparagusy, pnącza, kaktusy, storczyki, wszystko to razem stanowiło istną dżunglę, ale zarazem tworzyło atmosferę, nadawało pomieszczeniom niepowtarzalny urok i wdzięk, budziło wręcz tkliwość, było duszą domu!

Z całej dżungli, specjalnie policzyłam, zostało sześć smętnych patyczków, powtykanych w doniczki i skrzynkę...

Wandalizm rozprzestrzenił się z domu na ogród. Ktoś puścił tam nie wiem co, kombajn chyba, zespolony z walcem drogowym, bo do żywej ziemi usunięto wszystko. Szlag trafił ogromne, malownicze kępy, w diabły poszły akantusy długolistne, kwitnące juki, trawy, hosty, paprocie, kosańce, możliwe, że także tysiące tulipanów, bo grzebaliśmy z Witkiem w ziemi z nadzieją na ocalałe kłącza imbiru trującego i nie trafiliśmy na ani jedną cebulkę. A były wszędzie! Ktoś je wyorał? Czarna ziemia i ruszające wesolutko rdesty...

Nie dość na tym. Między Alicją a jej sąsiadem istnieje szczelne, drewniane ogrodzenie. Zaslaniał je wał leszczyn, bujnie rozrostłych, przewyższających je co najmniej o półtora metra, i sąsiad pyskował, że te leszczyny zacieniają mu ogród, zasłaniają światło. Jakie światło?! Miał je od północnego zachodu, o zachodzie słońce znajduje się nisko nad ziemią i o żadnym świetle nie ma mowy, ale dobrze, niech

\* *r* mu będzie, dla świętego spokoju można było wyrównać leszczyny z ogrodzeniem, a ogrodzenia czepiać się już nie mógł, bo należało do niego.

To nie, ogrodnicy barbarzyńca, szaleniec z piłą i sekatorem, ściał krzewy do wysokości przeciętnie metr nad ziemią, ogołocił doszczętnie z gałęzi, obskubał, okorował chyba, bo zostały gołe pieńki. No i drewniane ogrodzenie, dla sąsiada zapewne przezrocyste.

Ten sam los spotkał kwitnące krzewy ozdobne, bujne kępy przeistoczyły się w garstki suchych patyków. A działo się to w czerwcu, porze roku dla takich zabiegów zupełnie nieodpowiedniej. Zdaje się, że pnące róże też trafił szlag i już nie poszłam sprawdzać, czy nie zrabali jej kilkumetrowej sekwoi, bo i tak zadławiło mnie gruntownie.

Czterdzieści lat starań i pracy Alicji poszło na marne w ciągu dwóch tygodni.

Jedyna pociecha to ta, że zielsko szybko rośnie. Leszczyny też.

A imbir trujący jednak zdążyłam od niej wziąć, z tym że nastąpiło to rok wcześniej, przed tym wybuchem dewastacji. Nie chciał rosnąć, zamierzałam dołożyć trochę, a jest to roślina, której nie sposób dostać. Zdobyłam wszystkie możliwe jego nazwy, łacińską, angielską, duńską, francuską, niemiecką, szukałam drania po całej Europie, nie wspominając już nawet o Polsce, po największych sklepach ogrodniczych, zero, senne marzenie, nikt nic nie wie. Nie ma go w żadnej encyklopedii, w żadnym atlasie roślin i nikt nawet nie wie, jak on wygląda.

Ja wiem. Widziałam u Alicji. Liście ma pasiaste, nie wiem wprawdzie, jak kwitnie, bo na kwitnienie nie trafiłam, ale na jesieni tworzy czerwone owocki w postaci słupka z kulkami, prześliczne. Jak dotąd, u mnie jeszcze nic nie stworzył, chociaż po katastrofie Alicji jednak ruszył, opornie i niemrawo, ale ruszył. Przypuszczam, że ze zwyczajnej litości...

Oburza mnie śmiertelnie fakt, że w powodzi zadawanych mi idiotycznych pytań nie pojawiło ani jedno, dotyczące odchudzania. A na to jedno właśnie odpowiedziałabym chętnie, ponieważ jestem bardzo dumna z siebie.

Na zdjęciach widać, że po sześćdziesiątym roku życia utylam jak potwór i dorobiłam się czternastu kilo nadwagi. Przyczyna była mi doskonale znana, a ściśle biorąc, kilka przyczyn. Pisałam o nich, ale zbiorę je teraz do kupy.

Po pierwsze, zaczęłam pić piwo.

Po drugie, pod wpływem czyjś głupiego gadania ograniczyłam papierosy i zesłam do ośmiu-dziesięciu sztuk dziennie. W ciągu trzech tygodni przybyło mi sześć kilo.

Po trzecie, odpracowałam dwa lata nieruchawości. Zaczęło się od rwy kulszowej, po której został mi lekki niedowład lewej nogi, następnie złamałam kość śródstopia w tej lewej nodze, przy czym zalecenie ortopedy brzmiało: „Nie chodzić!”, następnie złamałam żebro, co na dość długo zniechęciło mnie do ruchu bez żadnych zaleceń medycznych. Następnie zramolałam.

Po czwarte, jadłam bezmyślnie, nie pamiętam co, ale na pewno za dużo.

Całkowita niemożność ubrania się we własne spódnice oraz widok siebie na rozmaitych podobiznach wstrząsnęły mną głęboko i ruszyłam akcją.

Zaczęłam od rozmaitych porad odchudzających, diet i ostrzeżeń lekarskich, i od razu się zdenerwowałam. Wszystko to zgodnie nakazywało odstawić produkty tłuczące, a mianowicie: zupy, cukier, słodycze, chipsy, pieczywo, potrawy mączne, kasze, tłuste smażone mięso i kluchy z sosem. Świetnie, zup nie jadłam od dzieciństwa, nie lubię ich, cukru jeden kilogram starcza mi na trzy lata, herbatę przez całe życie pijam gorzką, od słodyczy odwykłam do tego stopnia, że na prześliczne ciasteczka i czekoladki patrzę jak na dzieła sztuki albo kamienie ozdobne. Przecież nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby zeżreć, na przykład, ametyst. O istnieniu chipsów wiedziałam tylko dlatego, że czasami kupowałam je dla gości. Pieczywa nie jadłam prawie wcale, wędlinkę, żółty serek, rybkę, mięsko, wolałam bez. Co do potraw mącznych, kilo mąki wystarczało mi na dłużej niż cukier, kaszy w domu w ogóle nie posiadałam, mięso smażyłam niesłychanie rzadko, bo częściej mi się nie chciało, ponadto w żadnym razie nie tłuste, kluchy mogłam kupić w sklepie, ale skąd do nich wziąć sos?

Co, u diabła, miałam odstawić...?!

Zgniewało mnie.

Inna rzecz, że serdecznie pozazdrościłam Marii. Produkty zalecane to były same obrzydlistwa,

chudy biały serek, warzywa gotowane na parze, w miarę możliwości bez soli, owoce mało słodkie, gotowana ryba, gotowane chude mięsko... A ona to lubiła! Mało lubiła, uwielbiała, bez najmniejszego przymusu, sama z siebie, dla przyjemności konsumowała takie rzeczy!

Zracjonalizowałam pożywienie i proces tycia zatrzymałam w mgnieniu oka. Nie przybyło mi już więcej, ale też i zejść nie chciało. Miałam jeszcze nadzieję, że może to tarczyca, ona robi dziwne sztuki, jedni od niej chudną, drudzy tyją, może ja też...? Uparłam się przy zrobieniu badań, trzy razy, bo może się gdzieś tam po drodze pomylili, niestety, nic, moja tarczyca ani drgnie, niech ją piorun strzeli. Znaczący wiadomo, metabolizm, zła przemiana materii, mniej żarcia, więcej ruchu!

Do ruchu jakoś serca nie miałam, skapcianałam także i od sadła, pomijając, rzecz jasna, wiek. W okolicy sześćdziesiątego piątego roku życia rzadko kto zaczyna uprawiać sporty. No to złapałam się za żarcie.

Odpracowałam dwutygodniową dietę, bazującą na dwóch jajkach na twardo i dwóch pomidorach, przytomnie wybrałszy sobie pożywienie sympatyczne, aczkolwiek doskonale wiedziałam, że tak naprawdę odchudzający się człowiek powinien jeść to, czego serdecznie nie lubi, bo na pewno z łakomstwa nie zje tego za dużo. Odpracowałam kapuścianą zupkę, przetartą przez durszłak, bo w dużych kawałach kapusta jakoś mi nie szła, i pierwszego dnia, w obliczu rzetelnego głodu, zupka była bardzo smaczna, drugiego jeszcze do przyjęcia, trzeciego obrzydliwa, ale jedzona, a czwartego wylewana do wychodka. Odpracowałam dietę zmieniającą metabolizm, też dwa tygodnie, ale, niestety, w połowie drugiego tygodnia złamałam się przy smażonym selerze, a dobiła mnie marchewka z jajkiem. Nawet nie byłam przy tym głodna, tylko życie straciło jakąś część uroku.

Nakichałam na naukowe diety. Najzwyczajniej w świecie zaczęłam jeść mniej, starannie pilnując, żeby się nie zapchać, zostawiając sobie odrobinę głodu, i skutek się rychło pojawił. Bez żadnych operacji skurczyłam sobie żołądek. Robi to wręcz nieprzyzwoite wrażenie, nie jestem w stanie zjeść normalnej potrawy jak normalny człowiek, stąd między innymi wiedeński sznycelek, w restauracjach z reguły kończę posiłek na przystawce i do rozpaczki doprowadzam Jagodę Gotkowską w Piaskach.

(Gdyby pani Jagoda chciała, może mi wytoczyć sprawę sądową, proszę bardzo. Przyznam się do wszystkiego.)

Jagoda Gotkowską stanowi kłode na mojej drodze spożywczej, ponieważ ma odruch warunkowy: na widok żywej ludzkiej istoty natychmiast stawia na stole pożywienie.

I jakie...! Gdybyż to chociaż były gołąbki, cieleca pieczeń, sałatka z kiszzonej kapusty, nóżki w galarecie, sztukamięś z chrzanem, podroby, jakieś tam serca i żołądki, baranina z czosnkiem, salceson, ciasto drożdżowe... Wszystko to, czego nie lubię. A skąd! Są to ryby, niestety, ale jakie ryby, poezja, nie ryby! Trupem padnę, ale zjem!

Zaczęłam się bać pobytów w precudownej kuchni Gotkowskich, schodziłam na palcach, żeby nie zbudzić odruchu, uciekałam zawczasu. Doczekałam się w końcu jadłowitej satysfakcji Waldemara, którego we własnej książce obsobaczyłam za unikanie posiłków.

- To teraz pani widzi, dlaczego ja uciekam z kuchni i z domu? - wytknął mi złośliwie, kiedy nikt nie słyszał, a na stole pomiędzy nami stał świeżutki, pachnący półmisek kotletów rybnych prosto z patelni. - Przecież gdybym jadł to, co moja żona mi daje, pękłbym chyba już dawno.

Przeprosiłam go połowicznie. Uciekać może, ale niech nie pyskuje potem, że nie dostaje gorącego.

Po każdym powrocie z Piasków te półtora kilo muszę z wysiłkiem spędzić. Mimo że zażywam



tam więcej ruchu niż w Warszawie.

Piłam na czczo sok grejpfrutowy. Zrobiłam spis dobrych i złych kalorii. Ograniczyłam piwo, zresztą z konieczności, bo jedyny nieszkodliwy dla mnie alkohol okazał się czerwonym winem. Żywiłam się twarożkiem, opisanym w „Książce poniekąd kucharskiej”, duszonymi nogami kurczaka, małymi kawałkami sera, chudą szynką, sałatkami owocowymi, pojęcia nie mam czym jeszcze, ale ogólnie uważane to było za jakieś śmieci.

Wcale mi nie było łatwo, bo z natury jestem mięsożerna i kocham kuchnię polską i niemiecką, nie przepadam za francuską i wioską, a chińszczyznę zjem tak samo, jak na przykład nici do maszyny. Uwielbiam kotlety schabowe, kluchy z sosem, jeśli spaghetti, to wyłącznie carbonara, pierogi, placki kartoflane z gęstą śmietaną, żółte sery, z tych najbardziej tuczających. Pieczony drób, możliwie tłusty i ze skórą. Metkę i podsmażaną kaszanę.

I tego wszystkiego nie jadłam z różnych powodów.

Po pierwsze, na koszmarnym trzecim piętrze bez windy miałam kłopot z wnoszeniem zakupów do domu.

(Czasy, kiedy samo dokonywanie zakupów napotykało nieprzewyciężone trudności, pomijam. Wtedy nie byłam gruba.)

Po drugie, musiałabym to wszystko przyrządzać. Ani serca do tego nie miałam, ani czasu. Raz na miesiąc albo na dwa wpadałam w szal i robiłam jakąś potrawę, która potem wystarczała na trzy dni. Dla pani Heni i dla mnie.

Po trzecie, nawet jeśli coś z tego zjadłam, to malutko, bo ten żołądek skurczyłam sobie już dawno.

Po czwarte, odchudzanie potraktowałam poważnie.

I oto nagle, po powrocie z urlopu we Francji, stwierdziłam, że ubyło mi dwa i pół kilo. Ucieszyłam się ogromnie i na razie jeszcze nic nie pomyślałam.

A, powinnam była wcześniej zauważyć, że wagi elektroniczne zirytowały mnie kompletnie. Nie wiem, jak to świństwo działa, ale jeśli ważę się na tym, ono coś pokazuje, po dziesięciu minutach i umyciu zębów ważę się ponownie, tak z ciekawości, a ono pokazuje pół kilo więcej, to co to, do cholery, ma znaczyć? Przecież nie zeżarłam tej pasty do zębów! Albo odwrotnie, umyłam się pod prysznicem i draństwo pokazuje pół kilo mniej. Było na mnie pół kilo brudu...?!

Uczyniłam milion prób, pomijając już to, że kupiłam drugą wagę, bo może ta pierwsza była wybrakowana. Rezultaty identyczne. Spróbowałam fizjologicznie, przed sikaniem i po. Po okazałam się grubsza prawie o kilogram, to co ten, za przeproszeniem, mocz, wyskoczył z sedesu i wlaź na wagę?! Szlag może trafić, wzięłam szklankę, wzięłam litrową butelkę z wodą, weszłam na wagę z towarem i bez niego, w jednym wypadku różnica była zerowa, w drugim litr wody odchudził mnie dziesięć deko.

Było to absolutnie nie do zniesienia, kupiłam zatem przyzwoitą wagę lekarską, która uczciwie wskazuje każde pięć deko, i ona wreszcie zaczęła zachowywać się jak należy. Moje odchudzanie weszło na drogę naukową.

Po kolejnym urlopie we Francji zjechałam cztery kilo. Uszczęśliwiona poczułam się niebotycznie, ale szczęście było zmaćcone, ponieważ straszliwie brakowało mi ostryg. W zastępstwie ostryg rzuciłam się na krewetki i kraby, sałatka z krewetek i krabów, do nich szparagi, trochę melona albo grejpfruta, cytrynka, majonez... Pożerałam to niczym pompa ssąca, bez tej sałatki ćmiło mi się w oczach, jeden dzień to góra, natychmiast robiłam następną, prawie nic innego nie jadłam.

Z nadwagi zjeżdżałam sukcesywnie.

I dopiero po następnym urlopie, spędzonym, rzecz jasna, na ostrygach, kiedy nadwagi pozbyłam się całkowicie i pierwszy raz włożyłam nową spódnicę, dotychczas mi niedostępną, dowiedziałam się, o co tu chodzi.

Ewę Szykulską zawsze bardzo lubiłam i lubię nadal jeszcze bardziej. Niech jej Pan Bóg da zdrowie, że zgodziła się wystąpić w reklamie, informującej o działaniu chromu. W sadło Ewy Szykulskiej wprawdzie nie wierzę, a skoro nie wierzę w sadło, to niby z czego ona miała chudnąć, ale tylko dzięki jej osobie na reklamę zwróciłam uwagę i pojęłam, że idzie o chrom. Ten chrom podobno odchudza, jakie podobno, sama na nim schudłam, a znajduje się w owocach morza, w brokułach i w czymś tam jeszcze, czego nie lubię, więc nie zapamiętałam. No i proszę, bezwiednie zjechałam z nadwagi na chromie!

Reklamowane były, co prawda, pigułki czy tabletki z chromem, mające, jak się później okazało, jakieś szkodliwe działanie uboczne, ale co mnie obchodzi pigułki, skoro zażyłam produkt w postaci naturalnej. Zażywam nadal ze zwyczajnego upodobania i mam nadzieję, że drugi raz idiotycznie nie utyję. Jeszcze mam w zapasie ślimaczki, czyli małże, znakomite w sałatce z cykorii.

No i proszę. Bez udręk i wysiłków, bez szkodliwych chemikaliów, bez lekarzy i operacji, na ulubionym pożywieniu, można schudnąć? Można. Więc niech mi nikt głupotami nie zawraca głowy.

No dobrze, z tym uczuciem głodu... Co innego, jeśli człowieka ssie i ściska, jeśli z głodu robi mu się słabo, jeśli czuje, że mu кишки do krzyża przysychają, a co innego, jeśli po prostu nie czuje w sobie pełni. Jakies tam zwyczajne miejsce, które informuje, że coś by się zjadło. Niekoniecznie natychmiast, może być za chwilę. I może *to* być coś malutkiego, czym puste miejsce się zajmie i przestanie zawracać głowę.

Z wielką ciekawością polecałam na malutki bankiet w La Baule, taki rodzaj podwieczorku dla odchudzających się gości, niezmiernie zaintrygowana, co też tam dadzą do zjedzenia. Spróbowałam wszystkiego. Były to mikroskopijne kanapeczki, których podstawę stanowiły nie żaden chlebek ani bułeczka, tylko plasterki ogórka, rzodkiewki, krążki pora, kawałki selera naciowego, na nich zaś twarożek, krewetka, ślimaczek, jakieś pasty i mazidła, chyba zmiksowany tuńczyk, oliwka, pomidorek i tym podobne. Całkiem dobre to było, wytrawne, tyle że niedosolone. Gdyby gdzieś pod ręką znajdowała się sól, złego słowa bym nie powiedziała.

Nie wiem, czy kiedykolwiek ktokolwiek spytał rzetelnych żarłoków, jak się czują po zapchaniu kalduna do wypęku, a jak, jeśli w tym katdunie odrobina luzu jeszcze istnieje. Byłam odrobinę głodna przez prawie piętnaście lat, wcześniej również, z różnych przyczyn, szczerze mówiąc, polubiłam to uczucie. Oglądam angielskie filmy dokumentalne, widzę przepisane tym żarłokom diety i włos mi na głowie dęba staje. Przy moich czternastu kilogramach nadwagi nie miałam czego odstawiać, im odstawiłabym wszystko z dreszczem przyjemności w sercu.

Na plaster im te kartofelki przy mięsku i jarzynkach?! A bez kartofelków nie laska...?!

Moment, chwileczkę, rozpędziłam się chyba, nie piszę poradnika żywieniowego, najzwyczajniej w świecie chciałam się pochwalić i nic więcej. Zęby baba w moim wieku schudła samodzielnie i, można powiedzieć, własnym sumptem, to jest rzadka rzecz. A przypominam, że po przodkiniach mam genetyczne skłonności do tycia i powinnam być gruba co najmniej jak ten dźwig Moniki...

A tak naprawdę, przyznam się, co mi najbardziej dojadło. Jeśli, wycierając sobie nogi po umyciu, musiałam stękać...?

Skoro już przy kwestii odchudzania napomknęłam o Piaskach, skorzystam z okazji i przyznam się

do najwcześniejszego zaszczytu, jaki mnie spotkał. Mianowicie po licznych awanturach na tle organizacyjno-administracyjnym i obraźliwych dla władz pismach zostałam obdarowana honorowym obywatelstwem Krynicy Morskiej.

Awanturowałam się zaś o szkołę podstawową i panujące w niej warunki sanitarne, o dowóz dzieci z odległości dwunastu kilometrów, o drogi dojazdowe do portów w Piaskach i w Leśniczówce, o brak nie tylko lekarza, ale nawet apteki w Krynicy i o parę innych drobnostek. W ciągu ostatniego ćwierćwiecza mnóstwo mankamentów znikło (pojawiły się nowe) i właściwie nietknięte pozostały tylko te drogi. A drogi, wyznam szczerze, obchodziły mnie osobiście, ponieważ w obliczu moich trudności w pokonywaniu wzniesień sama dojeżdżałam nimi jak najbliżej plaży.

No i za którymś zaparkowaniem tuż przy porcie w Leśniczówce zostałam stamtąd wyrzucona jako osoba obca. Poszła precz, won, udogodnienie istnieje tylko dla miejscowych! Podobna sytuacja nastąpiła w morskim porcie w Piaskach, nie stąd jestem, mogę sobie parkować w Warszawie, ale nie tu! Z pośpiechu i rozgoryczenia zjechałam wtedy z betonu, zakopałam się w piasku i wojsko musiało mnie wypychać.

Łatwo zatem zgadnąć, że honorowe obywatelstwo Krynicy Morskiej uszczęśliwiło mnie niebotycznie, aczkolwiek nie bardzo umiałam odgadnąć, czym na ten zaszczyt zasłużyłam. Nie szkodzi, cicho siedziałam i nie zadawałam głupich pytań, zachwycona zrównaniem mnie w prawach obywatelskich z miejscowym społeczeństwem. Jedno tylko przyczyniło mi zgrzyoty i przyczynia nadal.

Otóż posiadane przeze mnie dowody na owe prawa mają wysoce skomplikowaną postać. Jeden dowód stanowi coś w rodzaju medalu, złoty krąg o średnicy co najmniej dziesięciu centymetrów, bardzo ciężki, bez najmniejszej możliwości zawieszenia go na czymś, noszenia na szyi czy uczipienia na odzieży, drugi zaś jest wspaniałym pismem dużego formatu, na sztywnym kartonie, zabezpieczonym folią, i absolutnie nigdzie się nie mieści.

Od paru lat zastanawiam się, w jaki sposób mogłabym komukolwiek udowodnić posiadanie honorowego obywatelstwa, skoro potwierdzenie faktu znajduje się w Warszawie. Mam to wozic ze sobą? Nie daj Boże, jeszcze mi zginie. Mam wywiercić dziurę w medalu? No nie, nie wypada. Nieśmiało, delikatnie i podstępnie podsuwałam właściwym organom myśl o obdarzeniu mnie czymś malutkim, rozmiaru, na przykład, dowodu osobistego, byle z pieczętką i paroma słowami, nikt nawet przeciwko temu nie protestował, ale rezultat jakoś nie nastąpił. No i nadal mam kłopot...

Teraz będzie o kotach, więc jeśli ktoś nie lubi kotów, może dalszego ciągu nie czytać. Ja jednakże napiszę, bo w końcu powinnam chyba mieć z samej siebie jakąś przyjemność.

Zdawało mi się, że już o nich pisałam, ale okazuje się, że było to ledwo napomknięcie. Krótko i niechętnie wyjaśnię, skąd u mnie koty, a nie psy.

Pies jest zwierzęciem niezmiernie uczuciowym. Ma w sobie wulkan miłości do pana (nie zawracajmy tu sobie głowy płciami, pana czy pani, wszystko jedno, do istoty ludzkiej), żąda uczuć wzajemnych, w nieobecności przedmiotu uczuć cierpi głęboko, radość i szczęście, kiedy pan wraca, okazuje żywiołowo, przypomina kochającą kobietę, dla której chwilowy brak ukochanego stanowi otchłań rozpacz, obecność to trzymanie się za rękę bez przerwy, wzrok w nim utkwiony, oczekiwanie na deklaracje „kocham cię, kocham cię”. Kobiecie umiałabym się oprzeć, psu nie potrafię.

Wyraz oczu psa rozszarpuje mi serce. Nie stać mnie już na to. Na jego uczucie trzeba odpowiedzieć takim samym, bo inaczej pies jest nieszczęśliwy. Ponadto wymaga wysiłków, musi się

wybiegać, potrzebuje codziennych spacerów, terenu dla siebie, przestrzeni. Gdybym dysponowała pięcioma hektarami, proszę bardzo, z tym że musiałabym zrezygnować z wszelkich roślin w ogrodzie, sam trawnik i nic innego, bo cokolwiek człowiek sobie zasieje czy posadzi, gwarantowane, że pies się w tym natychmiast wytarza, mam już za sobą pod tym względem liczne doświadczenia.

A spacerować może i są zdrowe, ale już widzę siebie w marszu o ósmej rano, kiedy sama ze sobą mam kłopot, żeby się przystosować do życia, albo wieczorem, w ciemnościach, których nie cierpię i które natrętnie nasuwają mi myśl o kurzej ślepcie. Nie, już nie czuję się na siłach...

Pewnie, że różnie bywa i psy mają różne charaktery i potrzeby, tak samo jak ludzie, ale zasadniczym elementem wszystkich jest przywiązanie do człowieka.

Koty natomiast w gruncie rzeczy mają mnie w nosie. Owszem, niekiedy również przywiązują się do człowieka, ale w ograniczonym zakresie, pies człowiekowi poświęci życie, kot nie. I całe szczęście, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności za życie istoty tak szlachetnej, jak pies! Nawet jeśli przesadzam, nic nie poradzę, tak to odbieram i cześć.

Koty są doskonale egoistyczne, same sobie dają radę, wiedzą czego chcą i potrafią to osiągnąć, a mnie ich fanaberie wcale nie przeszkadzają. Istnieje między nami jakaś więź biologiczna, sam widok kota sprawia mi przyjemność i działa uspokajająco, pogłaskanie kota jeszcze bardziej. Nie dość na tym, jeśli w dzień kot śpi na moim łóżku, mnie się lepiej śpi w nocy, podobno on zabiera jakieś radioaktywne szkodliwości, możliwe, niech zabiera, proszę bardzo. Lubię koty.

Bardzo długo miałam kontakt z cudzymi kotami, bez własnego, moje trzy piętra i ustawiczne wyjazdy utrudniały posiadanie zwierzątka. Już zostawione mi na przechowanie chomik moich dzieci, papuga i Karo dokopały mi wystarczająco. Z chwilą przeniesienia się do nowego domu natknęłam się na pierwsze kocie egzemplarze.

Były to dzikie koty, bezpańskie. Najpierw po materiałach budowlanych sąsiada łąziło coś niedużego, dwukolorowego, w łaty czarne i białe, zapewne zaglądało i do mnie, ciut później, kiedy już zagnieździłam się na stałe, na tarasie pojawiło się drugie, kompletnie czarne, odrobinę większe. Dostało trochę jedzenia, zapewne kawałek kiełbasy, bo ani mleka, ani tym bardziej kociego pożywienia z całą pewnością jeszcze nie miałam.

Ciekawa rzecz, za nic nie potrafię sobie przypomnieć, czym też jadalnym dla kotów mogłam dysponować. Może to był kawałek ryby, kawałek kurczaka, kawałek jakiegoś mięsa? Kurczak wydaje mi się najbardziej prawdopodobny. Czarne ośmieliło się tak, że już nazajutrz wlaźło do wnętrza, bo drzwi tarasowe trzymałam otwarte i siedziałam spokojnie, czekając co będzie. Rozejrzało się nieufnie, polazło kawałek dalej, na wszelki wypadek ruszyłam się sprawdzić, co robi, wobec czego natychmiast uciekło.

Jedzenie na zewnątrz stało, drzwi na taras niekiedy bywały zamknięte, bo w końcu nie był to już środek lata, znów ujrzałam czarne i poczułam się trochę zaskoczona. Zaraz, moment, przecież niemożliwe, żeby kot w ciągu dwóch dni tak urósł? Wielkie, potężne, istna czarna pantera, to ten sam kot czy jakiś inny?

Zająć miałam powyżej uszu, kotom poświęcałam zatem ledwo cząstkę uwagi, ale rychło uchwyciłam moment, kiedy na tarasie jedna za drugą pojawiły się dwie sztuki, to mniejsze czarne i czarna pantera. Zrozumiałam, znaczy są to dwa koty, a nie jeden, który tajemniczym sposobem zmienia rozmiary. O żarcie dbałam, drzwi, ile się dało, zostawiałam otwarte, mniejsze czarne zaczęło śmieiej wchodzić do domu, układało się nawet na dywanie. Nie wiadomo, dlaczego dostało na imię Florek, wydawało mi się, że musi to być kot, a nie kotka.

Mowy nie było, żeby go pogłaskać, nawet zbliżyć się do siebie nie pozwolił. Z rozgoryczeniem powiadomiłam go, że powinien się nazywać nie Florek, a Frajer, głupi kompletnie, co sobie wyobraża, że go ugryzę? Jednakże został Florek, na wielkie czarne automatycznie padła nazwa Czarna Pantera, po czym wyszło na jaw, że kot jest płci męskiej, zatem Czarny Panter.

Nie prowadziłam kroniki, a szkoda, nie pamiętam zatem kolejności pojawiania się następnych kotów. Nie mam pojęcia, gdzie podziała się pręgowana, szara kotka, która przywiodła do mnie trzy szare kocięta, dwa normalne, a jedno nieopisanie dziwaczne, niewydarzone, nastroszone, wyleniałe nierównomiernie, jakiś kłębek poszarpany, w ogóle nie wiadomo co.

Od razu powiem, że z kłębka wyrósł Pucuś.

To coś białe w czarne łaty zakorzeniło się razem z małym kociątkiem, też białym w czarne łaty. Ściśle biorąc, miało dwa kociątka, ale jedno z nich od razu poszło do kogoś innego i znikło mi z oczu. Zjawiła się czarna kotka z trojgiem dzieci...

No i tu zaczynają się szczegóły, które trudno zapomnieć.

Nie usiłowałam jeszcze nawet doliczyć się tych kotów, kiedy weszłam do pracowni i ujrzałam prześliczny widok. Na miękkim wierzchu oparcia fotela spał błogo czarny kłębek, ręce mi się same do tego wyciągnęły, pogłaskać, przytulić... Podeszłam delikatnie i spokojnie...

Czarny kłębek wystrzelił mi spod rąk i w dzikiej panice prysnął do salonu, i do drzwi na taras. Niestety, wszystkie kotki po drodze, w biegu, zesrały się ze strachu, najmocniej przepraszam za wyrażenie.

Pani Henia w kwestii kotów od początku miała złe przecucia, ponieważ, jak sądzę, jest osobą normalną, w przeciwieństwie do mnie. Ja upierałam się przy swoim, przestraszyłam się pani Heni, posprzątałam ślady kocich lęków, nie twierdzą, że idealnie, ale nie rzucały się w oczy. Jednakże załęgła się we mnie nieufność i kiedy usłyszałam, jak czarna kotka u progu pracowni mówi zachęcająco: „mrau, mrau”, i ujrzałam, że przez próg drzwi tarasowych żywiotko przełazą jej dzieci, zaprotestowałam.

- O, nie - powiedziałam, zamykając pracownię. - Skoro tak głupio wychowujesz dzieci, żadne takie, mowy nie ma! Zdecyduj się najpierw, co ja jestem, kochająca babcia czy potwór.

Siedziała potem pod tą zamkniętą pracownią i z ciężką pretensją awanturowała się do mnie. „Miau, miau, miau!”, darła się, śmiertelnie oburzona, „phh, phh, mrrhau!”, mówiła, żądając otwarcia bezpiecznego azylu, ale byłam nieubłagana, ponieważ bałam się pani Heni. Zrezygnowała w końcu i pogodziła się z kołderką na tarasie, kołderka zaś, służąca mi za przykrycie przed wojną, w szczytny sposób zakończyła swój żywot.

(I pomyśleć, że zgubiłam dwa kostiumy, a ocalałam w przeprowadzce przedwojenną kołderkę...!)

Musiały te koty czuć się już zadomowione, bo kiedy przyszła czarna kocica, wielka, rozmiaru Czarnego Pantera, odpędziły ją brutalnie. Czarna kocica nie protestowała, poszła precz, za to zaraz nazajutrz przyprowadziła dwie sztuki swoich dzieci i zostawiła je na pastwę losu. Kociętami zajęły się natychmiast dwie kotki, jedna czarna, druga szara, z tym, że właśnie ta szara jakoś rychło przepadła. Pogłowie żywiny dopiero się u mnie stabilizowało.

Policzyłam je w końcu, ustabilizowanych było jedenaście. Kiedy jedno z szarych, już jesienią, okociło się na kołderce, dokonałam kolejnych obliczeń i wyszło mi, że za rok będę tu miała sto czterdzieści osiem kotów, co może wzbudzić pewną niechęć okolicznej ludności, ponadto także niechęć pani Heni, ponadto drobne kłopoty z wyżywieniem, ponadto różne inne kłopoty...

Przełamując niechęć całego mojego jestestwa, pazurami wczepiłam się w weterynarza.

Kolejność wydarzeń umyka mi już trochę, w każdym razie ustaliliśmy zgodnie, że te koty należy odrobaczyć, odszczepić, ubezpłodnić i zaszczepić. Trudność polegała na tym, że wszystkie były dzikie, z początku uciekały, kiedy wewnątrz domu, nawet za zamkniętymi drzwiami, pojawiała się istota ludzka (co znakomicie świadczy o ludziach), stopniowo zaczynały uciekać dopiero, kiedy istota ludzka wyłaziła na zewnątrz, doszły wreszcie do tego, że ledwo odskakiwały trochę, kiedy istota ludzka wykladała im pożywienie. Rychło wracały, ale o złapaniu mowy nie było.

Zaczęliśmy stosować rozmaite sztuki, a uchwycony przeze mnie weterynarz okazał się, był i jest istotą niebiańską.

Przywiózł klatkę. Ściśle biorąc, dwie klatki, ale jedna z nich była bardzo specjalna, wykonana na zamówienie, w celu chwytania całkiem dzikich zwierząt, niekoniecznie pod naszą szerokością geograficzną, cała z siatki, długa, z automatycznym, pułapkowatym zamknięciem. Koty już miały domek z płyty wiórowej, ocieplony styropianem, bardzo chętnie w nim sypiały i teraz należało je przyzwyczać do klatki. Stała przed wejściem.

Nieufne z natury koty przywykły do niej już po trzech dniach i tym pułpkowym sposobem połapane zostały prawie wszystkie. Zważywszy upływ czasu, nie tak wielki, dwa miesiące, może dwa i pół, po drodze wyklarowało się kilka drobnostek.

Po pierwsze, skacząca po materiałach budowlanych łaciata kotka okazała się kotem domowym, w dzieciństwie niewątpliwie wyrzuconym z domu przez pana stworzenia, koronę przyrody, najwstrętniejszego ssaka na kuli ziemskiej, czyli człowieka, co podobno brzmi dumnie. Garnęła się pod nogi i pod rękę. Na jesieni była gruba, co przstraszyło nas wszystkich, bo w akcji brali już udział, oprócz weterynarza z asystentką, także Małgosia, Witek i pan Tadeusz, gruba znaczy kotna, znaczy nieszczęście. Dała się złapać bez najmniejszego trudu, po czym weterynarz rzekł:

- Nic podobnego. To jest po prostu gruba baba. Ona jest tłusta.

- Gruba Berta - zaopiniowała Małgosia.

Tym sposobem została Berta. To Berta właśnie sypia na moim łóżku.

Lekarstwo na odrobaczenie dostały wszystkie w pierwszej kolejności, bardzo im smakowało, po czym, wśród licznych komplikacji, połapana została reszta. W tak zwanym międzyczasie zdążyła się okocić szara kotka na mojej kołderce, zła matka, szła w diabły, a kociętami zajmowałam się ja, pilnując bodaj ciepła, skoro z karmieniem były problemy. Co wpadło do głowy Bercie, kiedy w deszczowy, zimny dzień zabrała jedno z kociąt i gdzieś wyniosła, pojęcia nie mam, dość, że siedząc w kuchni usłyszałam na zewnątrz rozpaczliwe miauczenie. Wysłam w wielkim niepokoju, mój samochód stał na dziedzińcyku, płaczliwe apele dobiegały spod niego. Wlazłam pod samochód, Berta uciekła mi spod ręki, okazało się, że kociątko leży jakoś z przodu pod spodem, daję słowo, że musiałabym wziąć co najmniej instrukcję obsługi, żeby określić miejsce, wczółgałam się tam i znalazłam ofiarę.

Jedno z tych zbyt późno urodzonych kociąt wyżyło i z zachwytem zabrały je do siebie córki sąsiada. Udomowiły. Drugie zabił Czarny Panter, nie specjalnie, po prostu odepchnął, a i tak było bardzo niewydarzone, usiłuję pocieszyć się myślą, że o tych rzeczach decyduje przyroda, a nie ja. Odpowiedzialność za wszystko to straszna rzecz.

(Ciekawe, że nikomu z tych, spragnionych władzy, nie przychodzi to do głowy...)

Dwa kociątka, podrzucone przez wielką kocicę, nie załapały się na odrobaczenie. Nie, właściwie nie dwa, jedno. Nijak nie mogę sobie przypomnieć przyczyny, dla której przy każdym posiłku jedno musiałam łapać i karmić oddzielnie, w domu. Małe to było, dawało się łapać z łatwością, jadło

chętnie, przywykło i dalszy rozwój umysłowości akurat tego kota jest dla mnie nie do pojęcia.

Zaraz, wyklarowała się Berta. Wyklarował się jej ocalały synek, Telewizor...

Jak niby może nazywać się kot, który od wczesnego dzieciństwa siedzi i wpatruje się w ekran telewizora? Zafascynowany, nieruchomy, straciwszy z oczu świat? Małgosia z Witkiem uznali, że jest to Telewizor i do widzenia. Może być. Głupi jak próchno, to już moje zdanie. Możliwe, że mu ta telewizja zaszkodziła.

Z dwóch szarych jedno to Ruda, ta zła matka. Ma rude uszka, a jeśli świeci słońce, wydaje się wręcz pomarańczowa, no a jej braciszek to po prostu Braciszek. Miły, spokojny, sympatyczny kotek. Czarnych nie ma sposobu rozpoznać, do tej pory nie zdołałam sprawdzić, które mają srebrne włoski na gorsie, a które nie, i czy ma to związek z nogami, długonogie czy krótkonogie. Mam jedenaście książeczek zdrowia kota i nie mam pojęcia, który jest który. Florek daje się zauważyć, długonogi i największy, ale pozostałe przy łapaniu sprawiały trudności i po kilkakrotnych pomyłkach musieliśmy je jakoś poznać. Jeden, na przykład, miał koniec ogona pomalowany złotą farbą, nie dla ozdoby, ale akurat innej w domu nie miałam.

Towarzystwem rządził Czarny Panter, władca bezapelacyjny. Kiedy zbliżałam się do niego przy serwowaniu pożywienia, warczał. Inne koty odganiał jednym machnięciem łapy. O, nie ze mną te numery, informowałam, że mi się ta agresja nie podoba, nie on jeden na świecie, reszta też ma prawo do życia, i wygłaszałam groźby karalne:

- No? Co to ma być? Bo cię pogłaszczę, ty podlec!

Już jadł, nie płochliwy, odważny, ale jeśli musnęłam go głaskaniem, warczał. Jak zły pies. Raz, kiedy z jakiejś przyczyny odskoczył, oddalił się, spróbowałam go zachęcić do powrotu, wyciągnęłam rękę, nie spodobało mu się to, odepchnął moją rękę. Goiło mi się trzy tygodnie.

Po czym Czarny Panter złagodniał, można go było głaskać ile chcąc, nawet dość chętnie to przyjmował i zorientowałam się, że on się po prostu starzeje. Od początku było widać, że jest to stary kot i dlatego Florek nie został ubezpłodniony, w końcu ktoś musi po władcy nastąpić. W ubiegłym roku Czarny Panter znikł i sądzę, że już się znajduje w kocim niebie.

Nie wiem, czy ogólny trend ludzki rzutuje także i na koty, ale zastąpiła go Berta, a nie Florek. To ona zaczęła rządzić i decydować o kociej społeczności.

Szczytem wszystkiego okazały się dwa małe kotki czarnej kocicy. Jedno z nich, zdaje się, że to łapane do odrobaczenia, zrobiło się chore, kasłało chyba, no i rzeczywiście, zaziębione, możliwe, że złapało zapalenie płuc. Musiało dostać antybiotyk i to przez dwa dni, przy czym po antybiotyku nie powinno marznąć i za nic w świecie nie zdołam sobie przypomnieć, co działo się z kotem do następnego dnia. A, mam wrażenie, że panowała łagodna pogoda, po czym przyszło zimno. No i ten drugi zastrzyk...

Przyzwyczajony już w pewnym stopniu do jedzenia w domu, kot mógł zostać zwabiony do wnętrza. Został, czemu nie. Tyle że wpadły dwa koty, całkiem jednakowe i za skarby świata nie było wiadomo który jest który, wobec czego weterynarz z determinacją uznał, że trzeba dać zastrzyk obu. Jednemu pomoże, drugiemu nie zaszkodzi, ale teraz już oba muszą zostać w ciepłe.

Dwa wściekle zdenerwowane kotki zostawiłam w domu.

Nazajutrz o poranku zaczęłam ich szukać. Najpierw znalazłam dowód działania kociego przewodu pokarmowego na środku dywanu w salonie. Potem to samo w kuchni, w kącie, za koszem na śmieci. Potem znalazłam oba koty na górnej półce za kominkiem, również z tym przewodem pokarmowym. Niczego mi nie zrzuciły i nie stłukły, czym poczułam się bardzo zdziwiona, ale ślady

ich zdenerwowania wystraszyły mnie nieco ze względu na panią Henię. Spróbowałam to wszystko posprzątać.

Zdaje się, że późnym popołudniem zadzwoniłam w rozpaczy do Małgosi, informując o sytuacji i błagając o pomoc.

Małgosia z Witkiem przyjechali, Małgosia, wnuczka mojej teściowej, okazała się bezbłędna, ale powiedziała do mnie;

- Ja cię proszę, ty następnym razem nie próbuj sprzątać, bo rozmazałaś to po całym domu i teraz jest tylko więcej roboty.

Zadowolona bardzo, że ślady kocich zabiegów leczniczych znikły z horyzontu, spokojnie doczekałam następnego dnia przybycia pani Heni.

Po czym okazało się, że zapomniałam zamknąć drzwi do pokoju gościnnego na górze. Cholerne kotki, nie wiadomo dlaczego takie żywe po antybiotyku, zwiedziły cały dom i, *excusez le mot*, nasrały bardzo porządnie i dokładnie na środku kanapy. I pani Henia, kryjąc zgorzelenie, spytała mnie delikatnie, skąd się to wzięło.

Zgorzałam doszczętnie, ciężko skruszona, i wzięłam nikły, bo nikły, ale jednak udział w usuwaniu przypadłości. Pani Henia myła to sposobami staroświeckimi, wodą i mydłem. Małgosia zastosowała specjalny płyn do mycia takich kanap. Napsikałam perfumami. Przyszedł pan Ryszard i rozpylił swój osobisty dezodorant.

Wątpię, czy ktokolwiek z nich mnie wtedy lubił.

Czas robi swoje, przed przyjazdem moich kanadyjskich dzieci z kanapy wszystko znikło. Kotki natomiast nie dość, że wyzdrowiały, to jeszcze dostały imiona. Monika zażyczyła sobie, żeby kotka, ta, która była rzeczywiście chora, nazywała się Monika, a jej braciszek Kacperek. Proszę bardzo.

Muszę przyznać, że Monika, kotkę mam na myśli, tyle razy łapana, karmiona w domu, jest najgłupszym i najpłochliwszym kotem ze wszystkich. Może tkwi jej w pamięci ten zastrzyk...?

Pucuś natomiast stanowi osobny rozdział.

Nikt nie wie na pewno, skąd się wziął taki kot. Supozycje istnieją dwie, któraś prababcia natknęła się na persa albo odezwiała się, też po przodkach, rasa... chyba złapię się teraz za encyklopedię albo specjalne wydanie o rasach kotów... nie, na poczekaniu nie znajdę, ale mam wrażenie, że jakaś taka rasa istnieje, puchaty, z krótkim ogonem, z twarzą nie persa, a kocią, hrabiowski charakter... Indywidualność absolutna. Na wszelki wypadek żadnym zabiegiem nie został tknięty i prawdę mówiąc, nie mam pojęcia, jakiej to stworzenie jest płci.

Jeśli drzwi na taras są otwarte, wchodzi do domu, siada w odległości pół metra i wpatruje się we mnie bez słowa. Mówię do niego, pytam, czego chce, nic, jak do ściany. Daję kawałek polędwicy wołowej, surową polędwicę wołową każdy kot zeżre, Pucuś patrzy, podchodzi, widać, że z grzeczności, wacha starannie i oddala się na poprzednie miejsce. I znów siedzi i patrzy.

A polędwica leży. Co ten kot ma na myśli?

Niekiedy mój widok już mu się nudzi, wybiera sobie któreś krzesło pod stołem i zapada w sen. Zbliżyć się nie da, pogłaskać się nie da, ponadto nie lubi tłoku, prawie nigdy nie pcha się do miski razem z innymi kotami, czeka spokojnie na uboczu, konsumuje posiłek samotnie, kiedy już jest spokój. Lubi mleko bardziej niż inne koty, wychodzę z kartonem mleka.

- Pucuś - mówię - jest mleko. Proszę mleka!

Pucuś jest głuchy i patrzy w inną stronę. Zdarza się jednak, że nie wytrzyma, odwraca głowę, spogląda na karton, rusza z miejsca, a czasami nawet od razu leci do pustego talerza i czeka na płyn.



Ale rzadko, przeważnie demonstruje, że nikt tu nie będzie nim rządził.

Bertę kocha, tak samo jak kochają ją wszystkie koty. Bezwzględnie jest najważniejsza, bez niej nie ma życia. Co wcale jej nie przeszkadza pchać się do domu, natrętnie żądać wpuszczenia i spokojnie przesypiać cały dzień na moim łóżku, na kanapie, na skórze baraniej, potem ma zostać porządnie wygłaskana i może wracać do towarzystwa, które już na nią czeka za szybą.

No i Berta zginęła. Nagle znikła.

W piątek wieczorem już jej nie było na kolacji. Nie zwróciłam na to specjalnej uwagi, bo w końcu kot to kot, może mieć swoje sprawy, zgłodnieje i wróci, ale w sobotę rano też jej nie było. To mnie nieco zaniepokoiło, bo była łakoma i posiłków nie przepuszczała, pocieszyłam się jednak myślą, że może gdzieś się najadła u kogoś innego i jeszcze śpi.

Nie było jej przez całą sobotę i wieczorem też się nie pokazała. Koty zaczynały okazywać odrobinę zdenerwowania, zaglądały do domu, najwidoczniej z nadzieją, że ją gdzieś tam ukrywam, zaniepokoiłam się bardziej, wyszłam na drogę i rozejrzałam się, bo, nie daj Boże, może ją coś przejechało...?

Po to chciałam mieć dzikie koty, ledwo przydomowione, egzystujące po swojemu, żeby nie przeżywać takich stresów. Żeby nie latać po okolicy z płaczem i nie wrzeszczeć „kici, kici”. Żeby mi kot nie ginał, nie przepadał, nie przyprawiał mnie o rozpacz, nie doprowadzał do stanów przedzawałowych. I oto przez pół niedzieli błąkałam się wokół i podglądałam rozmaite zakamarki, wołając „kici, kici, Berta, Bertusia, gdzie jesteś, zarazo, odezwij się, ty idiotko, kici, kici”, ponieważ kołatała się we mnie jeszcze ostatnia, rozsądna myśl.

Naprzeciwno była budowa. Może polazła tam w piątek, dostała kawałek kiełbasy, utaiła się w jakimś kącie i zasnęła. Robotnicy zamknęli pakamerę i posili do domu na cały weekend, a głupia kocica siedzi głodna, nie daje rady wyjść, może da się uwolnić ją jakoś od zewnątrz. Niech się odezwie bodaj słowem!

Nic. Cisza. Zdenerwowane koty kręciły się po tarasie i wpatrywały w głąb mieszkania. Małgosia, do której zadzwoniłam, wpadła na ten sam pomysł, co ja, głupia Berta wlaźła gdzieś, zamknęli ją i dosiedzi tak do poniedziałku. Nic nam nie pozostało innego, jak tylko czekać.

No i okazało się, że słusznie, obie z Małgosią byłyśmy bardzo mądre, w poniedziałek o poranku Berta pojawiła się na tarasie, przez wszystkie koty witana wręcz owacyjnie. Łasiły się do niej, przytulały, wylizywały wzajemnie, nareszcie zapanował porządek i spokój. Nawet nie była zbyt wygłodniała ani złachana, widocznie spędziła ten weekend w komfortowych warunkach.

Tylko Berta zostaje w domu przy zamkniętych drzwiach i czasem nawet przesypia noc, pozostałe koty prezentują objawy klaustrofobiczne. Jeśli drzwi na taras są otwarte, wlażą wszystkie i rozkładają się w rozmaitych miejscach, przeważnie na oparciach foteli, bardzo zadowolone z życia, jeśli zamknę, natychmiast następuje szarża na wyjście. Usiłują przedrzeć się przez szybę, miauczą nerwowo, chowają się po kątach, przy czym otwarciu od razu powoduje uspokojenie, już się nie pchają i nie śpieszą. Siedzą dookoła i czekają, zostawię im wolną drogę czy nie? Tym sposobem mogłabym zaangażować się u siebie samej w charakterze portiera.

Straszną chwilę przeżyliśmy w lecie, kiedy przyszły dzieci z nowym pieskiem, jeszcze szczeniakiem, małym, białym, trochę kudłatym, imieniem Milton. Nie miałam żadnych złych przeczuć, drzwi na taras były otwarte, zamknięta tylko siatka na komary, otwierająca się na zewnątrz. Milton już od wejścia wywęszył precudowną zabawkę, runął przez cały dom, runął na siatkę, siatka, rzecz jasna, odskoczyła, Milton wypadł na zewnątrz, koty prysnęły na wszystkie strony niczym

pociski, piesek za nimi...

- No to cześć pieśni, już nie mam ogrodu - powiedziałam melancholijnie.

Jerzy z Mariolą latali potem dookoła budynku, usiłując złapać Miliona, w obawie, że przez pręty bramy wyskoczy na ulicę, po której rzadko, bo rzadko, ale jednak jeżdżą samochody. Złapali go wreszcie z wielkim trudem i od owej chwili przy wizycie psa zawsze już pamiętam o zamykaniu drzwi na taras.

Ogród w dużym stopniu ocalał. Koty wróciły bardzo szybko bez szkody dla zdrowia, nawet niezbyt obrażone, i obecność oszalałego z emocji pieska za szybą przyjęły z najdoskonalszą obojętnością.

Ustabilizowało się w rezultacie dziesięć, w porywach do czternastu. Z tym że w dwóch domkach sypia dziewięć, dziesiąty pojawia się przy śniadaniu, a cztery bywają sporadycznie z różną częstotliwością, przychodząc na posiłek, jak do knajpy. Nie są jednakowe, dzięki czemu mają imiona.

Jeden to Rudzielec, wielki rudy kocur, odważny i przedsiębiorczy, z oporem uznający prawa kociego społeczeństwa. Buntuje się czasem i raz już dostał od Telewizora po pysku. Drugi nazywa się Zorro, ponieważ jest cały czarny, a biały ma tylko dół twarzy, co wygląda zupełnie, jakby był w masce. No i ma białe skarpetki, chociaż może raczej należałoby powiedzieć: rękawiczki. Dwa pozostałe są szaro-białe, łaciate, i tak też się wabią, Łaciaty i Łaciata.

Łaciaty oswoił się najbardziej, ponieważ ma rozum w głowie. Jasne jest, że zasiedziały koty niechętnie dopuszczają obcych, odpędzają od koryta, jeśli jednak są już najedzone, a żarcia zostało, łaskawie pozwalają z resztek skorzystać. Szczególnie kiedy śpią albo gdzieś się rozlazły. Łaciaty cieszy się szczególnymi względami, zaczął bowiem od pogadania z tymi miejscowymi, przylazł powolutku, z przystankami, zbliżył się do któregoś czarnego, prawie zetknęły się nosami i trwały tak w niezmienionej pozycji chyba z kwadrans. Przysięgłabym, że coś powiedziały do siebie, a przyglądałam się im specjalnie, czarne udzieliło zezwolenia i Łaciaty całkiem śmiało zaczął jeść. Łaciata jest lękliwsza, przeczekuje towarzystwo, podchodzi ostrożniutko, czołgając się prawie brzuchem po ziemi, i w trakcie jedzenia podejrzliwie rzuca okiem dookoła. Zorro bywa późnym wieczorem, nie napotyka już żadnych przeszkód, zachowuje się elegancko, ale dość swobodnie, i muszę pilnować, żeby pożywienia dla nich starczało, bo jeśli wyjdę z repety, wszystkie dochodzące uciekną natychmiast. Najbardziej mi szkoda Łaciatej, zdaje się, że ona jest ciągle głodna ze strachu i nie daje mi szans wyjaśnić, że jej łba nie ukrecę.

„Jeszcze mi jedno zwierzę zostało i odcepię się już definitywnie od tej całej fauny ze sobą włącznie.

Kanadyjskie dzieci znalazły się w ogrodzie zoologicznym w Toronto i był tam niedźwiedź. Nie jeden zresztą, zapewne, na ogromnym wybiegu z zielenią, krzewami i jeziorkiem.

Kanada traktuje niedźwiedzie poważnie, zdarzały się już bowiem wypadki pożarcia przez nie człowieka. Ktoś biwakował w lesie w nieodpowiedniej porze roku, kiedy pożywienia brakowało, chłopiec oddalił się od domu również w niewłaściwej chwili... To już nie żarty. Mniej dramatycznie wypadła tresura, kiedy niedźwiedzie zorientowały się, iż ludzkie siedziby dostarczają smakołyków, nauczyły się wchodzić do domów i nawet otwierać lodówki, a jednego mieszkańca północy doprowadziły niemal do bankructwa. Zaczął od tego, że wygłodniałej niedźwiedzicy z dobrego serca dał płatki owsiane z miodem, niedźwiedzica zjadła płatki, nie tykając dawcy, nazajutrz przyprowadziła dwa niedźwiadki, farmer znów dał im płatki z miodem, do towarzystwa dobił

następny niedźwiedź i rezultat był taki, że człowiek po płatki owsiane i miód jeździł ciężarówką z przyczepą, a wokół jego domu baraszkowało wesołe całe stado niedźwiedzi.

Ale moje dzieci zetknęły się tylko z jednym, który zaczął się do nich zbliżać, podczas gdy Robert robił zdjęcia. Niedźwiedź podchodził coraz bliżej, ogrodzenie wyglądało mizernie i Zosia postanowiła zachować ostrożność. Przypomniały jej się różne ostrzegawcze napisy.

- Odsuńmy się. Przestań już z tymi zdjęciami, jemu się to może nie spodobać. Może się stać agresywny.

Mówiła jak do ściany, obaj byli uparci, Robert nadal robił zdjęcia, a niedźwiedź się zbliżał. Na zdjęciach go widać, wypisz-wymaluj Pafnucy, chociaż Pafnucy jest niedźwiedziem brunatnym, a to był podobno grizzli. Kiedy Zosią szarpała już rozterka, ratować życie czy zginąć razem z mężem, i, niechętna wdowieństwu, decydowała się właśnie na drugą ewentualność, niedźwiedź podjął decyzję. Zaatakował agresywnie. Też to widać na zdjęciu.

No i okazuje się, że nie jestem w stanie zakończyć kolejnego tomu „Autobiografii” inaczej, jak Pafnucym...